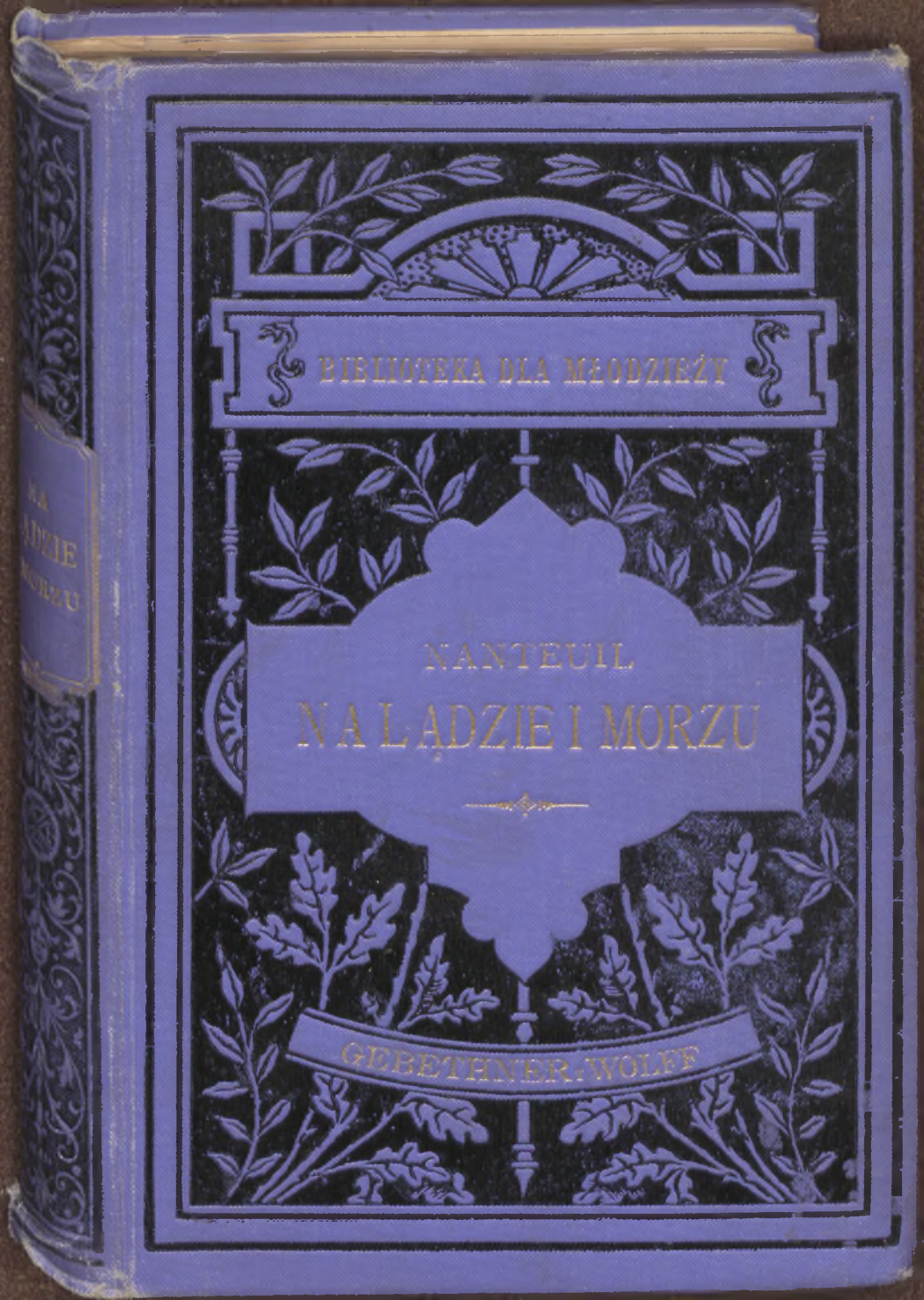
BIBLIOTEKA DLA MŁODZIEŻY
NANTEUIL
NA LĄDZIE I MORZU
GEBETHNER & WOLFF

Pomorska etika.

106 lad,

NA LĄDZIE I MORZU.

347923

M. de Nanteuil.

NA LĄDZIE I MORZU.

PRZYGODY

Z NIEWOLI U ARABÓW.

OPOWIEDZIANE MŁODZIEŻY.

Przekład z francuskiego.

Z ILLUSTRACYAMI.

WARSZAWA
Nakład Gebethnera i Wolffa
—
1894

519227

Дозволено Цензурою.
Варшава, 8 Мая, 1893 года.

Warszawa. Druk Emila Skiwskiego

I.

Ciotka i siostrzeniec.

W roku 1830, ulica de Sèvres, podobna była do długiego przedmieścia w starem, prowincyonalnem miasteczku. Piękne pałace sąsiadowały tam z brzydkiemi domami; w wielu miejscach brakowało chodników. Wieczorem ulica była słabo oświetlona olejnemi lampami, a po ulewnym deszczu rynsztoki zamieniały się w małe strumienie. Aż do połowy bieżącego stulecia, nic w tej dzielnicy miasta nie przypominało eleganckiego i wspaniałego Paryża, znajdującego się stamtąd o wiorstę może odległości.

Dwa razy na tydzień, pomiędzy ulicami du Bac i Vanneau, rozkładały się małe kramiki kupców, przeważnie wieśniaków z okolic Paryża. Był to zupełny targ. Stały tu wózki rozmaitego rodzaju, ustawione rzędem pod ścianami domów, utrudniając komunikacyę, a dokoła rozlegały się dobrze znane mieszkańcom miasta krzyki i nawoływania przekupniów:

— Mam muchotrzep, dobre ziele dla małych ptaszków!—wołał jeden.

— Szczotki i miotełki sprzedaję! — krzyczał inny.

— Szyby wprawiam!

— To prawdziwa przyjemność, kupić coś podobnego, proszę pani! — zachwalał znów inny swój towar.

— Kominy wycierać!—donośnym głosem krzyczał kominiarczyk.

Niekiedy ryk osłów przygłuszał gwar rozmów i wołania; zwierzęta te bowiem nie są tak dobrze wychowane, ażeby potrafiły ukrywać nudy.

Niedaleko od bulwaru des Invalides, pomiędzy ulicą Sèvres i Cherche-Midi, biegnie mała uliczka, zwana ulicą Saint-Romain. W epoce, w której rozpoczyna się nasze opowiadanie, wznosił się po prawej stronie ulicy piękny pałac z przyległemi do niego zabudowaniami.

Przed Rewolucyą francuską dość rozległy park otaczał tę posiadłość, położoną w owym czasie już poza obrębem Paryża i będącą wiejskim domkiem Ludwika XV. Za czasów Dyrektoryatu, przedsiębiorcy kupili część parku i skromne domki zastąpiły zniszczone łąki i zarośla. Pozostał jednak jeszcze prześliczny ogród, ciągnący się przed pałacem, aż do ulicy Cherche-Midi. Druga strona pałacu wychodziła na obszerny dziedziniec, otoczony wysokiemi topolami, z którego wielka brama prowadziła na ulicę de Sèvres. Okna pokoi służby wychodziły na ulicę Saint-Romain, utworzoną ze szkodą dawniejszego parku.

Pewnego pięknego majowego popołudnia, przy zakratowanem oknie w oficynie, stał na krześle mały chłopczyk i znać było, że bawi się doskonale, gdyż śmiał się i klaskał w dłonie. Następnie zawijał po kilka su w papier i wyrzucał je przez okno, darząc niemi hałaśliwe, lecz bynajmniej nie eleganckie towarzystwo.

Na ulicy katarynka wygrywała niemieckiego walca; na pudle katarynki kręciły się piękne panie i piękni panowie, ubrani po staroświecku, a przed katarynką dwóch Sabaudczyków tańczyło nie zawsze zgodnie z taktem, wynagradzając jednak te braki wesołą piosnką.

Widowisko to ściągnęło prędko mnóstwo słuchaczy obojej płci, po większej części dzieci, które nadstawiały dłonie i czapki dla schwytania pieniędzy, a następnie rozdzielały je pomiędzy grajka i tańczących chłopców.

Chłopczyk, obdarzający tak hojnie pieniędzmi biednych Sabaudczyków, pomimo zabawy, dziwił się bardzo, że ci chłopcy mogą być tak weseli, będąc zarazem obdarci i zasmoleni. Właśnie chciał im zadać kilka pytań, gdy surowy i groźny głos zniweczył jego zamiary. Pani jakaś, wszedłszy cicho, zawołała z oburzeniem:

— Co tu robisz, paniczu, i jak śmiesz wyglądać tem oknem? Doprawdy, mój siostrzeńcze, postępowanie twoje jest niepojęte!

Siostrzeniec odsunął się od kraty i zeskoczył z krzesła na ziemię, lecz nie usiłował się usprawiedliwiać, nie przez upór lub zuchwałość, ale dlatego,

że był zbyt zajęty własnemi myślami. Widząc niezadowolony wyraz twarzy ciotki, odrzekł z pokorą:

— Przepraszam ciocię, ale nie dosłyszałem, co ciocia mówiła?

Ciotka podniosła głos jeszcze bardziej i, ujmując za ramię chłopczyka, rzekła znowu:

— Słyszałeś doskonale, lecz wymówki szukasz. Proszę cię jednak, popraw się, słuchaj rad starszych, którzy ci dobrze życzą.

Potem, zwracając się do wchodzącego mężczyzny, dodała:

— Marcinie, zasłużyłeś na surową naganę. Spotkałam pana Jana w oficynie, dokąd się dostał, naturalnie przez kuchnię.

Marcin spuścił głowę, ale odparł spokojnie:

— Pani hrabina daruje mi, moję śmiałość, muszę jednak powiedzieć pani, że pan Jan nie zawinił w tym razie bynajmniej. Prosił mnie o pozwolenie przyjścia tu i posłuchania muzyki, której dźwięki nie dochodziły do innych komnat pałacowych. Nie przypuszczałem, że pani hrabina będzie się o to gniewała.

W tej chwili Sabaudczycy przerwali mowę Marcinowi, przyczepiwszy się bowiem do krat okna, zaczęli wołać złą francusczyzną;

— Dobra pani, daj nam choć *szu!*

Co miało znaczyć su, drobną monetę francuską.

Pani de Beaucourt, wyrzuciwszy chłopcom parę sztuk drobnej monety przez okno, zamknęła je, mówiąc:

— Wiedz o tem, Marcinie, że na przyszłość, pan Jan nie powinien nigdy znajdować się w tej

części pałacu, lub też rozmawiać ze służącemi. Mógłby zlecieć ze sztachet i zranić się... To niebezpieczne...

— Będę posłuszny rozkazom pani hrabiny.

Widząc zmartwienie starego sługi, hrabina dodała łagodniej:

— Nie dotyczy to przecież ciebie, Marcinie; wiesz dobrze, że nikt nie uważa cię tu za służącego.

Rzekłszy to, oddaliła się z chłopcem.

Marcin, pozostawszy sam, przeszedł do sali jadalnej, gdzie zajął się zastawą stołu, mówiąc sam do siebie zcicha:

— Doprawdy, moja pani jest dobra, wspaniałomyślna i litościwa, poszedłbym w ogień i w wodę za nią, a uczyniłbym to nie pierwszy raz przecie; ale zdaje mi się, że z wiekiem staje się zbyt dla wszystkich surową... Nie jest ona ani dobrą, ani sprawiedliwą, tak dla pani Beaucourt, jak dla pana Jana. Powiem to kiedy pani kanoniczce, ale toby pewnie na nic się nie przydało... O, gdyby nie ta wojna, którąśmy razem przeżyli, poszedłbym sobie stąd precz. Tak, ale żalby mi było znowu komendanta i małego... a może trochę i jej samej...

Marcin był człowiekiem sześćdziesięcioośmioletnim, ale trzymał się jeszcze czerstwo i był prosty jak topola; zawsze ubrany czarno, nosił krótkie spodnie i trzewiki ze srebrnemi sprzączkami. Siwe włosy, lekko upudrowane i związane czarną wstążką, czyniły go podobnym do wizerunków sług ze starych portretów.

Obdarzony zaufaniem swej pani, Marcin rozkazywał innym służącym, którzy pomimo to lubili

go bardzo. Okazując pani przynależny szacunek, ośmielał się niekiedy rozmawiać z hrabianką Antoniną, tak bowiem nazywano w domu pannę de Beaucourt, kanoniczkę zgromadzenia świętej Anny. Hrabianka Antonina nie wyszła za mąż, poświęcając się stanowi duchownemu,

Gdy Marcin ustawił wety na długim stole, spojrzał jeszcze raz uważnie, chcąc się przekonać, czy czego nie brak w nakryciu. Lecz wszystko było we wzorowym porządku, Stół lśnił się od srebra i kryształów; pod srebrnymi półmiskami stały fajerki z palącym się spirytusem, dla rozgrzania licznych potraw, które podawano zwykle na pierwsze danie podczas etykietalnych obiadów, Marcin włożył najlepsze ubranie i otwierając podwoje, wymówił uroczystym tonem:

— Pani hrabino, już podano do stołu.

W tej chwili ruch powstał między osobami zebranemi w bogato umeblowanym salonie. Panowie z ukłonem zwrócili się do dam, podając im ramię, poczem sześć par, mierzonym krokiem, skierowało się ku sali jadalnej, gdzie każdy zajął miejsce, wyznaczone przez gospodynię domu.

Poza całym orszakiem postępowali dziewczynka i chłopiec, Pierwsza miała może lat dziesięć, a Janek, którego już znamy, dziewięć. Stosując się do rozkazu ciotki, powinien był podać ramię dziewczynce, ale nazbyt nieśmiały, nie uczynił tego; szedł tylko obok panny Karoliny, która przyzwyczajona już do wytwornego obejścia, spoglądała na swego sąsiada z uśmiechem.

Dzieci usiadły obok siebie przy końcu stołu, i wkrótce rozpoczął się obiad. Goście mówili półgłosem, a służba starała się usługiwać jak najciszej, oznajmiając stłumionym głosem wina i potrawy, lub też zmieniając talerze i nakrycia.

Jakiś sędziwy kawaler orderu św. Ludwika, ksiądz, niemłoda pani i młodziuchna mężatka, zajmowali honorowe miejsca obok kanoniczki i jej brata, komendanta de Beaucourt. Żona tego ostatniego miała za sąsiadów, z jednej strony bardzo uprzejmego pana, ale jąkającego się na nieszczęście, a z drugiej dawnego oficera marynarki, głuchego jak pień, którego wyłącznie zajmowało opisanie mórz i historya żeglugi. Panowie ci, obdarzeni doskonałym apetytem, jedli z początku w milczeniu. Jednakże pani de Beaucourt czuła się w obowiązku zawiązania rozmowy i pochylając się do ucha starego marynarza o tyle, o ile na to pozwalała przyzwoitość, rzekła:

— Czy pani de Rochevert przyjedzie tego roku do Paryża?

Pan de Rochevert odpowiedział bez wahania:

— Trzysta siedmdziesiąt stóp głębokości.

Wtedy sąsiad jąkający się, przejęty litością względem kaleki i pragnąc mu dopomódz, pochylił się do pana de Rochevert i, zasłaniając usta dłonią, zawołał:

— Pani de Beau...Beau...Beaucourt py...py... pytała się pana, o wia...wia...wiadomości o pańskiej sio...sio..siostrze!...

— Śliczne zwierzę!—odparł pan de Rochevert, któremu zdawało się, że słyszy nazwę konia *Fanor*, kupionego przezeń niedawno.

— Co za smu...smutne ka...kalectwo—szepnął jąkała, podnosząc oczy na sufit.

Sąsiadka jego z lewej strony, mała Karolcia, nie mogła już dłużej powstrzymać się od śmiechu, a Janek poszedł za jej przykładem. Co prawda i matka jego zaledwie zdołała zapanować nad ogarniającą ją wesołością.

Ale surowy głos gospodyni domu podziałał na nich, jak strumień zimnej wody.

— Co to znaczy?—zapytała kanoniczka.—Karolciu, Janku, odpowiadajcież mi, skąd te śmiechy niewłaściwe?

— Mówcież dzieci, mów Karolciu—odezwała się łagodnie pani de Lespine.

— Babciu — odezwała się dziewczynka—przepraszam cię, babciu i panią hrabinę także... ale... Janek mnie połechtał i zaczęliśmy się śmiać oboje.

— Jakież obejście, co za wychowanie tego chłopca!—zawołała kanoniczka.

— O! Karolciu! Karolciu! jakto brzydko! Źle uczyniłaś, mówiąc nieprawdę!—szepnął Janek.

— Cóż chcesz, mój biedny Janku — odparła również cicho dziewczynka;—ja wiem, że to źle i że nie powinno się nigdy kłamać, ale powiedziałam to, co mi przyszło na myśl, bo doprawdy, przykro mi, że śmieliśmy się z tyle nieszczęśliwego głuchego pana Rochevert...

— Tak, nie powinniśmy byli tego uczynić— dodał. — Słusznie gniewa się na nas ciotka i gdy mnie zapyta...

— To wtedy wyznasz prawdę?

— Ah! nie znasz ciotki, rozgniewa się jeszcze bardziej za to, że jej rad nie słuchamy...

— A widzisz...—zaczęła Karolcia, lecz umilkła nagle, gdyż panna Antonina, dostrzegłszy sprzeczkę, spojrzała na dzieci z wyrzutem.

Rozmowa ucichła nagle, a pani de Lespine, chcąc wzbudzić zaciekawienie, zwróciła się z zapytaniem do swego sąsiada:

— Kiedy masz zamiar powrócić do Francyi, mój drogi Henryku?

— Nie mogę tego dokładnie określić — odpowiedział. — Sądzę jednak, że niepodobna mi będzie wyjechać z Algeru wcześniej, zanim zostanę posunięty na stopień pułkownika.

— Zdaje mi się, że brat nie otrzyma prędzej tego stopnia, jak po dwóch latach, choćby nawet okoliczności najbardziej były przyjazne — dorzuciła kanoniczka.

— Zapewne... — odrzekł tenże i oboje z żoną spojrzeli z niepokojem na zasmuconą twarzyczkę syna, który, zapominając o wszystkich przestrogach, wmieszał się do rozmowy, a co gorsza, przerwał mowę jakiemuś panu, który opowiadał o przypuszczalnem powstaniu w Algerze.

— Tatusiu! — zawołał, jak my potrafimy żyć tu bez ciebie dwa lata? Nigdy mi nie mówiłeś, że wyjeżdżasz na tak długo.

Tu łzy przerwały mu mowę.

Usiłował je stłumić, lecz nie mogąc tego dokazać, wstał od stołu.

— Marcinie—rzekła hrabina—zaprowadź pana Jana do ogrodu, tam ochłonie trochę.

I podczas, gdy Marcin odprowadzał płaczącego chłopca, ciotka dodała:

— Przepraszam was, panie i panowie za tę przykrą scenę. Przykro mi niezmiernie, że narzuciłam wam towarzystwo płaczliwego Janka. Wierzcie mi, że nie przypuszczałam, aby to dziecko było tak bardzo czułe.

Nikt nie odpowiedział na te słowa i obiad skończył się w milczeniu.

Kiedy podano wety, kanoniczka spostrzegła, że pani de Lespine nakładła sobie na talerzyk ślicznych wisien, które w owej porze roku były jeszcze osobliwością, poczem ułożyła je ładnie w haftowaną chusteczkę.

— Zaniosę to biednemu Jankowi — rzekła. — Trzeba go uspokoić. Dzięki Bogu, już się obiad skończył... dwie godziny siedzieć przy stole, to trochę zadługo...

I margrabina, wsparłszy się na ramieniu swego towarzysza, powróciła z nim do salonu, gdzie pożegnała go uprzejmym ukłonem i przez oszklone drzwi wyszła na ganek. Zwolna zeszła ze schodków i znikła w ogrodzie, pogrążonym już w cieniach zmroku.

Wkrótce ukazała się znów w salonie, z uśmiechem zadowolenia na ustach, trzymając końcami palców piękną, koronkową chusteczkę, powalaną sokiem z wisien. Zbliżyła się do stoliczka i, poło-

żywszy na nim chustkę, rzekła do pana de Beaucourt:

— Henryku, idź z żoną do ogrodu, aby uwolnić od obowiązku czuwania nad Jankiem Marcina, który musi być bardzo głodny. Karolcia pójdzie z wami. Wszak zgadzasz się na to, moja droga Antonino? Moja wnuczka przyprowadzi z sobą swego małego przyjaciela, aby mógł wysłuchać powiastki, którą obiecałam opowiedzieć im obojgu.

Hrabianka Antonina, do której zdania pani de Lespine odwołała się tylko dla formy, nie mogła opierać się jej żądaniu i rzekła:

— I owszem, idźcie, ale wracajcie prędko, gdyż mamy zagrać w loteryjkę, do której Henryk jest koniecznie potrzebny.

Gdy pan de Beaucourt z żoną wyszedł, kanoniczka i margrabina pozostały same w zagłębieniu otwartego okna. Przez chwilę milczały obie; hrabianka Antonina spoglądała przed siebie ze ściśniętemi gniewnie brwiami, podczas, gdy na ustach pani de Lespine igrał uśmiech. Wreszcie ta ostatnia odezwała się pierwsza:

— Otóż to nazywam starodawną gościnnością; nie wiem, doprawdy jak ci dziękować za taką wyborną kawę!

— Ah, mój Boże! domyślam się, że ci jej wcale nie podano; biegnę natychmiast zawołać na służbę...

— Nie trudź się, wiesz, że nie piję nigdy kawy wieczorem.

— Zapewne byłaś w ogrodzie, kiedy ją obnoszono?

— Mniejsza o to! Teraz powiedz mi, proszę, o wszystkiem, co dotyczy zamiarów twego brata i o postanowieniu, o którem wspominałaś mi zaledwie w kilku słowach. Nie mówię ci tego, aby ci robić wyrzuty, Antonino, ale podczas mej nieobecności pisywałaś do mnie bardzo krótkie i małoznaczące listy.

— W istocie, nie lubię prowadzić korespondencyi, Natalio. Dziś zato powiadomię cię o wszystkich familijnych sprawach. Tak samo ty, jak wszyscy nasi przyjaciele wiedzą, że Henryk ożenił się przed dziesięciu laty wbrew mej woli.

— A jednak nie masz nic do zarzucenia Maryi d'Aspreuilles?

— Nie, nic zgoła; ale ja inny uczyniłam wybór, a brat nie zgodził się nań. To pierwsze zmartwienie, którego doznałam z jego powodu, było dla mnie bardzo bolesne. Kochałam Henryka, jak gdyby był moim synem.

— Wiem o tem. Byłaś dla niego, jak rodzoną matką.

— A on był dla mnie zawsze źródłem pociechy i aż do chwili tego nieszczęsnego związku, żadna sprzeczka, żadna chmurka nie zaćmiła harmonii naszego serdecznego przywiązania. Mój brat objął zawód, jaki pragnęłam dla niego i śmiało mogę powiedzieć, że zawsze okazywał się godnym przodków swoich... Jednakże, gdy w roku 1829-tym prosiłam go, aby wystąpił z armii, oparł się moim prośbom... No, ale i to mu przebaczyłam...

Majątek, który odziedziczyłam po mojej matce, czyni mnie daleko bogatszą od Henryka. Po

rewolucyi nie odziedziczyliśmy nawet czwartej części majątku ojca, którego druga żona była niemal uboga. Kiedy Henryk ożenił się z panną d'Aspreuilles, nie dałam mu żadnego posagu i sądzę, że w owym czasie nie byłby go przyjął ode mnie. Pojmujesz to łatwo, że stosunki nasze oziębiły się znacznie po ożenieniu Henryka. Wiesz także, iż przed dwoma tygodniami oznajmił mi on, że stracił cały swój majątek osobisty, jakoteż mały posag żony, nie z własnej winy, ale z powodu zbiegu nieszczęśliwych okoliczności, gdyż powierzył pieniądze człowiekowi, nie zasługującemu na zaufanie. Człowiek ów zrobił nadużycie z upoważnienia, jakie mu mój brat zostawił, wybierając się na ostatnią wojnę... Jednem słowem, młode małżeństwo zupełnie jest zrujnowane pod względem majątkowym. Henryk oczekuje lada chwila wezwania do pułku, wysłanego do Algeru. Zamiar jego, zabrania tam z sobą młodej żony i delikatnego dziecięcia, wydał mi się więcej jak nierozsądnym. Oświadczyłam się więc z chęcią przyjęcia do mojego domu pani Henrykowej i mego siostrzeńca, ale pod warunkiem, że do mnie wyłącznie należyć będzie kierunek wychowania Janka. Rodzice zgodzili się na to...

— Ah!—zawołała pani de Lespine.

— Co znaczy twój wykrzyknik, Natalio?—podchwyciła z żywością hrabianka Antonina.—Czy uważasz, że jestem niezdolna kierować wychowaniem i wykształceniem tego dziecięcia? Chyba nie możesz zaprzeczyć, że ojcem jego udało mi się dobrze pokierować...

— Tak, ale wzięłaś go do siebie, gdy był sierotą i kochałaś go serdecznie.

— Czy sądzisz, że nie mam przywiązania do mojego siostrzeńca i zarazem jedynego dziedzica naszego nazwiska?

— Otóż to, doszliśmy do głównego powodu, wpływającego na twoje postanowienie... Janek jest dla ciebie tylko spadkobiercą nazwiska, ale nie synem Maryi d'Aspreuilles.

— A więc tak... będę szczerą zupełnie i nie taję przed tobą, że nie lubię tej kobiety, która stanęła pomiędzy mną, a moim bratem. Pomimo tego jednak będę zawsze względem niej sprawiedliwą.

— Sprawiedliwość ludzka, moja droga Antonino, bywa niekiedy surowością. Widzę jednak, że cię drażnię, zamiast przekonać. Ale otóż wracają dzieci i ciebie wołają także.

W istocie, osoby pragnące grać w loteryjkę, wzywały do swego towarzystwa gospodynię domu. Henryk poszedł z siostrą, aby dopomódz jej w rozdaniu tabliczek i wkrótce partya się rozpoczęła.

Pani de Lespine, z panią Henrykową, dziećmi i młodem małżeństwem pozostała w salonie, gdzie małe gronko zajęło się rozmową. Wtedy Janek upomniał się u margrabiny o uczynioną mu obietnicę jakiegoś opowiadania. Karolcia poparła jego prośby.

— Opowiedz nam, babciu, co chcesz—rzekła— wszystko, co mówisz, jest zawsze tak ładne i tak zajmujące!

— Pochlebiasz mi, pieszczotko, dlatego, aby mnie zmusić do mówienia; ale czyż moje opowia-

danie może zająć obecne tu panie i pana?—dodała, zwracając się do gości.

Naturalnie, że odpowiedziano jej twierdząco, a młoda małżonka dodała:

— Wszyscy znają krasnomówczy talent pani margrabiny, a gdyby pani chciała jeszcze opowiedzieć nam coś z owych czasów, gdy sama była dzielnym wojownikiem, zadowolenie nasze nie miałoby granic.

— Uczynię to bardzo chętnie, chociaż wspomnienia te nie są zbyt wesołe, a może nawet zbyt poważne dla mojego małego przyjaciela, Janka,

— Nie, pani margrabino, ja bardzo lubię słuchać rzeczy poważnych!—z żywością zawołał chłopczyk, a ładna jego twarzyczka oblokła się wyrazem wcale nie dziecinnej powagi.—Zresztą po tem opowiadaniu poważnem powie nam pani jaką baśń czarodziejską i...

Tu matka przerwała mu, mówiąc:

— Nadużywasz uprzejmości pani de Lespine.

— Nie, nie, Janek może wszystkiego żądać ode mnie, gdyż on już rozumie, co to jest odmowa. Zaczynam więc, lecz proszę, uprzedźcie mnie w razie, gdyby się ku nam zbliżyła hrabianka Antonina, gdyż ona nie lubi wspominać czasów, o których właśnie mówić będę.

II.

Opowiadanie margrabiny.

— W roku 1793 wybuchła we Francyi wojna domowa. Pewna część ludności zbuntowała się przeciw królowi Ludwikowi XVI i zacięcie walczyła z jego stronnikami. Myśmy stali po stronie króla, to też wkrótce zbrojny oddział przeciwników naszych otoczył starożytny klasztor, w którym schroniliśmy się.

Było tam może ze sto osób, kobiet, dzieci i rannych; pomiędzy temi ostatniemi znajdował się mój ojciec i Robert, brat panny de Beaucourt.

— Czy i ty tam byłaś, babciu?—zapytała Karolcia.

— Tak jest, moje dziecię; ja i Antonina należałyśmy także do liczby tych nieszczęśliwych. Posłaliśmy jednego z przyjaciół, jako parlamentarza do oblegających, lecz ci zastrzelili go. Z poza wałów dochodziły nas groźne krzyki:

— Żadnego przebaczenia, żadnej łaski niema dla zbuntowanych, dla zbójców i ich dzieci!

Słysząc to, postanowiliśmy drogo sprzedać życie i przez czterdzieści godzin ogień nie ustawał ani na chwilę ze stron obu. Kobiety nabijały strzelby, albo zastępowały znużonych mężczyzn. Robert, któremu kula strzaskała prawe ramię, strzelał lewą ręką, przy pomocy Antoniny. Zdaje mi się, że widzę jeszcze tego nieszczęśliwego młodzieńca, którego śliczna twarz podobna była do oblicza młodej dziewczyny, gdyż miał zaledwie lat dwadzieścia.

Trzeciego dnia brakowało nam już żywności i amunicyi, a nieprzyjacielowi przyszły w pomoc armaty. Naturalnie, że wystrzały armatnie zrobiły wyłom w murze. Ludzie zaczęli walczyć ze sobą, a w chwili, gdy miała się rozpocząć rzeź najokropniejsza, jakiś pułkownik, o którego nazwisku nigdy się nie dowiedziałam, idąc za popędem bardziej ludzkiego uczucia, rzucił się pomiędzy swoich żołnierzy, którzy upojeni już byli krwią i krzyknął:

— Według rozkazu generała Marceau, wszyscy zwyciężeni, pozostający przy życiu, mają być dostawieni do Nantes!

Niektórzy żołnierze nie chcieli mu być posłuszni, lecz pułkownik, przy pomocy dwóch oficerów, położył trupem opornych. Jestem pewna, że zacny ten pułkownik umyślnie nie zaglądał do piwnic klasztornych, gdzie schroniły się rodziny wieśniaków. Ale ludzkość jego nie mogła objawić się jawniej i musiał nas w liczbie czterdziestu osób, zdrowych i rannych zarazem, zaprowadzić do Nantes. W drodze, straż obchodziła się z nami dość litościwie.

W Nantes rozdzielono nas z naszymi towarzyszami nieszczęścia i wtrącono mnie i ojca do wilgotnej kryjówki, gdzie nas trzymano przez miesiąc bez światła i ognia. Całem naszem pożywieniem był tylko chleb czerstwy i spleśniały, a i tę nędzną strawę nie codzień nam podawano. W tem położeniu oczekiwaliśmy śmierci, prosząc Boga, aby nam ją zesłał razem.

Rózia, córka dozorcy więziennego, przynosiła nam pożywienie wtedy, gdy jej to przyszło na myśl

Przez cały miesiąc nie widzieliśmy nikogo więcej. Rózia podawała nam chleb przez kratę i czasami napełniała nasz dzbanek świeżą wodą, często jednak mówiła nam:

— Zapomniałam przynieść wody, to już przyniosę wam jutro.

A gdy spragniona, błagałam ją, aby to uczyniła dzisiaj, dziewczyna śmiała się, pokazując drobne, białe zęby, a na jej twarzy i w oczach malowało się okrucieństwo.

Matka jej, jak się potem dowiedziałam, należała do liczby tych kobiet, które bywały obecne przy każdym wyroku śmierci, dokonywanym tak w Nantes, jak w Paryżu.

Pewnego dnia Rózia dłużej jak zwykle zatrzymała się przed kratą i opowiadała nam, że była wczoraj obecną przy śmierci wielu skazanych. Wreszcie zakończyła swoje opowiadanie temi słowy:

— Twoja sąsiadka, którą znasz dobrze, ta, co ją pomieszczono w więzieniu nad tobą, zbrodniarka Beaucourt i jeszcze jakiś arystokrata, zostali utopieni dzisiejszego rana... widziałam to na własne oczy... bronili się uporczywie.

Możecie sobie łatwo wyobrazić, jak gorzkiemi łzami opłakiwałam zgon mojej przyjaciółki; na szczęście Rózia skłamała, mówiąc mi o Antoninie. Tymczasem jeden z kluczników więziennych myślał o tem, jakby nam ułatwić ucieczkę. Ojciec mój wyświadczył niegdyś jakieś dobrodziejstwo pewnemu kupcowi z Nantes, a ten, znając klucznika, zobowiązał go, aby nas ocalił. Jednego dnia znaleźliśmy mały bilecik, ukryty w bochenku chleba.

Karteczka ta odkryła nam ułożony plan ucieczki, który powinien się był udać.

Pewnego wieczora, klucznik zapomniał rozmyślnie zasunąć krat naszego więzienia i tym sposobem mogliśmy się wymknąć, gdy noc zapadła. Klucznik, który już czekał na nas, przeprowadził nas przez zapomniane i opuszczone podziemia, aż nad brzeg rzeki. Tam znaleźliśmy przygotowane ubrania rybaków i łódź, do której wsiedliśmy wszyscy troje, gdyż nasz wybawca przypłaciłby głową, gdyby się był odważył powrócić do Nantes. Na łodzi wypłynęliśmy na pełne morze i szczęśliwie, nie będąc nawet ścigani, dostaliśmy się do angielskiego statku, który nas przyjął na swój pokład. Dopiero w Londynie mogliśmy wynagrodzić tego, który naraził własne życie, dla ocalenia naszego.

Tam dopiero dowiedzieliśmy się o śmierci wielu znajomych i krewnych, którzy zginęli na rusztowaniu w Paryżu, lub gdzieindziej. Pomimo szczęścia, jakiego doznawałam, na widok uwolnionego ojca i matki, z którą połączyliśmy się za granicą, sercem mojem szarpał straszliwy niepokój, długi czas bowiem nie wiedziałam na pewno, co się stało z Antoniną.

Nieszczęśliwa, zamknięta w więzieniu w Nantes, oczekiwała śmierci, mniemała bowiem, że ojca jej stracono na gilotynie w Paryżu i że brat jej poległ. Ale nad losem opuszczonej czuwał z daleka wierny sługa i układał dla niej plan ucieczki.

Człowiek ten, który zdołał umknąć w chwili zdobycia klasztoru, szedł z daleka za więźniami

i widział Antoninę, wchodzącą do drzwi więzienia... Człowiekiem tym—był Marcin.

— Ah! domyślałem się tego! — zawołał Janek.

— Tak mój Janku, Marcin, który mieszkając poprzednio w Nantes, domyślał się istnienia podziemnych przejść, przez które uciekliśmy z ojcem. Poczciwy człowiek poznał się z odźwiernymi więzienia i wreszcie zdołał ich skłonić do tego, że przyrzekli dopomódz mu do ucieczki panny de Beaucourt.

Pewnego wieczora, wędrowny kupiec sprzedał strażnikom więzienia doskonałego wina po bardzo przystępnej cenie. Ma się rozumieć, że strażnicy, korzystając z tak dobrej okazyi, podpili sobie znakomicie; wtedy żona odźwiernego wyciągnęła im klucze i doprowadziła Marcina do celki Antoniny, która w owym czasie siedziała sama w więzieniu, gdyż wszyscy towarzysze jej już zginęli śmiercią męczeńską. Nieszczęśliwa moja przyjaciółka miała nazajutrz stanąć przed sędziami. Czyż dla niej mieliby być łaskawsi?...

Marcin w krótkich słowach opowiedział Antoninie projekt ucieczki, zapewniając ją, że nikt nie będzie mógł podejrzewać odźwiernych o współudział w jej zniknięciu, gdyż odźwierni nigdy nie zaglądali do celek więziennych. Należało tylko śpieszyć się, korzystając z cieniów nocy i snu pijanych strażników.

Wtedy to dopiero Antonina zaczęła dopytywać się o los brata. Odźwierna odpowiedziała jej, że jakiś młodzieniec, imieniem Robert, który jest

obecnie w więzieniu, ma zginąć nazajutrz na rusztowaniu.

— Gdzież on jest zamknięty?—zawołała z najwyższym niepokojem Antonina.

— Na tem samem piętrze—odpowiedziała kobieta.

— Jeśli tak—rzekła Antonina—straciwszy więc rodziców, przyjaciół, teraz mam stracić brata; oh! nie! na nic mi się już nie przyda ucieczka!... Chcę zostać przy moim bracie!... Dziękuję wam serdecznie za waszą dobroć i tobie, Marcinie i tobie, pani. Niech was Bóg wynagrodzi za wasze poświęcenie.

Napróżno poczciwi ludzie błagali pannę de Beaucourt, nie chciała ich usłuchać i niewzruszenie obstawała przy swem postanowieniu.

Wreszcie odźwierna zapytała uwięzionej, czy zgodziłaby się uciekać wraz z bratem.

— Naturalnie, że wtedy z rozkoszą odzyskałabym wolność—odparła Antonina.

Zacna kobieta wyszła wtedy z celki więziennej, gdzie moja przyjaciółka i Marcin czekali na nią długo. Powróciła wreszcie, a na twarzy jej głębokie malowało się wzruszenie; podała Antoninie karteczkę, skreśloną naprędce ołówkiem, którą czytałam później i której słowa utkwiły mi dokładnie w pamięci. Zawierała ona następuiące wyrazy:

„Droga Antonino! Kobieta szlachetna i odważna błagała mnie w tej chwili, abym, przebrawszy się w jej ubranie, uciekał z więzienia. Chciała ona zająć moje miejsce i udawać, że śpi. Tym sposobem, dopiero z rana spostrzeżonoby moją ucieczkę, gdyż pomimo to, że co godzina dozorcy

zwiedzają celki więzienne, jednakże przy słabem oświetleniu, nie rozpoznaliby rysów twarzy kobiety uśpionej. Mogłem zatem połączyć się z tobą i razem z tobą odzyskać wolność. Zobaczyć cię, Antonino, jakaż to dla mnie była pokusa! Ale niech Bóg będzie błogosławiony za to, że dał mi odwagę, abym się oparł tym chęciom. Wiem bowiem doskonale, na jakie niebezpieczeństwo chciała się narazić ta szlachetna kobieta! Znam mściwość naszych nieprzyjaciół, gdy umknie im jaka ofiara; a zdaje mi się, że ja dla nich jestem bardzo cenną zdobyczą... Zabiliby więc moją wybawicielkę. Do widzenia, moja najdroższa siostro! Zobaczymy się w niebie... gdzie nas już nic nie rozłączy... Jestem pewny, że pochwalisz moje postanowienie."

— Tak jest, pochwalam i dumną jestem z niego!— zawołała Antonina.—A teraz oddalcie się i pozostawcie mnie samą, ja także umrę... Poświęcenia się waszego, serce moje przyjąć nie może...

Odźwierna i Marcin napróżno prosili i błagali; panna de Beaucourt pozostała niewzruszona. Nazajutrz poczciwy Marcin szedł za młodym bohaterem, aż do stóp straszliwej maszyny. Tam przyjął ostatnie jego spojrzenie, gdy ów nieszczęśliwy, oblany promieniami wschodzącego słońca, ze skrępowanemi rękami, ale wysoko podniesionem czołem i uśmiechem na ustach wchodził na stopnie rusztowania, mówiąc pewnym głosem „Ojcze nasz" i „Wierzę w Boga."

Gdy piękna głowa Roberta potoczyła się na ziemię, szmer wzruszenia przebiegł pośród okrutnego tłumu; byli tacy nawet, co nie taili się

z oburzeniem i litością. To też Antoninę i innych więźniów postanowiono utopić.

W dwa dni później, panna de Beaucourt została przyłączona do jednego transportu skazanych.

Ludzie, przybrani w czerwone kamizelki, wywlekli z więzienia biedną moją przyjaciółkę i wrzucili ją razem z innemi na dziurawą łódź, którą odepchnęli na środek rzeki. Naturalnie, że łódź wkrótce zaczęła napełniać się wodą. Antonina nie podniosła ani razu oczu; modliła się ciągle, aż do chwili, gdy zimna woda zaczęła wznosić się coraz wyżej w łodzi. Nagle uczuła się oswobodzoną z więzów i przekonała się, że chwyta ją w objęcia jeden z jej towarzyszów, razem z nią rzucając się w wodę. Gdy odzyskała zmysły, spostrzegła, że znajduje się na czystem łóżku, w skromnym a nieznanym sobie pokoju i mniemała, że budzi się z długiego snu. Jakaś kobieta i Marcin czuwali przy jej łóżku, uśmiechając się do niej przyjaźnie; po twarzy Marcina spływały łzy.

Człowiekiem, który ją ocalił, był Marcin. Dzięki poczciwemu odźwiernemu i jego żonie, zdołał się przebrać i wmieszać się pomiędzy więźniów. Przywiązano go obok jego młodej pani, ale niezbyt mocnymi węzłami, które rozerwał z łatwością.

Marcin dał najpierw nurka i razem ze swoim drogocennym ciężarem, wydostał się na brzeg przeciwległy. Następnie udał się do domku, znajdującego się na uboczu, którego właścicielka nie odmawiała nigdy schronienia osobom prześladowanym. Gdy dochodzili do owego domu, Antonina zemdlała i trzy tygodnie leżała w gorączce i malignie.

Powróciwszy do zdrowia, moja biedna przyjaciółka żałowała gorzko, że przeżyła sama jedna wszystkich swoich ukochanych, ale starała się ukrywać swój żal wobec tych, co ją ocalili i przygarnęli do siebie. Gdy wreszcie nadszedł dzień, w którym powstrzymano okrucieństwa, Antonina, w towarzystwie Marcina mogła opuścić Francyę i połączyć się z ojcem. Mąż ten został wypuszczony na wolność, gdy otworzono drzwi pierwszych więzień.

Tym sposobem miałyśmy szczęście zobaczyć się jeszcze, a o tem wszystkiem, o czem wam mówiłam, dowiedziałam się od Antoniny, która mnie prosiła zarazem, ażebym już nigdy w jej obecności nie wspominała zdarzeń, dotyczących owej okropnej epoki. Biedaczka, wiem, że się nigdy nie pocieszyła po stracie ukochanego brata! Jestem o tem najmocniej przekonana.

Wszyscy słuchali tego opowiadania z nadzwyczajną uwagą. Janek, nieruchomy, ze wzrokiem utkwionym w oblicze margrabiny, zdawał się chwytać słowa wychodzące z jej ust.

— A Marcin?—zapytał—co się z nim stało?

— To prawda, zapomniałam powiedzieć wam o tem. Marcin nie chciał przyjąć żadnego wynagrodzenia za swoje poświęcenie i pozostał tylko w służbie u swojej pani. Takim, jakim go dziś widzicie, był zawsze. Odźwierni więzienia i poczciwa kobieta, która pielęgnowała moją przyjaciółkę zostali wynagrodzeni bardzo wspaniałomyślnie. Ale widzę, że zbliża się ku nam Antonina. Karolciu i Janku, pamiętajcie dotrzymać tajemnicy: nie mów-

cie o tem, co wam opowiedziałam. Wspomnienia te sprawiają przykrość mojej przyjaciółce.

— Przyrzekam to pani—odpowiedział Janek— i obiecuję zarazem, że będę zawsze dobry dla ciotki.

Wszyscy uśmiechnęli się, słysząc podobne zobowiązanie, wygłoszone przez małego chłopca, względem starszej osoby.

W kilka dni, po opisanych przez nas scenach, pan de Beaucourt odjechał do Afryki. Przed odjazdem oddał siostrze zapieczętowaną kopertę, mówiąc:

— Jeżeli nie wrócę do kraju, moja kochana Antonino, oddasz ten list Maryi i mam nadzieję, że postarasz się zastąpić jej opiekę męża, któregoby utraciła.

— Muszę cię także uprzedzić, że od czasu do czasu, na wyraźną moją prośbę, żona moja i Janek udadzą się do Garches, dla odwiedzenia Marty, naszej córki chrzestnej.

— Mój bracie, nie pochwalam bynajmniej tych odwiedzin; za życia dzierżawczyni uchodziło to jeszcze. Była ona twoją siostrą mleczną; jej matka pielęgnowała cię i karmiła z największem poświęceniem. Ale od chwili wdowieństwa i ożenienia się dzierżawcy, wszystko się zmieniło. Gdyby jednak twoja chrzestna córka potrzebowała jakiej pomocy, nie zapomnę o niej, bądź o tem przekonany.

— Dziekuję ci, droga siostro; ale ja pragnę, aby Marya odwiedzała sama to dziecię, dla którego wpływ jej może stać się zbawiennym.

— Bardzo dobrze, mój przyjacielu; jakiemkolwiek jest moje zdanie w tym względzie, nie będę

się bynajmniej sprzeciwiał utrzymaniu nadal tych stosunków.

Po odjeździe pana Beaucourt, ciotka Antonina zajęła się opieką nad Jankiem.

Janek, od najmłodszego wieku drobny i delikatny, był podwójnie kochany i pieszczony; wszakże, ciotka Antonina ganiła tę pobłażliwość rodziców.

— Mój siostrzeniec wyrośnie na zmokłą kurę—powtarzała często.

Gdy powiedziała bratu, że weźmie do siebie matkę i dziecię i że zajmie się wychowaniem Janka, dodała natychmiast:

— Umieszczę Janka w kolegium, w którem ty byłeś wychowany.

Napróżno komendant przedstawiał siostrze, że chłopczyna był jeszcze zbyt młody i delikatnego zdrowia i że matka z dala od syna będzie się czuła osamotnioną, kanoniczka, pewna słuszności swego zdania, okazała się nieugiętą. Już raz zerwano prawie stosunki; teraz, gdyby Henryk nie ustąpił, poróżnienie byłoby stanowcze. Pani Henrykowa zrozumiała to i zgodziła się na wszystkie warunki, w nadziei, że sama tylko będzie cierpiała z tego powodu, a Janek przyzwyczai się do wymagań kanoniczki i szkolnego rygoru. Ojciec nie wątpił o tem ani na chwilę, gdyż dotąd bardzo przyjemnie wspominał kolegium w Juilly i jedynie litował się nad swoją żoną, której odwagę i przytomność umysłu podziwiał zawsze. W chwili pożegnania; powtórzył jej jeszcze po raz ostatni:

— Moja biedna, ukochana Maryo, jeżeli czuć się będziesz bardzo smutną, jeżeli życie twoje upły-

Biblioteka Uniwersytecka w Kielcach

wać będzie w zbyt przykrych warunkach i jeżeli siostra moja nie oceni cię tak, jak na to zasługujesz, nie wahaj się napisać mi szczerej prawdy, a wtedy znajdę sposób, abyśmy się już nie rozłączali.

Pan de Beaucourt odjechał bardzo smutny; później, w przeciągu dwóch lat, które spędził w Afryce, wysyłany ciągle na różne wycieczki, nie mógł ani razu otrzymać urlopu. Żona więc jego nieraz była smutną i zaniepokojoną.

Co do hrabianki Antoniny, to ta w głębi duszy doznała prawdziwej radości, na myśl, że mieszkać już nie będzie sama w ogromnym pałacu, przy ulicy Saint-Romain. Jednakże zadowolenia swego nie okazała na zewnątrz i nikt nie odgadłby, jak żywe przywiązanie do siostrzeńca zbudziło się w jej sercu. Ona sama nie zdawała sobie z początku dokładnej z tego sprawy, ale nie bardzoby ją zadziwił ten, ktoby jej był powiedział, że dlatego głównie trwała w swem postanowieniu oddania chłopca do kolegium, iż zazdrosną była o jego przywiązanie do matki.

Człowiek zaś, umiejący czytać w sercu ludzkiem, odgadłby, że ciotka dałaby wiele za jednę z tych pieszczot, któremi chłopiec obdarzał swą matkę.

Jankowi jednak nigdy nie przyszło na myśl, że może się okazać serdeczniejszym względem tej poważnej, surowej istoty; tylko od dnia, w którym sobie postanowił być dobrym dla ciotki, okazywał jej uprzejmość i grzeczność, był jej posłusznym i słuchał jej uwag i napomnień z powagą niezwykłą

u dzieci. Starał się oddawać jej rozmaite drobne przysługi, a jeśli widział ją bardziej surową niż zwykle, mówił sobie w duchu:

— Pewnie ciotka myśli o tych, których straciła w Nantes.

I wtedy małe jego serduszko napełniało się współczuciem dla siostry tego pięknego młodzieńca, którego głowę zdawało mu się, że widzi staczającą się na ziemię. Opowiadanie margrabiny żywo utkwiło mu w pamięci.

Mając mało towarzystwa, odpowiedniego swemu wiekowi, Janek w niczem nie był podobny do innych chłopców; to też matka sądziła, że byłoby rozsądniej przygotować go zwolna do życia koleżeńskiego, posyłając go do szkoły, jako ucznia przychodniego; ale kanoniczka była przeciwnego zdania, i obie z matką odprowadziły chłopca, dnia pierwszego października, do kolegium w Juilly.

III.

Wakacye Janka.

Starożytne opactwo w Juilly, zbudowane jeszcze 1200 roku, zamienione zostało, w roku 1639, na zakład wychowawczy, pod kierunkiem Ojców, zwanych Kaznodziejami. W kolegium wychowało się mnóstwo ludzi sławnych, a wszyscy wynieśli ze szkoły bardzo miłe wspomnienia. Komendant de Beaucourt, sądząc po sobie, mniemał, że syn jego będzie równie szczęśliwy w Juilly; prawda, że nie

brał w rachubę delikatnego zdrowia i pierwotnego wychowania Janka.

Chłopczyk, nad wiek rozwinięty, był mało wesoły i swobodny; odziedziczył po matce charakter poważny, cichy i do zastanawiania się skłonny. To też gdy go się o co pytano, odpowiadał zwykle otwarcie i szczerze.

Umieszczony najpierw w drugim oddziale siódmej klasy [1]), został wkrótce pierwszym uczniem, wyprzedzając o wiele starszych od siebie kolegów. Profesorowie polubili prędko tego bladego i spokojnego chłopca, tak skromnego a tak szczerego, który nigdy nie zasłużył na karę. Towarzysze zaś spoglądali na niego odrazu z niedowierzaniem i nieufnością. Gdyby ich kto spytał, dlaczego tak postępują, nie umieliby na to odpowiedzieć, bo Janek był jakby stworzony do kochania; oddawał im wszystko, o co go tylko proszono, zabawki i łakocie, jednem słowem: wszystko; nic nie zostawiał dla siebie. Naturalnie, że wkrótce koledzy zaczęli nadużywać jego wspaniałomyślności, którą jednak między sobą nazywali głupotą. Pewien zły uczeń, najstarszy wiekiem z całej klasy, powiedział jednego dnia:

— Beaucourt wydaje mi się głupi, gdyż wczoraj zgodził się zamienić swego bąka, którego dostał od matki, na mojego, który nie wart nawet kilku su.

---

[1]) We Francyi najniższa klasa nazywa się siódmą, a najwyższa pierwszą.

— Może chciał tym sposobem zrobić ci przyjemność? — ośmielił się odezwać jakiś mały chłopczyk.

— Co znowu? zrobić mi przyjemność? Ale w jakim celu? Czy ja mu kiedy zrobiłem jaką przyjemność? Nie, on jest głupi; za dużo pracuje i to go ogłupia. Mówię wam, że tak jest, a nie inaczej.

Wszyscy źli uczniowie potwierdzili to zdanie jednogłośnie, i raz wyrobiona opinia przylgnęła do Janka.

Juilly odległe było o dwanaście mil od Paryża, i uczniowie mogli tylko opuszczać szkołę na wakacye, lub święta, wszelkie zaś rekreacye przepędzali w szkole. Rodzice odwiedzali ich w zakładzie, niekiedy i pani de Beaucourt jeździła także, a to o ile mogła najczęściej. Nocowała wtenczas w wiosce i przepędzała dzień w parku, jeśli była piękna pogoda, lub też zabierała syna z sobą na jaką wycieczkę w okolicę. Spożywano wtedy śniadanie na trawie, i Janek z wielką zawsze niecierpliwością oczekiwał podobnej uroczystości. Biedny chłopczyna sam nie zdawał sobie z tego sprawy, że z każdym dniem bardziej żałował domowego ogniska i dawnego trybu życia. Matka znów ze swojej strony trwożyła się niewymownie, gdy za każdemi odwiedzinami spostrzegała, iż dziecię staje się coraz bledsze i mizerniejsze.

Raz nawet zawezwała rady doktora, lecz ten nie dostrzegł nic zastraszającego w stanie zdrowia Janka; wprawdzie chłopiec dużo pracował, ale czy-

nił to bez wysiłku i bardzo często kończył lekcye wcześniej od swoich towarzyszów.

O tych ostatnich Janek nigdy nie wspominał matce, za to niewyczerpanym tematem do rozmowy byli dla niego Ojcowie. Janek chwalił, że jeden z nich doskonale gra w piłkę, a drugi wykłada tak jasno! Co zaś do sióstr, pilnujących infirmeryi, to jest szpitala, Janek twierdził, iż były tak dobre i łagodne, że niemal przyjemnością było chorować, aby się oddać pod ich opiekę.

— Ale czy nie masz przyjaciela pomiędzy towarzyszami?—pytała go kilka razy matka.

— Przyjaciela? ach! nie, mamo!... Doprawdy ja nie mam przyjaciela, choć inni ich mają. Wytłómacz mi, mamo, dlaczego tak jest?

— Moje dziecię, nie znając twoich kolegów trudnoby mi było ci to wytłómaczyć.

— Z pomiędzy wszystkich, lubię tylko jednego, małego Jerzego Segris, który jest kulawy. Wszyscy go łają i nazywają żebrakiem, dlatego że jego rodzice są ubodzy i on nic tu nie płaci, jest stypendystą. Jak to źle z ich strony! nie prawdaż, mamo? Ja go zawsze bronię.

Wreszcie nadeszły wakacye letnie, i kanoniczka z panią de Beaucourt były obecne przy rozdawaniu nagród. Janek odznaczył się najwięcej z pomiędzy wszystkich kolegów. Widząc syna, wchodzącego po stopniach estrady dla otrzymania wieńców, matka była zachwycona, ale i strwożona zarazem, gdyż dziecię, pomimo radości wywołanej powodzeniem, bardzo było blade i mizerne, a wielkie jego oczy wydawały się jeszcze większemi.

Kanoniczka, dumna powodzeniem potomka rodu de Beaucourt, winszowała sobie w duchu, że nie usłuchała nierozsądnych obaw Maryi d'Aspreuilles.

Jednakże, gdy obie kobiety poszły się pożegnać z dyrektorem zakładu, ten rzekł do nich:

— Łaskawe panie, pozwólcie, abym wam jednej udzielił rady, to jest, ażeby Janka zatrzymać w domu przez cały rok przyszły. Może on i w domu przechodzić kurs szóstej klasy, nie trudząc się bardzo, a następnie przeszedłby ją u nas. Janek jest tak młody, że nie straci bynajmniej na zwłoce, a zyska wiele na siłach, nietylko fizycznych, ale i moralnych. Nauczy się lepiej bronić od dokuczliwych często żartów innych dzieci i w ogóle wyjdzie mu to na dobre. Wierzcie mi, panie, że rada moja wypływa z doświadczenia, gdyż jestem szczerym przyjacielem młodzieży.

— Ach! wielebny ojcze, odgadłeś tajemną myśl moją!—zawołała matka—i serdeczne za to składam ci dzięki. Z pewnością, że zastosujemy się do twojej rady, nie prawdaż, moja siostro? — dodała, zwracając się do panny Antoniny.

Kanoniczka nic nie odrzekła na nieśmiałe zapytanie bratowej, lecz grzecznie odpowiedziała dyrektorowi, że nie może zupełnie wyrokować w tej kwestyi i że jedynie brat jej, którego zdania zasięgnie listownie, postanowi to, co uzna za korzystniejsze dla syna.

Dyrektor, powiedziawszy, co mu nakazywało sumienie, nie nalegał już więcej.

Pisząc do męża, pani de Beaucourt przytoczyła mu zdanie swoje i przełożonego zakładu w Juil-

ly, kładąc głównie nacisk na delikatne zdrowie Janka.

Na nieszczęście, wrażenie tego listu zepsuł długi list kanoniczki, w którym ta ostatnia opisywała z zapałem o powodzeniu Janka w kolegium, dodając, że byłoby grzechem przerywać tak pięknie rozpoczętą naukę. Mniemana delikatność zdrowia dziecięcia istniała tylko w wyobraźni matki.

Pan de Beaucourt, który się właśnie wybierał na jakąś wojenną wyprawę, ucieszony powodzeniem syna, odpowiedział żonie w sposób żartobliwy, uważając za przesadzone jej względem syna obawy.

„Byłoby mi bardzo przykro, gdyby moje drogie dziecko przerwało nauki w Juilly. Całem sercem pragnę, aby przeszedł do szóstej klasy,"—pisał kilkakrotnie.

Podczas wakacyi, Marya po dwa lub trzy razy na tydzień wyjeżdżała z Jankiem w okolice Paryża, pomimo milczącej nagany kanoniczki, której te wycieczki także się nie podobały. Marya wyjeżdżała rano, a wracała dopiero późnym wieczorem. Marcin, sprzyjający zawsze zamiarom Maryi, skorzystał pewnego dnia z jej małoznaczącej choroby i rzekł, przystępując z uszanowaniem do kanoniczki:

— Pani hrabina jest dla mnie tak dobra, że ośmielę się prosić jej o jedną łaskę.

— O cóż ci chodzi, mój Marcinie?

— Chciałem prosić, aby pani hrabina upoważniła mnie do tego, iżby mi było wolno udawać się z panem Janem na wieś, wtedy naturalnie, gdy nie mam roboty.

— Janek prawie całe swoje życie spędza poza domem, i niedobrze czynisz, jeśli go do tego zachęcasz.

— Pani hrabino, ja miewam często jakieś zawroty głowy, i doktor pani hrabiny radzi mi używać dużo ruchu. Gdy jednak wyjdę sam, nudzę się i wracam natychmiast do domu, ale ponieważ pani hrabina nie chce mi powierzyć swego siostrzeńca...

— Jakimże się stajesz podejrzliwym, mój Marcinie! Wychodź, ile razy zechcesz, i zabieraj pana Jana, skoro tylko matka zgodzi się na to.

— Nie wiem, jak mam podziękować pani hrabinie za tyle dobroci—odpowiedział Marcin, z trudnością powstrzymując uśmiech.

Stary sługa wiedział, w jaki sposób postępować ze swoją panią.

— Trzeba umieć chwycić ją za serce—powiedział do pani Henrykowej.— Cała rzecz, że nie należy jej się lękać, choćby miała brwi groźnie ściągnięte.

W piękne, wrześniowe popołudnie, pani de Beaucourt z Jankiem przechadzała się po lesie w Ville-d'Arzay; śniadanie spożyli na trawie i, odpocząwszy w cieniu starych dębów, szli teraz do Garches, gdzie mieli jeść obiad u dobrych znajomych, dzierżawców Dubois, mieszkających w la Chêtaigneraye.

Policzki chłopczyka zaokrągliły się i zabarwiły lekkim rumieńcem; biegał wesoło i swobodnie, a matka, patrząc na niego, cieszyła się z całego serca.

— Ach! mamo, jak tu miło i ładnie!—zawołało dziecię.— Chciałbym, aby godziny nie posuwały się naprzód, gdyż smuci mnie myśl, że wkrótce będę musiał rozłączyć się z tobą.

— Nie zasmucaj tem przypomnieniem radości chwili obecnej, moje dziecię. O co to pytałeś się mnie, skoro spostrzegliśmy te ładne poziomki?

— Chciałem dowiedzieć się, mamo, dlaczego tak kochasz Martę, tak często ją odwiedzasz, i dlaczego Marta jest zawsze tak smutną i poważną? Czy i dziś zastaniemy ją tak smutną?

— Kochamy ją dlatego, mój Janku, że jej babka wykarmiła i wychowała twego ojca, a czyniła to z bezgranicznem przywiązaniem i troskliwością.

— Więc matka Marty była mleczną siostrą mego ojca?

— Tak jest, a przytem poczciwą i zacną kobietą; umarła ona, gdy córka miała lat dziewięć. Marta usiłowała zastąpić w gospodarstwie matkę, i już jej się to nieźle udawało, gdy ojciec jej ożenił się powtórnie z kobietą pospolitą i rozrzutną. Pomimo odwagi i pracy, przenoszącej nieraz jej siły, Marta nie mogła przeszkodzić mnożeniu się długów do tego stopnia, że blizka ruina zagraża im wszystkim. Marta jednak nie skarży się nigdy, choć mogę twierdzić śmiało, że biedna dziewczynka ma dużo zmartwień.

— Mamo, czy mogę ofiarować Marcie złotego luidora, którego ciotka darowała mi w nagrodę za dobrą naukę?

— Pomówimy jeszcze o tem, moje dziecko; nie wspominaj jej o niczem, dopóki cię do tego nie upoważnię.

— Zapewne martwi ją także Leon, który zawsze popełnia niedorzeczności i jest taki nieposłuszny, mrukliwy.

— O, tak, to nieszczęśliwe dziecko jest także powodem ciężkiego zmartwienia dla Marty... Ale otóż stanęliśmy u celu naszej podróży; pamiętaj nie mówić nic o tem, o czem rozmawialiśmy przed chwilą.

— Czy to jest tajemnica, mamo?

— Nie, moje dziecko, tysiące rzeczy nie są tajemnicą, a jednak mówić o nich nie można, gdyż częste przypominanie ich mogłoby sprawić przykrość lub szkodę bliźniemu.

— Rozumiem, mamo, i będę o tem pamiętał.

Przed domem dzierżawcy ciągnął się duży dziedziniec; szopy, stajnie i wozownie otaczały go dokoła, wszędzie jednak znać było zaniedbanie. Dachy były dziurawe, złamana belka zasłaniała jedno okno, a zepsute schody zastąpiono drabiną. Drzwi i okienice były też połamane i źle przystające, nie broniły od słoty.

Janek z matką wszedł do wnętrza kuchni, gdyż Martę można tu było najprędzej zastać. Kuchnia jednak z dziedzińcem zupełną przedstawiała sprzeczność. Tu panował wzorowy porządek i czystość; każdy sprzęt był na swojem miejscu. Dwa dębowe stoły, wyszorowane czyściutko, lśniły się tak samo, jak naczynia miedziane i fajansowe talerze. Wśród belek, podtrzymujących sufit, nie widać było ani jednej nitki pajęczyny, na podłodze nie dostrzegłbyś ani jednej plamy.

Na rożnie przed ogniem piekła się gęś; biały pies z powagą pilnował pieczeni, gdyż był tak nauczony, że łapą obracał rożen. Talent kucharski Azora zawsze jednakowy podziw wzbudzał w Janku.

Nowoprzybyli zatrzymali się niepostrzeżeni na progu. W głębi izby, zwrócona do nich plecami, stała wieśniaczka w białym czepeczku z dużemi skrzydłami. Wreszcie wesołe szczekanie Azora oznajmiło jej przybycie gości; odwróciła głowę i żywo pobiegła ich powitać. Wtedy pod wielkim czepcem ukazała się młoda, dziecięca niemal twarzyczka; jej czarne, o głębokiem spojrzeniu oczy i poważny wyraz ust nadawały pozór dorosłej osoby, która już niejednego doznała zmartwienia; ale gdy się Marta uśmiechnęła, wyglądała tak, jaką była w istocie: dwunastoletnią dziewczynką.

Marta uprzejmie odebrała od gości palta i szale, potem zapytała o wiadomości od pana de Beaucourt, który był jej ojcem chrzestnym.

Janek zaczął bawić się z Azorem, lecz gdy staroświecki zegar zgrzytnął: „grr...” co czynił po upływie każdych pięciu minut, pies podskoczył i uderzył łapą w rożen, który się doskonale obrócił. Azor, raz nauczony, nie zapominał nigdy swojej powinności, i gdy się piekło pieczyste, za każdem zgrzytnięciem zegara obracał rożen, a o szóstej po południu pieczyste było gotowe, tak, że nawet najlepszy kucharz nie potrafiłby lepiej dozorować.

— Ten pudel stałby się skarbem dla jakiego kuglarza, pokazującego sztuki na rynku — rzekła pani de Beaucourt, głaszcząc Azora.

— W istocie, jest on bardzo pojętnem zwierzątkiem—odpowiedziała Marta—uczy się wszystkiego w oka mgnieniu, ale jednak okazuje się nieposłusznym względem tych, których nie lubi. Ale ja gawędzę sobie w najlepsze, zamiast przeprosić panią w imieniu moich rodziców za to, że musieli wyjść z domu, aby sprzedać na targu bydło. List pani nadszedł w chwili, gdy już siadali na bryczkę, ale wrócą z pewnością na wieczerzę. Tymczasem może pani zechce przejść się, a ja pójdę wydoić krowy i dać jeść drobiowi.

— Nie, moje dziecko, ja wolę pozostać w izbie, ale Janek z ochotą będzie ci towarzyszył.

— Dobrze, mateczko — zawołał chłopczyk. — Jak to zabawnie rzucać ziarno kurom i gołębiom! Weźmiemy także z sobą Azora; chodź! Azor. No, i dlaczegoż on się nie rusza?

W istocie pudel siedział nieruchomy, lecz zwracał na chłopczyka smutne i jakby błagające spojrzenia.

— Azor wie, że powinien zostać przy swojem zajęciu—odezwała się Marta.

— Idź, mój biedny piesku!—rzekła pani de Beaucourt, śmiejąc się — idź, ja za ciebie obracać będę rożen...

— Patrz, Marto, jak on potrząsa głową! pewnie nie zrozumiał o co chodzi.

— Zrozumiał on dobrze, paniczu, ale ponieważ jest dobrze wyuczony, nie chce zmuszać takiej pięknej pani do tak pospolitej roboty i ma bez wątpienia słuszność—odparło dziewczę z powagą.

— W takim razie Azor mnie dotrzymywać będzie towarzystwa — odpowiedziała pani de Beaucourt.—Idźcie więc i nie kłopoczcie się ani o mnie, ani o pana Azora.

Gdy po dwugodzinnym pobycie, dzieci wróciły do folwarku, szósta godzina biła na zegarze, i bryczka dzierżawcy wtoczyła się na dziedziniec.

Za chwilę pan i pani Dubois, w towarzystwie małego chłopca, weszli do obszernej kuchni.

Dzierżawca był jeszcze w sile wieku, okazałej postawy i regularnych rysów twarzy, ale przygasłe spojrzenie jego oczu i wypieki na policzkach świadczyły, iż nie był zdrów zupełnie. Żona jego, czerstwa i czerwona, ubrana była dosyć strojnie, ale bez gustu. Różnokolorowe kwiaty przypięte były do jej czepka, grube palce przystrajały ogromne pierścienie; w uszach połyskiwały kolczyki. Ostry i przenikliwy głos i niemiły wyraz oczu dopełniały niekorzystnego wrażenia, wywołanego jaskrawym strojem.

Towarzyszący im chłopiec był siostrzeńcem dzierżawczyni i miał już lat trzynaście, wyglądał jednak na dziesięć—tak był mały i mizerny. Śniada cera, potargane włosy, ostre rysy twarzy i pochylona postać czyniły go politowania godnym. Ubranie, które miał na sobie, było na niego za długie i za obszerne, obuwie wykrzywione, a wszystko poplamione i pomięte. Widocznem było, że twarz i ręce chłopca rzadko spotykały się z wodą. Pani Dubois nazywała go małym Leonkiem w przystępie dobrego humoru, częściej jednak niedołęgą i nieukiem.

Wdzięczne te tytuły dostawały mu się niekiedy w towarzystwie szturchańców. Dla biednej Marty Leon był źródłem prawdziwego umartwienia. Czy to przez wrodzone lenistwo, czy też niezręczność, Leonowi rzadko dzień upłynął, aby nie popełnił jakiej niepowetowanej szkody. Marta usiłowała wpłynąć na niego, ale ani rady, ani uwagi na nic się nie zdały. Zdawało się, że jakiś zły duch mieszka w ciele Leona. Jednego dnia, chcąc złapać źrebię, które uciekło z zagrody, skaleczył je niebezpiecznie; innym razem przestraszył stado indycząt, które uciekając wpadły w trzęsawisko i potonęły.

Naturalnie, że po takich przewinieniach następowały kary.

Marta często przyjmowała na siebie winy chłopca, w gruncie duszy jednak nie lubiła go, gdyż na domiar wszystkich swoich wad, posiadał jeszcze nieporównany dar płaczu. Mógł płakać i szlochać nawet przez kilka godzin zrzędu, a czynił to bez przerwy, ocierając oczy jedynie rękawami swego odzienia. Dawniej, nim Marta była świadkiem podobnego potopu, nigdyby sobie nie mogła wyobrazić, żeby ktoś posiadał takie niewyczerpane źródło łez. Z początku starała się uspokoić chłopca dobremi słowy, lub pieszczotami. Ale trud jej był nadaremny: upusty łez nie zamykały się tak prędko.

Leon był więc powodem ciężkiego zmartwienia dla Marty. Nieraz w nocy płakała pokryjomu i myślała o matce, która ją kochała tak serdecznie, a tak prędko opuściła.

— Gdyby mama żyła—powtarzała sobie—może by i Leon był innym.

Skoro jednak zaświtał ranek, dzielna dziewczyna ocierała oczy i zajmowała się zwykłymi swymi obowiązkami.

Podczas gdy nakrywano do stołu, dzierżawczyni z uniżoną grzecznością wypytywała panią de Beaucourt o zdrowie pana hrabiego i panny kanoniczki, chwaliła piękność Janka i dziękowała pani hrabinie za jej dobroć, iż chce spożyć wieczerzę w gronie ich skromnej rodziny.

Wreszcie obiad przerwał tę przemowę. Podług zwyczaju, przyjętego we Francyi w mniejszych posiadłościach wiejskich, państwo i służący zasiedli przy jednym stole, pierwsi po jednej, a drudzy po drugiej stronie stołu. Wszyscy jedli z wielkim apetytem.

— Proszę pani, czy bydło dobrze dziś zostało sprzedane? — zagadnął panią Dubois jeden ze służących.

— Jako tako — odparła z żywością dzierżawczyni—ale zawsze taniej, niż na jarmarku w Saint-Cloud.

Chcąc zwrócić rozmowę na inny przedmiot, pani Dubois zaczęła mówić o tkliwem uczuciu, jakiem serce jej przejęte jest względem Marty i Leona.

— Nie prawdaż, Leonie — rzekła, zwracając się do chłopca — że gdyby nie ja, byłbyś bardzo nieszczęśliwem dzieckiem?

Leon milczał, zajadając łakomie leguminę.

— Odpowiadajże, mój chłopcze!

— Tak... nie! tak, nie... moja ciotko—jąkał się chłopiec i jednocześnie zaczął płakać.

— On tak zawsze postępuje, pani hrabino!

Janek z litością spoglądał na nieszczęśliwego Leona. Pani Dubois, spostrzegłszy to współczucie, zawołała:

— Wszak prawda, mój piękny paniczu, że Leon jest szkaradnym płaksą i że powinien się wstydzić płakać wobec całego towarzystwa?

Janek skinął głową na znak potwierdzenia.

Wreszcie obiad skończył się.

Służba odeszła i wszyscy wstali od stołu, z wyjątkiem Leona, który pozostał wsparty łokciami o stół. Dotrzymywał mu towarzystwa Azor, który, wspiąwszy się na tylne nogi, lizał zalaną łzami twarz biednego dziecka.

Pani Dubois chciała podarować słoik konfitur dla kanoniczki, rzekła więc:

— Leonie! biegnij-no do śpiżarni i przynieś ten słoik, co stoi na drugiej półce od góry.

Marta chciała wyręczyć Leona, ale pani Dubois nie pozwoliła na to i posłała siostrzeńca, który płacząc wyszedł razem ze swym pudlem.

Wkrótce rozległ się straszliwy hałas, i wszyscy przerażeni pobiegli do śpiżarni. Tam, przy bladem świetle jednej świeczki, nic nie można było z początku rozróżnić, oprócz mnóstwa rzeczy bezładnie pomieszanych z sobą. Słychać było tylko ciągłe przeraźliwe krzyki Leona, potem z pośród stosu potłuczonych butelek wychyliła się najpierw głowa chłopca, następnie zaś cała jego postać, a na-

koniec Azor. I dziecię i pies byli pokrwawieni okropnie.

— Ach! mój Boże!... krew! — zawołała z przestrachem Marta.

— Ależ nie!—przerwała jej pani de Beaucourt.— Oni są tylko sokiem wiśniowym powalani.

Twarz i szyja Leona były podrapane, ale żadna rana nie okazała się głębszą. Pani de Beacourt obmyła i opatrzyła skaleczenia chłopca, który nie płakał, z wielkiem wszystkich podziwieniem.

Janek zajął się Azorem, któremu wydobył z łapy dwa kawałki szkła, tkwiące dosyć głęboko. Zwierzę jęczało, ale zarazem lizało ręce swego dobroczyńcy, który je uwalniał od cierpień.

Pani Dubois biegała rozgniewana, gromiąc sprawcę nieszczęścia i ubolewając nad własnym swoim losem. Marta z ojcem zajęła się podnoszeniem ocalałych butelek.

Przed odjazdem pani de Beaucourt, w sekrecie przed swą chrzestną córką, zostawiła dla niej trochę pieniędzy u pani Dubois na sprawienie nowej sukni.

Marta ze smutkiem odprowadziła gości do powozu i spytała pani de Beaucourt:

— Czy prędko pani hrabina znowu nas odwiedzi?

— Ależ i owszem, odwiedzę—odparła pani de Beaucourt. — Przyrzekam ci nawet, że napiszę do twego chrzestnego ojca, donosząc mu, jaką jesteś rozsądną i dobrą dziewczyną.

Słowa te pocieszyły dziewczynkę, która, ucałowawszy ręce swej chrzestnej matki, wróciła do domu.

IV.

Michał Lambert.

W dziesięć dni później, Janek powrócił do kolegium. Przez wakacye nabrał rumieńców i pozorów zdrowia, które przejmowały radością panią de Beaucourt. Uspokojona co do dziecka, Marya myślała z zadowoleniem o tem, że zbliża się czas powrotu męża do kraju, który przyjedzie zapewne w roku przyszłym, i że wtedy już się nie rozłączą.

Raz na tydzień Janek pisywał do ojca, opowiadając mu wszystkie szczegóły, dotyczące nauki i profesorów, rzadko jednak wspominał o kolegach. O jednym tylko Michale Lambercie wspominał niekiedy.

„Lambert robi to a to, gra w piłkę najlepiej ze wszystkich uczniów, ma dobre miejsce w klasie i opowiada rzeczy tak zabawne," pisywał na końcu listu.

— Nie lubię takiego wyłącznego przywiązania—powtarzała kilkakrotnie kanoniczka.

Postępy Janka w naukach były ciągle jednakowo zadowalające, ale gdy chłopiec przyjechał na wakacye następnego roku, matka przekonała się z przykrością, że dziecię było znowu znużone i że rosło nadmiernie szybko.

Janek, będąc sam na sam z matką, opowiadał jej o kolegium, profesorach i Michale Lambert.

— Gdy powrócimy do siebie do domu — mówił—skoro i ojciec wróci, zaprosimy do nas Micha-

ła Lambert. Tylko, mateczko kochana, nie trzeba zbyt pośpiesznego wydawać o nim sądu, gdyż on się trochę różni od nas obejściem...

— No, jeśli tak, to naucz go bardziej miłego obejścia; grzeczność i uprzejmość powinny być udziałem wszystkich dobrze wychowanych dzieci.

— Ja nie mówię, że Lambert jest źle wychowany, ale ponieważ jest starszy ode mnie, przygania mi nieraz, że jestem jeszcze dzieckiem.

— Mając lat dziesięć, trudno, abyś był czem innem, niż małym chłopczykiem. No, ale pod jakim względem krytykuje cię najwięcej pan Lambert?

— Wyśmiewa się ze mnie, że czyszczę paznogcie i że starannie czeszę włosy. Oprócz tego mówi, że za nadto jestem grzeczny dla profesorów.

— I ty, moje dziecię, przyznajesz mu słuszność? Dziwi mnie to niezmiernie...

— Ale żeby mama wiedziała, jaki Lambert jest wesoły i dowcipny, jak każdego potrafi zabawić! On jeden lubi mnie bardzo i otacza opieką, gdy inni wyśmiewają się ze mnie. Ja też wszystkiem się z nim dzielę: ołówki, pióra, kręgle i łakocie, które mi ciotka przysyła, są naszą wspólną własnością.

— A on, czy także dzieli się z tobą wszystkiem?

— Niebardzo, mamo, gdyż on nie ma wiele; rodzice jego mieszkają aż w południowej Francyi, rozumiesz więc...

— Bardzo dobrze postępujesz, okazując się koleżeńskim, mój Janku. Ci, którzy mają więcej, powinni się dzielić z tymi, co mają mniej.

W głębi duszy jednak matka nie była zadowolona z tej przyjaźni z Lambertem.

Rozmowa urwała się, ale pani de Beaucourt postanowiła sobie poznać lepiej tego przyjaciela Janka za pierwszą swą bytnością w Juilly.

Kiedy wakacye się skończyły, kanoniczka nadzwyczaj serdecznie uściskała swego siostrzeńca i podarowała mu zegarek.

— Gdyby nie pani Henrykowa, zatrzymałabym chłopca w domu, — powiedziała sobie w duchu, — byłoby to prawdziwą rozkoszą w mojem osamotnieniu. Kazałabym go kształcić pod moim własnym kierunkiem, ale trudno, wszakże on ma matkę!

Z żalem swoim jednak panna Antonina nie wydała się przed nikim i nikt nie domyślił się też, jaką pustkę pozostawił po sobie odjazd Janka. Zmartwienie uczyniło ją jeszcze bardziej przykrą i mniej pobłażliwą dla bratowej. Pani Henrykowa smutne teraz wiodła życie. Na domiar utrapienia zaziębiła się i dostała tak silnego kataru, że, począwszy od Nowego roku, dwa miesiące nie wychodziła ze swego pokoju. Z Afryki też niepokojące przychodziły wieści. Walka trwała tam w najlepsze, a biedna kobieta trwożną myślą dążyła od męża do syna.

Kanoniczka, podczas choroby pani de Beaucourt, spędziła wprawdzie jeden dzień w Juilly, ale wróciwszy, nie wdawała się w żadne szczegóły. Gdy jej się matka pytała, odpowiedziała oschle:

— Syn twój ma się dobrze, profesorowie są z niego zadowoleni; cóż więcej mogłabym ci powiedzieć?

Jednakże panna Antonina nie chciała przyznać przed sobą, a tem mniej przed Maryą d'Aspreuilles, że, zobaczywszy siostrzeńca, zaniepokoiła się żywo, gdyż Janek wydawał się smutny i znużony. Chcąc uśpić swoje obawy, kanoniczka powtarzała sobie w myśli:

— Tęskni do matki i dlatego jest taki mizerny! Niech ją tylko ujrzy, a wnet odżyje...

W istocie Janek bardzo pragnął zobaczyć matkę, gdyż chciał jej prosić o radę i powierzyć wielkie zmartwienie. Komu innemu nie chciał wspominać o swoich utrapieniach; nawet pisać o tem nie mógł do pani de Beaucourt, gdyż listy uczniów były zawsze czytane, nim je wysłano do miejsca przeznaczenia.

Ale cofnijmy się trochę wstecz. W Juilly, pomiędzy profesorami świeckimi był jeden niemłody już człowiek, nazwiskiem Dixon, bardzo zacny i zdolny nauczyciel, który wykładał język angielski i niemiecki. Profesor Dixon był bardzo sprawiedliwy i nie szczędził uczniom surowych napomnień, gdy który na to zasłużył. Ci, którzy odpowiadali nietrafnie, lub nie odznaczali się pilnością na lekcyach, otrzymywali od niego niezbyt pochlebne nazwy leniuchów i próżniaków. Źli uczniowie, jakkolwiek śmieli się z tych przezwisk, niemniej mścili się na profesorze, dokuczając mu rozmaitemi psotami. Często naprzykład znikały szkła z okularów profesora, albo w tabakierce znajdował się

piasek, zamiast tabaki; to znów w chwili, gdy się wykład zaczynał, setki chrabąszczy, mających przyczepione do nóg różnokolorowe papiery, unosiło się z pulpitów. Wtedy radość winowajców była ogromna, choć kary spadały na nich surowe. Pomimo to jednak profesor dawał się często przebłagać i prawie nigdy nie skarżył się przed władzą wyższą.

Uczniowie dosyć go nawet lubili i pod jego kierunkiem nie tylko korzystali z jego języków cudzoziemskich, lecz także wydoskonalili się w hodowaniu jedwabników, Dixon bowiem miał swoje jedwabniki, które pielęgnował z zamiłowaniem.

Pewnego dnia jednak profesor uznał, że żarty uczniów przeszły już wszystkie możliwe granice.

Michał Lambert, który był surowo ukarany poprzedniego tygodnia za to, że niegrzecznie odpowiedział p. Dixonowi, oświadczył kolegom, że język angielski nie jest mu potrzebny i że radby nie uczyć się go więcej. W jakiś czas potem pan Dixon, opierając się, jak to miał zwyczaj czynić, o framugę okna, odskoczył natychmiast z okrzykiem bólu i zaczął biegać po klasie. Dzieci, jak to zazwyczaj bywa, nie mające poczucia litości, zaczęły się śmiać serdecznie. Na oknie i na ubraniu profesora widać było pszczoły poprzylepiane razem z miodem.

Gdy wreszcie pan Dixon uwolnił się od rozjątrzonych owadów, prosił wszystkich uczniów, aby mu pokazali swoje ręce. Dłonie Michała Lamberta powalane były miodem, co stanowiło jawny dowód przestępstwa; zresztą spojrzenia kolegów, mimowolnie zwracając się na niego, utwierdziły podejrzenie profesora.

Michał więc został surowo wyłajany przez dyrektora zakładu i skazany na chleb i wodę. Oprócz tego przez tydzień pozbawiony był towarzystwa kolegów i zamknięty w odzielnym pokoju, skąd wychodził tylko do klasy. Nawet na przechadzkę wyprowadzano go oddzielnie, pod opieką jednego z nauczycieli.

Złośliwość Michała zmartwiła bardzo Janka, który mniemał, że wymierzona na winowajcę kara była zbyt surowa. Kiedy go wypuszczono z kozy, nie omieszkał opowiedzieć natychmiast przyjacielowi nieprawdopodobnej historyi, dotyczącej wypadku z pszczołami. Łatwowierny Janek dał się przekonać, że Michał nie zawinił bynajmniej, lecz że z dobroci serca poświęcił się, przyjmując na siebie winę za ubogiego kolegę, który był w szkole na stypendyum.

Jednakże jeden z księży, którego Janek lubił bardzo, rzekł do niego:

— Przykro mi bardzo, moje dziecię, że widzę cię w tak serdecznych stosunkach przyjaźni z Lambertem. Radzę ci, staranniej wybieraj przyjaciół, wierz mojemu doświadczeniu.

Z jednej strony ufność, jaką Janek miał do księdza, kazała mu wierzyć jego słowom, z drugiej zaś nieprzeparty pociąg pędził go do towarzysza, i dziecię szarpane tak sprzecznemi uczuciami, nie mogło rozstrzygnąć tej kwestyi: czy Lambert jest, czy nie jest winien? Wreszcie postanowił kłopot swój powierzyć matce, za pierwszym razem, skoro ta przyjedzie do kolegium. Na nieszczęście, odwie-

dziny matki odwlokły się bardzo, z powodu choroby pani de Beaucourt.

Jednego dnia Janek podczas rekreacyi, odzierając korę z gałęzi, którą zerwał, zaciął się dość głęboko w rękę i musiał iść do infirmeryi.

Janek stał przy otwartem oknie, podczas gdy siostra miłosierdzia opatrywała mu rękę. Słońce schylało się właśnie ku zachodowi, jaskrawem światłem oblewając krajobraz i strumień wijący się na końcu parku. Ponad wodą chłopiec jakiś biegł co sił; chłopiec ten z postawy podobny był bardzo do Michała Lamberta. Janek poznał go teraz doskonale: tak, był to Lambert. Ale jakim sposobem znalazł się tam, gdzie uczniom nie wolno było chodzić samym?

Gdy opatrzono mu rękę, Janek wrócił do towarzyszów i z wielkiem zdziwieniem ujrzał Michała, który według niego musiałby być jeszcze daleko, grającego w kręgle. Chcąc się przekonać, o ile jego domysły były prawdziwe, rzekł do Michała:

— Co robiłeś przed chwilą nad stawem?

— Ja? teraz nad stawem? Chyba ci się przyśniło! nie ruszałem się ani krokiem stąd. Wiesz przecie, że podczas rekreacyi nie wolno nam się oddalać od innych.

Spojrzenie Janka padło przypadkiem na obuwie przyjaciela, i zdziwiony chłopiec dodał:

— Dlaczego masz takie białe buty? Tak jakbyś biegał po wapnie!

— Ależ to nie wapno, tylko kurz, głupcze!— z gniewem odparł Michał.

— Przecież tu niema kurzu, gdyż bawimy się na trawniku. Spojrzyj na moje buty i na buty innych kolegów. No, przyznaj mi się, dokąd chodziłeś?... wiesz, że umiem dochować tajemnicy.

— Nie przyznam ci się do niczego i nie odchodziłem stąd wcale, a jeśli nie przestaniesz nudzić mnie pytaniami, zobaczysz...

W tej chwili dzwonek wezwał dzieci do nauki, przerywając tym sposobem rozmowę. Wkrótce jeden z dozorujących przyszedł oznajmić uczniom szóstej klasy, że nie będzie dziś lekcyi języka angielskiego, gdyż znaleziono pana Dixona zemdlonego i rannego niebezpiecznie przy małym mostku, przerzuconym przez strumień.

Mostek ten z jednej strony dotykał do drogi otaczającej park dokoła, a z drugiej do furtki prowadzącej do parku. Pan Dixon miał właśnie klucz od tej furtki, gdyż wchodząc tamtędy, skrócał sobie spory kawał drogi od swego mieszkania do kolegium.

Jeden z ogrodniczków, który przechodził tamtędy, udając się do roboty, ujrzał leżącego bez przytomności profesora Dixona i przeniósł go do domu z pomocą jednego robotnika.

Uczniowie, zapominając w tej chwili wszelkich uraz, szczerze się zmartwili smutną wiadomością. Tylko po ustach Michała przemknął nieznaczny uśmiech; a gdy nazajutrz w czasie pierwszej wolnej godziny Janek zapytał go, czy nie jest zmartwiony nieszczęściem profesora, Michał odpowiedział:

— Bynajmniej, zresztą pan Dixon musiał być trochę nietrzeźwy; wszak wszyscy wiedzą, że lubi pociągać.

Lecz słowa Michała wywołały ogólne oburzenie; nigdy bowiem nie dostrzeżono w profesorze podobnego nałogu.

Od tej chwili jedna myśl opanowała wyłącznie umysł Janka, że Michał przez złośliwość i zemstę przygotował zasadzkę, której ofiarą padł profesor.

Jednak napróżno starał się odepchnąć od siebie to podejrzenie, lecz opanowywało go ono coraz uporczywiej. Był pewien, że wczoraj nad stawem widział Michała Lamberta; zresztą zły humor jego i żywe zaprzeczenia potwierdzały jeszcze bardziej domysły Janka; jednakże inni uczniowie byli dalecy od domyślania się prawdy.

Biedny Janek spędził dzień bardzo nieprzyjemnie, a wieczór i noc jeszcze przykrzejszemi stały się dla niego. Chciałby był powierzyć komuś swoje troski i wątpliwości, i szukać rady i wsparcia. To spoglądał ze wstrętem na Lamberta, to znów wyrzucał sobie, że go podejrzewa, gdyż Lambert wydawał się zupełnie spokojny.

Nazajutrz wszyscy uczniowie, naturalnie każda klasa oddzielnie, wzywani byli kolejno do dyrektora. Gdy weszła klasa szósta, przełożony odezwał się w te słowa:

— Moi panowie, powtórzę wam to, o czem całe kolegium wiedzieć powinno. Zapewne wiecie, że pan Dixon uległ smutnemu wypadkowi, ale nie domyślilibyście się, że nieszczęście należy przypisać złośliwości ludzkiej. Na końcu mostu ktoś prze-

ciągnął sznur, o który potknął się pan Dixon. Profesor podług zwyczaju szedł bardzo szybko, zawadził więc o sznur i padł głową na dół ze wzgórza, bardzo z tej strony stromego; mógłby się był nawet utopić, gdyby dzięki Opatrzności, ubranie nie było się zaczepiło o korzeń. Profesor potłukł się silnie i bardzo cierpi. Jednakże ma się rozpocząć śledztwo ze współudziałem sądu, do którego każdy będzie się starał dopomódz w miarę możności, jestem o tem przekonany. Wszyscy mieszkańcy zakładu będą badani, gdyż trzeba koniecznie odkryć winowajcę. Dotychczas wiemy tylko, że pomocnik ogrodnika miał urazę do pana Dixona, który go raz spostrzegł zjadającego brzoskwinie; jednakże niema dowodu potępiającego tego chłopca. Czy który z was nie mógłby nam dać jakich objaśnień?

Żadne z dzieci się nie odezwało, i dyrektor kazał im się oddalić. W kilka chwil później Janek, znalazłszy się sam na sam z Michałem, rzekł do niego bez ogródek:

— Jestem przekonany, że pomocnik ogrodnika jest niewinny, ale ciebie podejrzewam o tę złośliwość. Przekonaj mnie, że jestem w błędzie. Jeśli tego nie uczynisz, powiem wszystko, co wiem.

Michał aż posiniał z gniewu i odpowiedział, zgrzytając zębami:

— W takim razie byłbyś zdrajcą i Judaszem! Ja nie jestem winowajcą, jednakże gotowi uwierzyć w twoją głupią historyę.

— Nie uwierzą, gdyż ja będę milczał, jeżeli mi wytłómaczysz, gdzie twoje obuwie nabrało tej białej barwy.

— W jakiż sposób zdołam ci wytłómaczyć barwę kurzu?

— To nie kurz, gdyż do wieczora nie starł się z twego obuwia, a właśnie przy moście znajdowało się wapno, zostawione tam przez mularzy.

— Skądże wiesz o tem?

— Widziałem je tego samego dnia rano, gdy wracaliśmy z dalekiej przechadzki.

— Słuchaj, czy chcesz zapytać się o zdanie kolegów i zastosować się do ich postanowienia?

— Bardzo chętnie; właśnie zbliżają się ku nam wszyscy, opowiem im o całem zdarzeniu. Wyobraźcie sobie...

— O! przepraszam,—przerwał mu Michał, blednąc nagle.

I nie pozwalając Jankowi przyjść do słowa, sam zaczął mówić pośpiesznie:

— Wynikła tu sprzeczka pomiędzy mną a kolegą Beaucourt z powodu wypadku, jaki spotkał profesora języka angielskiego. Beaucourt twierdzi, że wie, kto jest winowajcą. i chce go zdradzić, chociaż winowajca jest uczniem tutejszego zakładu. Ja zaś twierdzę, że zdradzić kolegę jest wstydem i podłością.

— Bez wątpienia,—odpowiedzieli chłopcy, a kilku dodało jeszcze:

— Beaucourt jest obłudny, dawno wiedzieliśmy o tem.

— Nie, ja nie jestem obłudny!—przerwał im Janek z oburzeniem;—ale powtarzam raz jeszcze, że jeżeli pomocnik ogrodnika jest niewinny, trzeba

wskazać prawdziwego winowajcę, chyba że ten sam wyzna swoją winę.

— Nie, nie, nigdy nie należy zdradzać towarzysza!

— A zresztą,—podjął znowu Lambert,—czy widziałeś wiążącego sznur tego, którego o to posądzasz?

— Wiesz o tem, że nie widziałem.

— Przekonajcie się więc sami! — zawołał Michał, a zwracając się do Janka, dodał: — jesteś złym kolegą, nie uważam cię odtąd za mego przyjaciela. Od dzisiejszego dnia nie mów do mnie, gdyż nie odpowiem ci ani słowa.

— Bardzo słusznie, ukarzmy go kwarantanną. Nikt teraz nie przemówi do ciebie, obłudniku Beaucourt!

Janek nie odrzekł ani słowa, zmierzył tylko pogardliwym wzrokiem swojego dawnego przyjaciela. Gdy koledzy się oddalili, on usiadł na ławce, usiłując zastanowić się nad sobą. Zwolna ogarniał go głęboki smutek, a cała jego istota oburzała się na niesprawiedliwość, jakiej padł ofiarą. W głowie mu się kręciło, czuł się blizkim omdlenia. Zresztą już od kilku dni był niezdrów i niesłychanie znużony.

Jeden z księży, będących na służbie, spostrzegł dziecię siedzące smutnie na uboczu i zapytał dobrotliwie:

— Czy jesteś cierpiący?

Janek, nie chcąc się skarżyć, gwałtem powstrzymał łzy cisnące mu się do oczu i zapewnił księdza, że usiadł tylko dlatego, aby odpocząć po grze w piłkę.

Na następnej godzinie lekcyi, Janek nie mógł zebrać myśli, a przy wieczerzy nic nie jadł. Wreszcie nadeszła godzina spoczynku, i chłopiec, ukrywszy twarz w poduszki, gorzkiemi zalał się łzami. Pierwsze doświadczenie o niesprawiedliwości ludzkiej napełniło goryczą i niechęcią jego młodociane serduszko; biedny, pocichu wzywał mamy na pomoc. Przez dwa dni walczył z ogarniającą go coraz bardziej niemocą; przez dwa dni towarzysze dokuczali mu w rozmaity sposób, kryjąc się ze swemi okrucieństwami przed przełożonymi.

Wielu z pomiędzy kolegów Janka miało nawet dobre serce, ale ani jednemu nie przyszło na myśl, że może się uchylić od tego nierozsądnego uczucia nieoględnej solidarności, która obowiązuje tak samo młodzież, jak ludzi dorosłych, i która często pociąga za sobą brzydkie i złe czyny.

Trzeciego dnia uczniowie dowiedzieli się jednocześnie, że doktor oznajmił, iż pan Dixon ma się lepiej, i że pomocnik ogrodnika badany przez sędziów, został, pomimo zaprzeczeń z jego strony, zapisany w liczbę więźniów w Melun.

Jankowi zdawało się jednego dnia, że obudził się z długiego snu; zdziwiony, nie wiedząc gdzie się znajduje, spoglądał kolejno na kilka łóżek, otoczonych białemi firankami; wszystkie te łóżka były niezajęte. W głębi pokoju przed posągiem Matki Boskiej modliła się siostra miłosierdzia, której twarzy nie było widać z pod dużego, białego czepka.

Obok niej klęczała jakaś kobieta, z głową ukrytą w dłoniach, i także modliła się gorąco.

— Mamo!—zawołał nagle chłopczyk.

Klęcząca kobieta krzyknęła i, zerwawszy się z klęczek, przybiegła do łóżka. Tu osunęła się znowu na kolana i z twarzą zalaną łzami zaczęła całować wychudłe, przezroczyste rączki dziecka.

— Dlaczego płaczesz, mamo?—szepnął Janek, przysłuchując się ze zdziwieniem brzmieniu własnego głosu, który dźwięczał cicho i słabo.

— Płaczę z radości i wdzięczności dla Boga, mój skarbie. Nie mów nic, gdyż nadchodzi pan doktor, byłeś trochę... trochę chory, a teraz jest ci już lepiej. Tylko musisz być grzeczny...

Doktor, zbadawszy dziecię, przepisał jakieś lekarstwo i pozwolił mu się czemś pożywić. Potem oddalił się w towarzystwie pani de Beaucourt, która spoglądała na niego wzruszona.

— Teraz mogę pani powiedzieć, że Janek jest ocalony,—rzekł poczciwy doktor.—Przy troskliwości i staraniach jestem pewien, iż odzyska zdrowie w zupełności. Droga pani, mogę tylko dodać, że doznaję z powodu jego wyzdrowienia niemniejszej radości od tej, jaka napełnia serce pani.

Ale matka powiedziała sobie w duchu.

— Nie, żadna radość nie może się porównać z moją! nikt nie może doznać tej wdzięczności, jaką ja pragnę wyrazić Bogu za okazaną mi łaskę.

Gdy Janek zachorował, wezwano natychmiast panią de Beaucourt, która też zaledwo sama wstała z łóżka po długiej chorobie. Biedna matka spędziła trzy tygodnie u wezgłowia chorego niebezpiecznie dziecka, w okrutnej trwodze i niepokoju; nie mogła ani na chwilę zasnąć, ani nawet odpocząć, gdyż przeraźliwe krzyki syna i gorączkowe

jego majaczenia odpędzały jej sen z powiek. Biedny Janek cierpiał na zapalenie mózgu. Z wyrazów wymawianych bezładnie w gorączce dowiedziano się o przyczynie choroby Janka i o winie Michała Lamberta. Naturalnie, że śledztwo, trafiwszy na właściwy ślad, ukończyło się bardzo prędko. Podeszwy trzewików Lamberta miały jeszcze ślady przypalenia, spowodowanego przez stąpanie po niegaszonem wapnie, a w jego szafie znaleziono kłębek plecionego sznura, zupełnie takiego samego, jak sznur znaleziony przy moście.

Michał przeczył z początku, potem poplątał się w odpowiedziach i wreszcie wyznał swój zły czyn, zapewniając jednak, że chciał tylko spłatać figla nauczycielowi języka angielskiego. Ale nawet pan Dixon napróżno się za nim wstawiał; niegodziwość i kłamstwa Michała zasługiwały na surową karę i pomimo próśb i łez winowajcy, wydalono go z kolegium.

Inni uczniowie szóstej klasy byli po większej części zmartwieni swoją ślepotą i łatwowiernością. Dopóki Janek był chory, nie bawili się nawet swobodnie, a gdy pozwolono niektórym z nich odwiedzić Janka, inni zarzucali ich troskliwemi pytaniami:

— Czy Janek bardzo zmieniony?

— Czy gniewa się jeszcze na nas?

Janek w istocie zmieniony był bardzo po chorobie, ale nie gniewał się na nikogo; był zbyt dobrym, aby mieć do kogoś urazę; każdego też z kolegów ściskał serdecznie.

Wtedy wszyscy na wyścigi zaczęli chwalić Janka i pochwały swoje posunęli znów do takiej przesady, że Janek de Beaucourt stał się niemal tak sławnym, jak bohater jakiej legendy.

Jest to jednym dowodem więcej, że dzieci przerzucają się z łatwością z jednej ostateczności w drugą.

V.

Rozstanie. Śmiały zamiar.

Kiedy Janek mógł już przejść kilka kroków o własnej sile, matka z trudnością powstrzymywała łzy, spoglądając na szczupłego chłopca, który był wysoki nad wiek, lecz tak blady i mizerny, że nawet oczy świeciły mu nienaturalnym blaskiem wśród woskowej cery twarzy.

Kanoniczka niemniej była zaniepokojona; lecz zarówno matka jak ciotka umiała ukryć swoje uczucia przed rekonwalescentem, który przejęty radością z powodu swego wyzdrowienia i otoczony staraniami, cieszył się z okazywanej mu przyjaźni kolegów, pieszczot sióstr miłosierdzia i swojej mamusi.

Tego samego wieczoru hrabianka Antonina, wyszedłszy razem z doktorem, prosiła go, aby szczerze wypowiedział jej swoje zdanie co do stanu zdrowia Janka.

— Powtórzę pani to, co mówiłem już ojcu przełożonemu i matce chorego,— odpowiedział doktor.—Choroba siostrzeńca nie jest groźną, ale dziecię ma mało sił i jest za poważne na swój wiek, a przytem przebyło ciężką chorobę i rośnie bardzo szybko.

— Co mi pan zatem radzisz, panie doktorze?

— Radziłbym zabrać chłopca z kolegium, przynajmniej na rok. Przytem należałoby koniecznie wywieźć go na wieś, aby biegał swobodnie po polach, bawił się w piasku, a nie myślał o książkach i nauce. Trzeba teraz więcej zwrócić uwagi na rozwinięcie sił fizycznych, niż umysłowych, aby odzyskać straconą równowagę.

— Ale pomyśl pan, panie doktorze, ile on straci czasu! Rok wypoczynku... to okropne. A jak się chłopiec rozpróżniaczy i straci ochotę do nauki?

Doktor spojrzał spokojnym i badawczym wzrokiem w twarz kanoniczki i odparł zwolna:

— Żądała pani ode mnie, abym szczerze wypowiedział moje zdanie, uczyniłem więc zadość życzeniu pani. Widzę jednak, że słowa moje nie trafiają do jej przekonania, mam więc zaszczyt pożegnać panią hrabinę.

I chwytając za kapelusz, doktor ukłonił się z uszanowaniem kanoniczce i wyszedł z pokoju.

— A więc trudno, Janek musi przerwać naukę!...—rzekła smutnie kanoniczka.

Pani de Beaucourt napisała do męża list obszerny, wskutek czego komendant odpowiedział z prostotą kanoniczce, że rozumiał i oceniał powody, które, wypływając ze szczerego jej przywiązania do Janka,

skłaniały ją do przeciwnego jego żonie zdania, lecz że w tym razie, skoro on sam na nieszczęście znajduje się tak daleko, że nie może wydać stanowczego zdania co do dalszego kształcenia syna, pozostawia żonie zupełną swobodę działania. Niech ona postanowi, co uważa za lepsze dla przyszłości i zdrowia syna.

Gdy ten list nadszedł z Afryki, Janek tylko co opuścił kolegium i przeniósł się razem z matką do pałacu przy ulicy Saint-Romain.

Koledzy pożegnali się z nim serdecznie, zapewniając go o swej przyjaźni. Skoro pani de Beaucourt z rozrzewnieniem dziękowała dyrektorowi zakładu za opiekę nad Jankiem, dyrektor rzekł:

— Wszyscy tu będziemy się modlili o zdrowie dla tego drogiego dziecka, które mamy nadzieję zobaczyć za rok. Bądź pani pewna, że w roku przyszłym syn pani tak samo do najlepszych uczniów zaliczonym będzie.

Kanoniczka, rozgniewana krótką odpowiedzią brata, udała się do pani Henrykowej i w te odezwała się słowa:

— Wiesz dobrze, jakie są moje chęci i pragnienia względem Janka. Chłopiec, dzięki Bogu, widocznie powraca do zdrowia, a teraz jest zaledwie czerwiec; do rozpoczęcia roku szkolnego mamy zatem jeszcze cztery miesiące; po ich upływie zamiarem moim jest zawieźć mego siostrzeńca nie do Juilly, z którego niezupełnie jestem zadowolona, gdyż ojcowie wygłaszają tam zasady przeciwne moim, ale do Brugelette. Jest to zakład również odpowiadający wszelkim wymaganiom...

— Bynajmniej nie życzę sobie powierzać mego Janka innej opiece, niż zacnych ojców w Juilly,— odrzekła pani Henrykowa,—ojców, którzy okazali tyle dobroci i współczucia mnie i mojemu synowi. Ale to nie jest najważniejszą kwestyą w tej chwili.

— A cóż takiego, jeśli wolno o to zapytać?

— Najważniejszą kwestyą jest zdrowie Janka, obecnie silnie zagrożone. Wszak widzisz, moja siostro, jaki on jest blady i mizerny, jak najmniejsze znużenie osłabia go do wysokiego stopnia.

— Za cztery miesiące Janek z pewnością odzyska siły i zdrowie.

— Daj Boże, aby się sprawdziły twoje słowa!

— A czy wtedy posłuchasz mnie i zastosujesz się do mojej rady?

— Nie, moja siostro, w tym razie będę słuchała jedynie rad doktora i zacnego dyrektora w Juilly.

— Bardzo dobrze; lecz sądzę, że w takim składzie rzeczy, życie wspólne byłoby zbyt przykre dla nas obu, i zmuszona byłabym prosić cię, abyś mego domu nie uważała już za swój własny. Po upływie czterech miesięcy musisz albo uledz, albo odjechać stąd.

Marya siłą woli powstrzymywała przykre słowa, które jej się do ust cisnęły i, ukłoniwszy się, opuściła pokój głęboko wzruszona. Nie chcąc płakać w obecności syna, panowała nad sobą aż do chwili, gdy Janek udał się na spoczynek. Wtedy dopiero młoda kobieta, łkając, rzuciła się na kolana przed obrazem ukrzyżowanego Chrystusa. Tak ją zastała pani de Lespine, która weszła niespodzianie,

nie każąc się oznajmić. Naturalnie, że Marya nie mogła ukryć przed nią powodu swego zmartwienia.

W kilka dni później pani de Lespine udała się wczesnym rankiem do pałacu de Beaucourt. W drodze mówiła sobie w duchu:

— Skłamałabym twierdząc, że serce moje nie drży z trwogi na samą myśl walczenia z gniewem Antoniny. A gdyby tak nasza przyjaźń zerwała się z tego powodu?... Ha, cóż robić, spełnię tylko to, co nakazuje mi obowiązek, wypływający z miłości bliźniego.

Po powitaniu z kanoniczką, pani de Lespine zakaszlała zlekka i zaczęła bawić się chustką i parasolką.

— Moja droga Antonino,—odezwała się wreszcie,—chcę ci oznajmić o jednem postanowieniu, które, jak sądzę, nie będzie dla ciebie przykre. Wczoraj, spostrzegłszy, że Janek i Marya źle wyglądają, zaprosiłam ich, aby spędzili resztę lata i jesieni u mnie na wsi. Zamek nasz znajduje się w pobliżu morza, a zmiana powietrza będzie bardzo pożądaną dla chłopca; wszak pojmujesz to, droga Antoniną?

— Tak, Natalio, przeczuwałam nawet, że Marya d'Aspreuilles opowiedziała ci o naszej sprzeczce i że błagała twojej pomocy. Tym sposobem jedyna moja przyjaciółka występuje przeciwko mnie, w obronie żony mego brata.

— Jeśli, Antonino, w ten sposób zaczniesz ze mną rozmawiać, muszę przyznać, że postępujesz niewłaściwie i że jesteś w błędzie. Wiesz, że cię kocham zawsze serdecznie, ale mi przykro, iż rzeczy taki obrot wzięły. Lecz uczciwość nakazuje

mi powiedzieć, że Marya wcale się przede mną nie skarżyła i nie wzywała mojej pomocy; zastawszy ją zalaną łzami, wydobyłam z niej prawie gwałtem zwierzenie. Czyżby Marya mnie zwiodła? Czy też w istocie oświadczyłaś jej stanowczo, że wypowiadasz jej dom, jeśli nie zgodzi się na twoje żądanie?

— Marya powiedziała prawdę, jednakże jestem przekonana, że bez ciebie, bez twojej pomocy, musiałaby uledz w końcu.

— Nie sądź tak, droga przyjaciółko; matka nie zważa na żadne względy, gdy chodzi o dobro jej dzieci.

— Czy twierdzisz, że moja bratowa ma słuszność?

— Jak najzupełniejszą. W jesieni Henryk ma podobno dostać urlop; wtedy więc sam postanowi, jak należy postąpić z dzieckiem, choć jestem pewna, że podzieli zdanie żony i moje. Jednak potrzeba, aby przez ten czas Marya miała spokój i wypoczynek, którego nie znajdzie u ciebie. Czy się gniewasz na mnie, moja najdroższa? Ja nie umiałabym się gniewać na ciebie...

— Nie gniewam się, Natalio, lecz przykro mi niewymownie. Kiedyż chcesz zabrać twoich protegowanych? Zapewne jak najprędzej.

— Dziś wieczorem, jeśli zgodzisz się na to.

— Dziś wieczorem, to trudno; wolałabym jutro rano.

— Dobrze. Do widzenia zatem, Antonino. Skoro będziesz mnie potrzebowała, wiedz o tem, że przyjaźń moja dla ciebie zawsze pozostaje niezmienną.

— Żegnam cię, Natalio; nie przeczuwałam, że w tak smutny sposób zakończy się długoletnia nasza przyjaźń.

— Nie wymawiaj tak okropnych słów, Antonino!...— zawołała margrabina ze łzami w oczach.

Ale kanoniczka pozostała niewzruszoną; z chłodną grzecznością odprowadziła margrabinę do przedpokoju i, zadzwoniwszy na starego służącego, rzekła:

— Pani Henrykowa i pan Jan wyjadą jutro z pałacu i nigdy tu już nie wrócą, dopóki ja żyć będę; wiedz o tem, Marcinie. Czuwaj więc nad tem, aby zabrali z sobą wszystkie rzeczy. Ja będę jadła obiad w swoim pokoju i nie chcę widzieć nikogo, dopóki oni nie odjadą.

— Nawet pana Jana?— ośmielił się zapytać stary sługa.

— Nawet pana Jana—surowo powtórzyła kanoniczka. — Zabraniam ci na przyszłość wspominać wobec mnie jego imienia.

— Stanie się podług woli pani hrabiny—szepnął smutnie Marcin i oddalił się z pośpiechem.

Znalazłszy się sam, starzec zaczął szemrać z niechęcią:

— A to serce jak skała u tej mojej pani! Może ona mniema, że ja dłużej pozostanę u niej w służbie! jeśli tak, to się myli! Widziałem, że dawniej zawsze okazywała się dobrą i miłosierną, że czuwała nad chorymi, wspierała ubogich... Ale staje się nieugiętą, skoro ktoś ośmieli się opierać jej woli! Ja mam nie mówić o panu Janie!... Nie widywać go nigdy!... Ależ na to nie zgodzę się za nic w świecie!... Gdzie oni pójdą i ja pójdę za ni-

mi; powiem o tem któregobądź dnia pani hrabinie. „Służyłem pani z wiernością i przywiązaniem,— rzeknę,—wydobyłem panią z fal Loary, choć prawda, że pani nie dbała wtedy o życie, ale zawsze uratowałem panią. Teraz całą potęgą mojego starego serca przywiązałem się do pana Jana, jedynego spadkobiercy moich dawnych panów, i nie potrafiłbym żyć i umierać zdaleka od niego...” Powiem to wszystko pani hrabinie, daję sobie na to uroczyste słowo!

W istocie, gdy nadeszła zima, a z nią chwila, w której pan de Beaucourt miał zabrać żonę i syna do Algeru, Marcin powtórzył to wszystko co do słowa kanoniczce, która wysłuchała go w milczeniu.

— Pułkownik przyjmie mnie chętnie do służby—zakończył Marcin—chociaż niebardzo ja tam zdatny już do czego i z pewnością umrę na obcej ziemi; ale codzień z rana i wieczorem, a potem przed obliczem Boga, jeśli zechce przyjąć mnie do nieba, modlić się będę za panią hrabinę.

W tej chwili starzec ujrzał to, czego nie widział od czasów krwawej rewolucyi: po licach jego pani spływały wielkie łzy, i hrabianka Antonina, niezdolna dłużej panować nad sobą, szepnęła złamanym głosem, ściskając ręce swego starego sługi.

— Dziękuję ci, Marcinie, dziękuję, mój wierny przyjacielu; módl się za mnie, proszę cię, i czuwaj troskliwie nad moim siostrzeńcem, a gdy umrę pierwej od ciebie, powiedz Jankowi, jak serdecznie go kochałam; ale uczynisz to dopiero po mojej śmierci, Marcinie, nie pierwej, rozumiesz mnie!... Zabraniam ci powtórzyć choćby jedno słowo z dzi-

siejszej naszej rozmowy, dopóki ja żyć będę, i żądam, abyś mi dał słowo, że dotrzymasz przyrzeczenia.

Napróżno stary sługa ze złożonemi błagalnie rękoma prosił o litość swej pani: kanoniczka pozostała niewzruszoną.

Następnie zamknęła się w swoim pokoju, a gdy ujrzała się samą na zawsze w tym olbrzymim pałacu, cierpiała niewymownie, — jak tylko cierpieć potrafią charaktery dumne i zamknięte w sobie. Jednakże nie okazywała się zagniewaną względem pani de Lespine, którą przyjmowała tak, jak dawniej, a nawet gdy margrabina odważyła się mówić coś o „Algerczykach," jak żartobliwie nazywała rodzinę Henryka de Beaucourt, kanoniczka słuchała opowiadania przyjaciółki, nie przerywając jej i nie okazując najlżejszego gniewu.

Po pobycie u pani de Lespine, Janek zmienił się do niepoznania; w tym czasie ojciec jego przybył do Paryża, aby spędzić tu urlop, gdyż dostał awans na generał-lejtenanta, dowodzącego pułkiem w Algeryi. Pan de Beaucourt starał się wszelkiemi siłami pogodzić z siostrą i dawne, serdeczne przywrócić stosunki; ale kanoniczka nie chciała nawet widzieć tego, tak dawniej ukochanego brata.

Wtedy to powstał plan, o którym pan de Beaucourt od dawna marzył w tajemnicy, a który żona jego przyjęła z zapałem.

Pan de Beaucourt postanowił zabrać żonę i syna do Algeru. Tam osiedlą się, otrzymawszy od rządu zezwolenie na objęcie w posiadanie kilkunastu włók gruntu. Tym sposobem będą wiedli żywot

niezależny i nie będą cierpieli tak przykrego dla nich obojga rozłączenia. Lecz pomimo podboju Algeru i ciągłych zwycięstw Francuzów nad krajowcami, zażarte i krwawe walki tam nie ustawały, i pan de Beaucourt nie mógł myśleć o porzuceniu służby czynnej, dopóki pokój nie będzie przywrócony, co w jego mniemaniu miało wkrótce nastąpić. Wtedy porzuci służbę wojskową i zostanie nauczycielem swego syna.

Marya z radością myślała o przyszłości, sądząc, że wszystkie jej marzenia urzeczywistnią się teraz. W wyobraźni przedstawiała sobie, jak wyglądać będzie nowy jej dom, jakim plonem okryją się świeżo uprawne pola. Na myśl jej to nawet nie przyszło, że wszystkie te marzenia są obecnie jeszcze zamkami na lodzie. Mąż nie martwił się jednak jej złudzeniami, gdyż wiedział, że jest szlachetną i wytrwałą kobietą, a przytem projekt wyjazdu wydał się obecnie najlepszem wyjściem z przykrego położenia.

Pani de Lespine z całą gotowością ofiarowała dom swój pani Henrykowej i dziecięciu, które serdecznie kochała. Lecz państwo de Beaucourt, oceniając dobroć i wspaniałomyślność podobnej ofiary, zrozumieli jednocześnie, że przyjmując ją, musieliby się wyrzec nawet nadziei pogodzenia się kiedykolwiek z kanoniczką.

Z pośpiechem zatem zaczęli czynić przygotowania do podróży. Pani de Lespine ofiarowała im pożyczkę pieniężną, której pan de Beaucourt nie odmówił bynajmniej i która dozwoliła im zabrać z Francyi wszystkie przedmioty i narzędzia potrzeb-

ne do uprawy roli. Pan de Beaucourt, jako dowódca pułku, otrzymał z ministeryum wojny koncesyę czyli rozporządzenie, dozwalające mu objąć w posiadanie znaczną przestrzeń gruntów, położonych nieopodal pewnej fortecy. W pośrodku nowej posiadłości znajdowała się dość znaczna wyniosłość, prawie góra.

Jeszcze miesiąc upłynął na robieniu sprawunków, wycieczek i oddawaniu wizyt, gdy pewnego poranku, na kilka dni przed odjazdem, pan Beaucourt otrzymał list następujący:

„Szanowny mój ojcze chrzestny! Donoszę ci, że mamy ciężkie zmartwienie: ojciec mój jest bardzo chory, i byłabym ci szczerze wdzięczną, gdybyś chciał nas odwiedzić. Oprócz choroby mamy jeszcze i inne troski. O, mój ojcze chrzestny! jeśli nie przyjedziesz, lękam się, czy nie dostanę pomieszania zmysłów. Szczerze do ciebie przywiązana i pełna szacunku, chrzestna córka,

Marta Dubois."

List ten zbudził w umyśle pana de Beaucourt wyrzuty sumienia. Zajęty przygotowaniami do wyjazdu, zapomniał o swej chrzestnej córce. Chcąc co rychlej naprawić błąd popełniony, oboje państwo de Beaucourt podążyli do la Châtaigneraye, pozostawiwszy syna pod opieką margrabiny de Lespine.

W dziedzińcu folwarcznym wszystko wydawało się jeszcze bardziej opuszczonem i zaniedbanem, niż dawniej. Nie spotkali nigdzie ani parobka, ani służącej; drób i zwierzęta domowe kręciły się po dziedzińcu, zgłodniałe i chude, szukając napróżno pożywienia.

Gdy wysiedli z powozu i weszli do domu, zastali pierwszą izbę pustą, lecz z sąsiedniej doszły do ich uszu pomieszane i stłumione głosy, jakby płacze i żałosne skargi, nad któremi górował piskliwy głos Anastazyi.

Ponieważ nikt nie odpowiedział na ich wołanie, państwo de Beaucourt posunęli się naprzód, i wkrótce smutny widok przedstawił się ich oczom.

Na łóżku, z czołem obwiązanem i zmienioną twarzą, leżał Dubois, widocznie złamany cierpieniem. Marta przemawiała do niego łagodnie, ścierając delikatnie krople krwi, które sączyły się zwolna po policzkach kolonisty.

W rogu izby, z twarzą ukrytą w fartuchu, siedziała Anastazya, narzekając głośno. Leon, podług zwyczaju, zalewając się rzewnemi łzami, biegał po izbie, przynosząc wodę, lub szmaty. Posługa szła mu niezręcznie, to się potknął o co, to przewrócił krzesło, lub rozlał wodę.

— Bądź cierpliwym, mój ojcze—mówiła Marta— nie trać odwagi i módl się; ksiądz proboszcz nadjedzie zaraz i doktor także.

— A cóż się ze mną stanie?—wyrzekała Anastazya.—Będą mnie oskarżali, a jednak jestem niewinna... lecz nikt mi nie uwierzy... Jakaż ja nieszczęśliwa!

— Ha! ha! — rozśmiał się Leon, upuszczając butelkę z wodą gorącą.

Leon ujrzał państwa Beaucourtów, i to go w tak dobry humor wprawiło.

— Otóż i ojciec chrzestny, chwała Bogu! — krzyknęła radośnie Marta, ujrzawszy pana de Beau-

court. — Dziękuję ci i pani także, — dodała, robiąc miejsce nowoprzybyłym.

Pan de Beaucourt chciał ją o coś zapytać, gdy do izby wpadła otyła służąca, wołając:

— Przybył ksiądz proboszcz z Klaudyuszem, idą tuż za mną. Wrócił też i Piotr, który jeździł po doktora, lecz go nie zastał w domu. Sługa zapewniła go jednak, że doktor przybędzie tu zaraz, skoro tylko wróci do domu.

W tejże chwili wszedł ksiądz, a Marta szepnęła łagodnie:

— Ojcze, ksiądz proboszcz przyszedł do ciebie.

— Dziękuję, pozostawcie mnie z nim samego...— z trudnością wymówił Dubois.

Gdy kapłan wszedł do izby, wszyscy cofnęli się do przyległego pokoju. Anastazya wyrzekała ciągle, a Marta opowiedziała co następuje państwu de Beaucourt:

— Wczoraj ojciec wrócił z targu wcześnie, lecz miał skaleczoną i obwiązaną głowę, a gdy zaniepokoiłyśmy się tem, rzekł nam: „To głupstwo, proste skaleczenie, potknąłem się i upadłem na ostry kamyk. Pamiętajcie o tem, gdyby ktoś was o to pytał. Być może, iż żandarmi będą was badali, gdyż podejrzewają mnie, choć niesłusznie, że trudnię się kontrabandą i że przemycam alkohole do Paryża." Kończąc te słowa, ojciec z trudnością dowlókł się do łóżka, nie chcąc już czekać na wieczerzę, a ja napisałam do ciebie, ojcze chrzestny, bo zdaje mi się... lękam się, że ojciec należał do przemytników...

Kolonistka chciała słowom Marty zaprzeczyć i z groźnym ruchem podniosła rękę do góry, gdy pan de Beaucourt przerwał jej, mówiąc:

— Przestań pani, niech Marta opowiada dalej.

— Dziś zrana, przed wschodem słońca, ojciec zawołał mnie do siebie; zaraz spostrzegłam, że broczył we krwi. Natychmiast więc posłałam po księdza i po doktora... Powiedziałam już wszystko, ojcze chrzestny... Ach! mój Boże!... mój Boże!...

I Marta z trwogą wskazała ręką otwarte okno, przez które widać było trzech konnych żandarmów, wjeżdżających na dziedziniec.

Widząc to, pani Dubois krzyknęła przeraźliwie, a pani de Beaucourt przygarnęła do siebie Martę.

Do izby wszedł brygadyer i, ukłoniwszy się grzecznie, rzekł:

— Bardzo przepraszam pana i całe towarzystwo, ale obowiązek przedewszystkiem. Przybyłem tu z moimi ludźmi, aby w imieniu prawa aresztować niejakiego Dubois, obwinionego o branie udziału w przemytnictwie, a tem samem i wykroczenie przeciw władzy. Onegdaj, ów wyżej wymieniony Dubois zranił śmiertelnie celnika, i dlatego mam rozkaz zabrania Dubois i jego żony... No, no, bez głupstw, matko, bo to na nic się nie zda, — dodał chwytając za ramię Anastazyę, która chciała się wymknąć na dziedziniec.

Pan de Beaucourt przerwał sprzeczkę i podał żandarmowi swój bilet wizytowy, mówiąc:

— Nie chciałbym, brygadyerze, przeszkadzać ci w wypełnieniu twej powinności, ale ten, którego chcesz aresztować, kończy już swój ziemski żywot.

— Czy tylko ten Dubois nie oszukuje cię, pułkowniku? Pojmujesz pan, że muszę to sprawdzić. Gdzież więc jest ów Dubois? — dodał, odsuwając Martę, która zagradzała mu wejście.

— Błagam pana, nie wchodź tam! — zawołało biedne dziewczę, zalewając się łzami i wyciągając do niego błagalnie złożone dłonie.

W tej chwili ksiądz otworzył drzwi i, zwracając się do Marty, rzekł:

— Żandarmi mogą wejść, gdyż ten, którego chcieli ująć, jako żałujący i skruszony grzesznik, stanął już przed sądem Najwyższego.

Marta wbiegła do pokoju zmarłego, a za nią podążyli wszyscy.

Na łóżku spoczywał sztywny i nieruchomy Dubois, który nie słyszał już rozpaczliwego jęku córki i krzyków żony. Naturalnie, że śmierć przerwała wszelkie śledztwo, tembardziej, że Anastazya ze zwykłą sobie przebiegłością zabezpieczyła się od podejrzeń; chociaż więc domyślano się jej wspólnictwa w tej sprawie, musiano ją uwolnić dla braku dowodów.

Państwo de Beaucourt byli obecni na pogrzebie nieszczęśliwego dzierżawcy, którego zwłoki odprowadzili wraz z Martą na cmentarz miejscowy. Leon, ubrany w żałobne szaty i jakimś szczęśliwym wypadkiem czysto umyty dnia tego, płakał bardzo nad zgonem swego opiekuna. Gdy jednak wrócił z cmentarza, bluza, której używał zamiast chust-

ki, wyglądała już tak zniszczona i zasmolona, jakby na kominiarczyku.

Następnie pomimo różnorodnych zajęć, wynikających z powodu wyjazdu całej rodziny, pułkownik zajął się interesami Marty i wkrótce przekonał się, że to, co pozostawił kolonista, nie wystarczy nawet na spłacenie długów.

Pani Dubois złagodniała teraz bardzo i, pokorna jak baranek, pociągnęła pana de Beaucourt na bok, gdy ten ostatni oznajmił jej, że po raz ostatni przybywa na folwark.

— Mój dobry i szanowny panie pułkowniku— rzekła — muszę panu oznajmić, co postanowiłam o losie tej drogiej Marty, którą się nadal nie przestanę opiekować. Prawda, że jest to wielki ciężar na moje barki, ale pomimo to nie cofnę się przed spełnieniem świętego obowiązku. Nabyłam wczoraj w Marly-le-Roy, ma się rozumieć na kredyt, gdyż nie posiadam złamanego szeląga, nabyłam sklep korzenny, w którym będę także sprzedawała trunki. Marta pomagać mi będzie. Dziewczynka jest grzeczna i dobrze wychowana, potrafi więc zachęcić publiczność; z pewnością dostawać będzie zawsze na piwo, a ja nie odbiorę jej przecież tych pieniędzy...

Tu Anastazya, zmęczona zbyt długą przemową, musiała się zatrzymać dla nabrania oddechu, a pan de Beaucourt mógł wreszcie odezwać się choć słów kilka:

— Przybyłem do Garches po to tylko—rzekł— żeby panią zawiadomić o zamiarach, jakie powziąłem względem mojej chrzestnej córki. Lecz pani

nie pozwoliła mi jeszcze objawić swego zdania. Nie zgodzę się nigdy na to, aby Marta miała być służącą w karczmie, i wolę ją zabrać z sobą do Algeru.

— Jeśli tak, to bardzo dobrze! Przystaję na to chętnie!...—rzekła pani Dubois.

Pan de Beaucourt zwrócił się do swej chrzestnej córki i rzekł:

— Śpiesz się, moje dziecię; czy tłomoczek masz już zapakowany?

— Tak, ojcze chrzestny.

— A więc jedźmy, powóz czeka na nas!

— A co się stanie ze mną, gdy ty odjedziesz? ja nie chcę zostać z moją ciotką, nie chcę!...—zawołał w tej chwili głos jakiś, jak gdyby z pod ziemi wychodzący.

Był to głos Leona; chłopiec ukryty za łóżkiem słuchał i zrozumiał wszystko. Łkając więc, rzucił się na szyję Marty. Dziewczynka spojrzała błagająco na swego chrzestnego ojca. Aby nie uledz odrazu tej niemej prośbie, pan de Beaucourt musiał użyć całej siły panowania nad sobą. Pomimo głębokiej litości, jaką w jego sercu budził los biednego chłopca, pan de Beaucourt zrozumiał dobrze, że nie może go zabrać z sobą. Cóżby bowiem począł z nierozsądnym, niezgrabnym i mazgajowatym chłopcem? Postanowił tylko w duchu polecić go opiece sędziego pokoju, z prośbą, aby nieszczęśliwe dziecko umieścił w jakim zakładzie dla sierot.

Pani Dubois ciągle była rozgniewana i złorzecząca; towarzyszyła jednak odjeżdżającym na dziedziniec.

Gniew jej obojętnym był dla pana de Beaucourt; przykrzej mu za to było patrzeć na zmartwienie Leona. Biedny chłopiec uściskał po raz ostatni Martę i w chwili, gdy konie ruszyły, zawołał:

— Tak, odjeżdżasz, odjeżdżasz, Marto!... I czyż mam cię już więcej nie widzieć. O, nie, nie! Wiem, że jestem głupi i że nieraz ci dokuczałem, ale ty byłaś dla mnie zawsze bardzo dobra i ciebie jedną tylko kocham na świecie. Nie mówiłem ci tego nigdy, bo nie umiałem tego wypowiedzieć, gdyż mam na to za mało rozsądku, ale co się ze mną stanie bez twojej przyjaźni? bez twojej opieki?

Wspomnienie rozżalonej twarzy chłopca i smutnych słów jego zatruwało przez długi czas radość Marty, której doznała z powodu wyswobodzenia się z pod władzy nieznośnej pani Dubois.

VI.

Dwaj podróżni, dążący do Marsylii.

Dachy pokryte były śniegiem, a na bruku puszysty, biały kobierzec tłumił odgłos przejeżdżających powozów. Chmury przesuwały się szybko, ciężkie i ciemne, nizko zawieszone nad ziemią.

Zmrok zapadał, strachem przejmując biedaków, kryjących się w mieszkaniach źle, albo wcale nie ogrzanych.

Uwagę powyższą uczyniła nauczycielka Angielka małemu chłopczykowi, w chwili, gdy oboje skręcili na ulicę de Lille, przy której znajdował się pałac margrabiny de Lespine.

Wnuczek jej, Robert de Lespine, małem jeszcze dziecięciem stracił matkę. Ojciec jego, oficer marynarki, podróżował najczęściej po dalekich morzach i oceanach, babcia więc tylko zastępowała chłopczykowi nieobecnych rodziców. Tego dnia jednak chłopczyk nie miał ochoty wracać do domu; przyglądał się z upodobaniem białym, lśniącym płateczkom śniegu, które unosząc się najpierw w powietrzu, spadały później na ziemię, ścieląc ją jakby miękkim puchem. Po obydwóch stronach pałacowej bramy ciągnęły się długie, kamienne ławki, które dawniej prawie przed każdym zamożniejszym znajdowały się domem, służąc za odpoczynek dla ubogich i żebraków, lub też znużonych podróżnych, odbywających pieszą wędrówkę. Pani de Lespine, codzień wychodząc na mszę poranną, spotykała na tych ławkach pewną liczbę nieszczęśliwych, którym udzielała jałmużny, wypytawszy się wprzódy troskliwie o powód ich cierpień i nędzy.

A gdy stara pokojówka mówiła jej często:

— Jestem pewna, że przynajmniej połowa tych ludzi oszukuje panią margrabinę,—ta ostatnia odpowiadała:

— Być może, Anusiu, ale gdyby ci ludzie mieli lepsze utrzymanie, nie przychodziliby okryci łachmanami oczekiwać od świtu na chwilę mego przejścia.

Gdy Robert miał już wejść do bramy, nagle krzyknął zdziwiony i zatrzymał się na ulicy. Miss Julia niemniej była zdziwiona, spostrzegłszy na kamiennej ławce siedzącego chłopca. Dziecko, otulone w jakąś chustkę powalaną błotem, płakało, zakrywszy oczy dłońmi, gdy tymczasem pies lizał litośnie zabrudzone jego policzki.

— Co tu robisz?—zawołał Robert, podchodząc bliżej—nie siedź tu! Mróz staje się silniejszym pod wieczór; wstań i idź do domu.

— Ja nie mam domu—z płaczem odpowiedział chłopiec.—Zimno mi okropnie, a co gorsza, mam wielkie zmartwienie.

Pies zaszczekał, machając ogonem i zwrócił łagodne i rozumne oczy na Roberta, jakby błagając go o łaskę.

Nauczycielka chciała zabrać swego ucznia, mówiąc:

— Trzeba już iść do domu, biegałeś i zmęczyłeś się bardzo, mógłbyś więc dostać kataru... Masz — dodała, podając chłopcu kilka su — masz tu pieniądze, kup sobie chleba.

— Ja nie chcę pieniędzy... ja nie chcę stąd odejść!—z płaczem odpowiedział chłopak.

W tej chwili na progu bramy ukazał się odźwierny.

— Mój Tomaszu, pomóż mi zaprowadzić tego biedaka do twego mieszkania — rzekł Robert. — Chyba go przeniesiemy, gdyż on tak przeziąbł, że

się z pewnością ruszyć nie może. Babcia przyjdzie później i dowie się czego on chce.

Ale odźwierny nie miał ochoty posłuchać panicza.

— Nie można, panie Robercie, dawać w pałacu schronienia pierwszemu lepszemu włóczędze, — odparł—tem więcej, że ten nie budzi we mnie bynajmniej zaufania. Przed chwilą wypytywał mnie na dziedzińcu Bóg wie o co, a w dodatku ma z sobą takiego szkaradnego psa. Widzi pan, złodzieje często posyłają wprzód małe dzieci na wzwiady.

Lecz chłopiec, oburzony podobnem podejrzeniem, zawołał z płaczem:

— Ja nie jestem złodziejem! Ja nigdy nie kradłem! Ja tylko szukam Marty Dubois, a pan nie chciałeś mi odpowiedzieć i wypędziłeś mnie z dziedzińca!

— Ach! to ty znasz Martę? — podchwycił zaciekawiony Robert.

— Naturalnie że znam, i pana pułkownika, i pana Marcina, i pana Jana — odpowiedział Leon, on to był bowiem.

Nieszczęśliwe dziecko tak było zziębłe i zgłodniałe, że ledwie mówić mogło, a biały i ładny pierwej pudel—Azor, którym w la Chataigneraye zachwycał się Janek, podobny był teraz do niekształtnej bryły błota.

Wtedy Robert, z miną poważną, dziwnie wyglądającą przy jego drobnej, dziecięcej postaci, rzekł do Tomasza:

— Tomaszu, zaprowadź natychmiast tego chłopca do swego mieszkania i posadź go przy kominku

aby się rozgrzał. Ale i psa zabierz także, Tomaszu; niech razem z tym chłopcem zaczeka u ciebie na rozkazy babci.

I Robert, z głową dumnie podniesioną do góry i stanowczym wyrazem twarzy, zatrzymał się na dziedzińcu, dopóki Tomasz nie spełnił jego rozkazów. Potem dopiero zastosował się do żądania miss Julii, naglącej go do powrotu do domu.

Tomasz nie miał bynajmniej urazy do młodego pana za tak stanowczo wydany rozkaz, owszem, śmiejąc się, rzekł do żony:

— Pan Robert kubek w kubek podobny jest do nieboszczyka pana margrabiego, który zapalał się łatwo, jak siarka, ale był zacny i poczciwy.

W godzinę później Leon wyglądał zupełnie inaczej; umyty i odziany w suche ubranie, zajadał z apetytem obiad w towarzystwie rodziny odźwiernego. Azor, również wykąpany, wcale nie gardził obfitą strawą, którą mu podano. Margrabina tymczasem dowiedziała się już od Leona smutnych losów jego żywota.

Leon dniem i nocą płakał i martwił się po odjeździe Marty, został bowiem wówczas bez żadnej już obrony wobec pani Dubois; biedak chciał już nieraz iść na stracenie, jak mówią wieśniacy, co znaczy, że chciał sobie życie odebrać, lecz żal mu było Azora.

— Coby biedne psisko robiło beze mnie?—mówił Leon.—Postanowiłem zatem odszukać Martę, która mi pozostawiła swój adres. Chciałem przyjść do niej i powiedzieć jej: „Widzisz, że się obejść bez twej pomocy, że żyć zdala od ciebie nie mogę!"

Wybrałem się więc pieszo, biorąc z sobą chustkę i parę drobnostek, pozostawionych mi przez Martę. W drodze było mi bardzo zimno, szczególnie, gdy przyszedłem do Paryża, gdyż i ja i pies byliśmy tak zmęczeni, że nie mogliśmy już ani nogą ruszyć. Oprócz tego rozbolały Azora łapy, tak, że już iść nie chciał. Nadomiar nieszczęścia ludzie wyśmiewali się ze mnie, skoro się pytałem, gdzie się znajduje ulica de Lille i pułkownik de Beaucourt. Wreszcie jakiś dobry pan, ubrany jak żołnierz, przyprowadził mnie za rękę do tego domu.

Lecz gdy wszedłem tu na dziedziniec, ten pan,— dodał, wskazując Tomasza, — myślał, że przyszedłem go okraść. Usiadłem więc na ławce, myśląc, że będę musiał umrzeć z głodu razem z Azorem. Wtem nadszedł ten dobry, litościwy panicz... Resztę już pani wie, ale nikt nie przeszkodzi mi, abym się utopił, co uczynię z pewnością, jeślibym był zmuszony wrócić do ciotki Anastazyi, zamiast do Marty.

Margrabina, powtarzając słowa Leona Robertowi i miss Julii, dodała:

— Wiedziałam już od Maryi de Beaucourt, jaką niegodziwą kobietą jest pani Dubois. Zajmę się więc losem tego nieszczęśliwego dziecka, który pozostanie chwilowo u odźwiernych, przez czas mojej nieobecności.

— Czy odjeżdżasz, babciu?—zapytał Robert.— A mnie weźmiesz z sobą?

— Nie, moje dziecko, pozostaniesz tu pod opieką miss Julii, gdyż ja wyjadę tylko na trzy dni.

— A czy mogę odwiedzać biednego Leona i zanieść mu jakich zabawek?

— I owszem, ale zawsze w towarzystwie miss Julii.

Nazajutrz podczas godziny rekreacyi, Robert udał się do mieszkania odźwiernego, wziąwszy z sobą rozmaitych łakoci, lecz zdziwił się bardzo, patrząc na smutną minę chłopca, który w jego mniemaniu, powinien mu był okazać większą wdzięczność za tyle dobrych rzeczy.

— Ile masz lat?—spytał wreszcie Robert swego protegowanego.

— Trzynaście i trzy miesiące.

— Co znowu!—z podziwieniem odparł Robert— ja mam dopiero jedenasty rok, a jestem większy od ciebie. Ale to nie twoja wina, że nie urosłeś.

— Ma się rozumieć!—potwierdził Leon z głębokiem przekonaniem.

— A czy ty umiesz historyę i geografię? Czy potrafisz pisać ortograficznie? Ja z łatwością uczę się geografii i zaczynam już tłómaczyć z angielskiego; ale w użyciu imiesłowów to się jeszcze bardzo mylę. Ty, mając trzynaście lat, musisz już pisać bez błędu?

— Nie, ja wcale nie umiem pisać... Marta uczyła mnie wprawdzie, ale szło mi bardzo ciężko. Umiem tylko czytać, trochę katechizmu i historyi świętej, ale niewiele. Marta namęczyła się dobrze, nim mnie przysposobiła do pierwszej Komunii świętej, bo ja widać mam zakutą głowę. Być może, iż pani Dubois biła mnie bardzo po głowie od dzieciństwa, i dlatego stępiałem.

— Ach! więc i to nie twoja wina.

— Zdaje mi się, że tak—odpowiedział Leon ze łzami w oczach.

Robert, wzruszony, milczał chwilę, spoglądając na głowę Leona, jak gdyby szukał na niej śladów owego bicia.

— Czy może być, aby do tego stopnia surowo z nim się obchodzono?—pytał się w duchu.—Wszak ja nigdy zbyt srogiej nie odebrałem kary...

— Troski twoje skończyły się już teraz,—dodał głośno.—Pod opieką mojej babci nic ci się złego nie stanie; powiadam ci, że niema chyba na świecie lepszej od niej opiekunki.

— A cóż babcia panicza zrobi ze mną? Czy będzie mogła zaprowadzić mnie do Marty?

— Nie, ale cię odda do szkoły, gdzie nauczą cię różnych rzeczy, a przytem będziesz zawsze czysty i dobrze ubrany.

— Czy tylko w niedzielę będę mógł widywać Martę?

— Ależ nie będziesz jej widywał nawet w niedzielę! czyż nie wiesz, że Marta jest obecnie w Algerze, z drugiej strony morza Śródziemnego.

— Ja nie rozumiem co to znaczy.

— Alger jest to wielki kraj, znajdujący się w północnej części Afryki, a morze Śródziemne jest to wielkie morze.

— Co to morze?—zapytał Leon, wytrzeszczając oczy na mówiącego.

— A cóż to za głupiec!—powiedział znów w duchu Robert i dodał głośno z niezadowoleniem:

— No, przecież znasz staw lub sadzawkę? Otóż morze jest to coś podobnego, tylko że daleko większe; ogromny zbiór wody słonej.

— To ja pójdę wpław przez tę wodę aż do Afryki, aby być razem z Martą. Jak daleko stąd jest kraj Gerya?

— Algerya, nie Gerya—poprawił go Robert— oddalona jest od nas może o jakie czterysta mil, sam nie wiem tego na pewno, ale jeśli chcesz, mogę się spytać miss Julii.

Leon nie słuchał już dalszych jego wyjaśnień i, krzyknąwszy:

— Wielki Boże!—nanowo zalał się łzami.

Napróżno miss Julia i Robert starali się go uspokoić i zająć czem innem; chłopiec płakał bez przerwy. Wreszcie znudzeni jego brakiem rozsądku odeszli oboje.

Rozmowa powyższa miała jeszcze jednego słuchacza, który jakkolwiek ukryty, nie stracił z niej jednak ani słówka. Był to syn odźwiernego, imieniem Eugeniusz, prawdziwe dziecię Paryża; roztropny, ciekawy, leniwy i łakomy, wiecznie karany w szkole, Eugeniusz był powodem licznych zmartwień dla rodziców. Trzeba jednak przyznać, że choć źle się uczył, czytywał dużo i z wielkiem upodobaniem, chociaż bez wyboru, gdyż pożyczał książki od kolegi, którego ojciec utrzymywał czytelnię. Książki te przewracały chłopcu w głowie, budząc w nim najrozmaitsze fantastyczne marzenia; pragnął on również, jak niejeden z jego ulubionych bohaterów, odgrywać na świecie rolę dziwną lub fatalną, odkryć jaką bezludną wyspę, lub ocalić u stóp gi-

lotyny człowieka niesłusznie o zbrodnię obwinionego.

Na nieszczęście, w Paryżu niema wysp bezludnych, a chłopcy nie mają sposobności zbliżać się do winowajców, skazanych na śmierć.

Podczas gdy Robert rozmawiał z Leonem, Eugeniusz zajęty był w sąsiednim pokoiku przepisywaniem bajki p. t. „Wilk i Jagnię," którą mu zadano za karę; usłyszawszy rozmowę, Eugeniusz rzucił robotę i zaczął słuchać uważnie, a gdy Robert odszedł, on z kolei rozpoczął badanie Leona. Leon nabrał już teraz zaufania i szczegółowo opowiedział mu całą historyę, o której my jesteśmy już dobrze powiadomieni; odmalował mu złośliwość pani Dubois i dobroć Marty, potem dodał:

— Odjeżdżając, Marta oddała mi wszystko, co tylko mogła: ten duży szal, który jej się został po matce, abym miał czem okrywać się w zimie, i cztery pięciofrankówki, oraz dwadzieścia sześć su.

— A cożeś zrobił z tymi pieniędzmi?

— Schowałem je pod podszewkę mojej czapki.

— Masz więc przeszło dwadzieścia franków... Kto wie, czy o tem nie mógłbyś dojechać do Marsylii dyliżansem.

— A pocóż ja mam jechać do Marsylii?

— Dlatego aby odszukać pułkownika i jego rodzinę.

— Ale kiedy oni są... ach! gdzież to? Już zapomniałem!

— W Algerze... ale oni nie są tam jeszcze, wiem to z pewnością; gdyż onegdaj, pan Marcin, żegnając się z rodzicami... Czy znasz pana Marcina?

— Znam, taki stary z umączonymi włosami, on czasem przychodził do nas.

— Więc pan Marcin powiedział te słowa: „Zatrzymamy się w drodze sześć dni i wsiądziemy w Marsylii na okręt szesnastego grudnia; mamy odpłynąć na statku, zwanym „Miasto Alger" ale...

Leon nie słuchał już dalej, lecz zrywając się gwałtownie z krzesła, pobiegł do drzwi, mówiąc:

— Chodźmy, śpieszmy się, zaprowadź mnie na pocztę!

Azor zerwał się także i poszczekiwał radośnie.

Usłyszawszy ten hałas, żona odźwiernego odezwała się z drugiego pokoju:

— Cicho tam bądźcie i nie przeszkadzajcie mi czytać gazety.

Wtedy Eugeniusz wyprowadził Leona na dziedziniec, gdzie długą z nim miał rozmowę; następnie wysunął się zręcznie z pałacu, poleciwszy Leonowi siedzieć cicho i nikomu nie pisnąć ani słówka, gdyż wszystko może być stracone z powodu najmniejszej nieostrożności.

Gdy Eugeniusz wrócił do domu, matka zapytała go:

— Skąd wracasz? Ojciec cię szukał, chcąc wysłać za jakimiś sprawunkami.

— Chodziłem oglądać uczone psy na placu Inwalidów—odpowiedział Eugeniusz, i nawet się nie zarumienił przy tem kłamstwie.

— Strzeż się, jak ojciec wróci, z pewnością za twoje nieposłuszeństwo wytarga cię za uszy.

Eugeniusz potarł uszy, jak gdyby czuł już na nich rękę ojcowską. Ale uszczęśliwiony rolą, któ-

rą miał odegrać, nie żałował swojej wycieczki, i kiedy odźwierna kręciła się koło wieczerzy, chłopcy rozmawiali jeszcze chwilę przy oknie.

— Już wszystko gotowe — odezwał się przyciszonym głosem Eugeniusz — ale z pasportem miałem niemało kłopotu.

— Cóż to jest pasport?

— Wytłómaczę ci to później. Drugi kłopot miałem w biurze pocztowem, gdyż nie chciano mi sprzedać biletu, dopóki starsza osoba nie przyjdzie za tobą zaręczyć. Poszedłem więc do składu win, z którego posługacz za nagrodą zgodził się zaręczyć, że zna twoich rodziców.

— Za jaką nagrodą?

— Wytłómaczę ci to później, a tymczasem nie patrz na mnie z takiem podziwieniem. Dałem mu twoje dwadzieścia franków jako zadatek.

— Zadatek? Nic nie rozumiem.

— Wytłómaczę ci to później. Dyliżans wyrusza jutro punkt o szóstej rano, musisz więc wyjść z domu o piątej. Dla większej pewności ja się wcale spać nie położę, wyjdziemy więc spokojnie, bo gdy rodzice śpią, to nawet nie wiedzą, gdy kto stuka do bramy; nieraz już otwierałem drzwi za nich. Ale bilet do Marsylii kosztuje sześćdziesiąt pięć franków.

— A ja już nie mam nic, ani złamanego szeląga! Mój Boże! mój Boże! co ja poczne!

— Tak! co począć? Czy ty masz jakie pojęcie o tem, skąd wziąć czterdzieści pięć franków? No, mówże, mów, moje dziecko!

— Ale skądże ja to mogę wiedzieć, ja nie mam ani grosza...

— Jakiś ty naiwny!—rzekł Eugeniusz, którego bawiło wzruszenie i kłopot Leona.

Ojciec nazywał go zawsze nieukiem, a on obecnie pouczał Leona, a więc jeszcze zbyt wielkim nieukiem nie jest. Powtarzając to sobie, Eugeniusz czuł się podwyższonym we własnych oczach; zdawało mu się, że jest bohaterem jakiejś powieści.

— Ale ja wiem—odezwał się wreszcie protekcyonalnym tonem:—ja ci pożyczę pieniędzy i dodam ci jeszcze trzy franki, abyś miał za co żyć przez drogę do Marsylii... No, no, nie ściskaj mnie tak, bo mnie udusisz! Wdzięczność twoja głęboko mnie wzruszyła, tym sposobem sowicie będę wynagrodzony za poświęcenie moich oszczędności, które składałem do skarbonki; zresztą zadowolenie mojego sumienia już jest dostateczną dla mnie nagrodą.

— Co to znaczy... sumienie i skarbonka?—powtórzył Leon, który niewiele rozumiał z tej długiej przemowy.

— Wytłómaczę ci to później... Ale gdzież tam! nie wytłómaczę ci tego wcale, bo musiałbym chyba zaczynać od stworzenia świata z takiem gapiątkiem, które nie wie o niczem i nic nie rozumie... Chyba dość mam kłopotu, że się zajmuję interesami pana,—dodał żartobliwie,—niechże pan mnie już nie zasypuje pytaniami!

— Nie powiem już ani słówka—pokornie odpowiedział Leon—już nawet ust nie otworzę...

— I postąpisz bardzo rozsądnie. A teraz chodźmy; matka woła nas na wieczerzę... Ach! żeby tylko ojciec niebardzo wytargał mnie za uszy!

Ale Tomasz zapomniał już o karze i o przewinieniu, a o dziewiątej chłopcy poszli spać do izdebki Eugeniusza, gdzie położono też siennik i dla Leona.

Wykonaniu tego projektu, usnutego przez dwunastoletniego malca, nic nie stanęło na przeszkodzie.

O świcie niepostrzeżeni wymknęli się z pałacu de Lespine i dążyli przez puste jeszcze ulice. Zimno przejmowało ich do szpiku kości. Wierny Azor biegł za nimi. Przed szóstą byli już na ulicy Notre-Dame-des-Victoires.

Dopłaciwszy resztę, należącą się do biletu, za którym miał jechać Leon, Eugeniusz dał jeszcze konduktorowi pięć franków za psa, którego, jak mówił, musi zabrać mały braciszek, jadący do chorej matki w Marsylii.

— Polecam Leona opiece pana konduktora — rzekł — gdyż Leon jeszcze taki młody i niebardzo umie sobie radzić.

Kończąc te słowa, Eugeniusz pomógł wsiąść Leonowi do budki ciężkiego powozu, a gdy chłopiec owinął się w szal, który dostał od Marty, i przytulił do siebie Azora, Eugeniusz dodał:

— Nie będzie ci bardzo ciepło; wiatr jakoś przejmuje i tnie w twarz śniegiem.

Leon nic nie odpowiedział na tę uwagę, a jego opiekun, dręczony wyrzutami sumienia, że naraża biedaka na podobną podróż, odezwał się znowu:

— Daję ci jeszcze moją chustkę z szyi, a ręce schowaj w kieszenie i każ psu leżeć na nogach. Czy masz resztę pieniędzy i papier z adresem pułkownika? Gdybyś go zgubił, pamiętaj co ci powiem: Pułkownik de Beaucourt, hotel de Noailles w Marsylii. No, powtórz to!

Leon przestraszony, onieśmielony, myślał, że śni, nie umiał sobie nawet zdać sprawy, dlaczego odjeżdża i gdzie się znajduje... Machinalnie powtórzył zdania, które mu dyktował Eugeniusz, i dotknął dłonią kieszeni, aby się przekonać, czy ma pieniądze.

— A schodźże prędzej! — krzyknął konduktor na Eugeniusza — gdyż przeszkadzasz innym podróżnym.

Eugeniusz z pośpiechem uścisnął Leona i szybko zeszedł z drabinki, wołając:

— Nie dziękuj mi, moje dziecko!

Ale Leon nie myślał o tem; ogarnęła go trwoga niewymowna, gdy uczuł się tak samotnym, i łzy znów puściły mu się z oczu. A gdy poczty-lion trzasnął z bata, i sześć koni szarpnęło ciężkim powozem, który ruszył z miejsca, chwiejąc się na wszystkie strony, Leon zaczął krzyczeć przeraźliwie. Dopiero na groźby konduktora, który mu oznajmił, że jeśli tak zachowywać się będzie, to go zostawi w Paryżu, chłopiec uspokoił się.

Wróciwszy około godziny siódmej do domu, Eugeniusz wsunął się do mieszkania za kobietą, która przyniosła mleko, i rodzice nie spostrzegli jego nieobecności.

Uszczęśliwiony, iż zamiar tak doskonale doprowadził do skutku, Eugeniusz nie martwił się bynajmniej tem, że oddał Leonowi swoje pieniądze, nie obchodził go również los biednego dziecka, które wypchnął w świat tak niemiłosiernie. Jedna tylko rzecz była dla niego przykra, a mianowicie, że nie mógł wyznać przed rodzicami prawdy. Gdyby nie obawa kary ze strony ojca, byłby zawołał głośno:

— Wiem, gdzie się znajduje ten, którego potępiacie, gdyż ja namówiłem go do odjazdu!

Wszyscy w istocie w pałacu posądzali Leona o niewdzięczność. Odźwierny, lękając się wyrzutów ze strony swej pani, twierdził, że Leon wiele razy mówił, iż pragnie wrócić do ciotki do Marly-le-Roy, i widać czekał tylko przyjaznej chwili, aby się wydostać z pałacu.

Margrabina, której wnuczek powtórzył wszystkie domysły służby, nie starała się dojść prawdy i nie kazała szukać zbiega.

Jednakże prawda wyszła na jaw; później dowiemy się jakim sposobem, a winowajca Eugeniusz, dostawszy najpierw od ojca za uszy, musiał odpokutować swą winę dość ciężko, oddano go bowiem na naukę do bardzo surowego majstra, który go przekonał, że życie nie jest podobne do nadzwyczajnych przygód na morzu, o jakich piszą w książkach.

Dyliżans, dążący do Marsylii, zatrzymywał się tylko dla przeprzęgu koni lub w miejscach, gdzie podróżni musieli się posilić. Podróż trwała już cztery dni i nocy, gdy wreszcie dojechano do mia-

sta Avignon, dawnej siedziby Papieży, której fortyfikacye sięgają jeszcze średnich wieków.

Również starożytny olbrzymi zamek papieski wznosi się ponad brzegiem Rodanu, panując nad miastem i okolicą.

Śnieg padał ciągle i mróz był dość silny, na rzece płynęła kra, a północno-zachodni wiatr dął ze wściekłością, gdy konie zatrzymały się przed domem zajezdnym w Avignonie. Powóz zasypany był śniegiem i obryzgany błotem.

Podróżni wysiedli z pośpiechem i udali się do obszernej kuchni w zajeździe. Tu zastali już przygotowane śniadanie na stole przed kominem, na którym płonęły ogromne szczapy drzewa.

Zaspokoiwszy pierwszy głód i rozgrzawszy się nieco, podróżni zaczęli rozmawiać, szczególnie zaś jedna pani, która mówiła głośniej i więcej od innych. Pani ta miała z sobą dwie córki; wszystkie trzy miały ładne i ciepłe futra. Pomimo to matka uskarżała się na niewygody podróży.

— Chwała Bogu, że się już kończy ta okropna droga—mówiła;—teraz czekam tylko na mój własny powóz, który nie wiem dlaczego tak się opóźnił. Jedyne szczęście, że nim wyjechałam z Paryża, kupiłam dla siebie i moich córek ciepłe futra, które, mówiąc nawiasem, drogo mnie kosztowały. Doprawdy, nie mogę pojąć, jakim sposobem ludzie źle odziani mogą wytrwać na takiem zimnie?

— Masz słuszność, mamo—dodała jedna z młodych dziewcząt. — Gdy się dziś w nocy obudziłam, myślałam o podróżnych, jadących na wierzchu dyliżansu. Widziałam pomiędzy nimi małego

chłopca, który, zdaje mi się, że wcale nie wysiadał od Lugdunu.

— Tak, to prawda. Panie konduktorze, dlaczego ten chłopiec nie wysiadł?

— Musiałem mu powiedzieć, aby nie wysiadał z psem,—odpowiedział niechętnie konduktor.— Pies zaszargał się, zamaczał, i podróżni grozili mi, że zaniosą skargę do administracyi. Chłopiec jest oczywiście tak nierozsądny, że boi się ruszyć z ławki, z obawy, aby się nie przytrafiło co złego temu pudlowi.

— Ale czy temu biedakowi nie jest zimno?— podjęła znowu młoda dziewczyna.—Może on głodny?

— Nie wiem o tem, panienko, — odpowiedział konduktor;—to już do mnie nie należy; przecież nie mogę się zajmować podróżnymi, jadącymi na wierzchu dyliżansu. Ale my tu rozmawiamy, nie myśląc o tem, że dyliżans Lafitte może nas doścignąć... Proszę siadać do powozu, panowie i panie.

— Otóż widzę już mój powóz i konie!—zawołała gadatliwa jejmość.—Żegnam państwa,—dodała z ukłonem.—Ale gdzież się podziała twoja siostra?— rzekła, zwracając się do młodszej dziewczynki.

— Nie wiem, mamo,—odparła ta ostatnia, i obie zaczęły wołać:

— Felciu! Felciu!

Ta, której szukali, wymknęła się przed chwilą z pokoju i, pobiegłszy do dyliżansu, zawołała:

— Pst! mój mały przyjacielu!.. panie!.. chłopczyku!

A widząc, że Leon się nie rusza i nie odpowiada, lecz siedzi nieruchomo, z zamkniętemi oczyma, szepnęła:

— Wielki Boże! on nie żyje!

I, idąc za pierwszym porywem dobrego serduszka, wbiegła szybko po drabince na wierzch powozu. Gdy stanęła na ostatnim szczeblu, westchnienie ulgi wydobyło się z jej piersi, gdyż spostrzegła, że Leon otworzył oczy.

— Masz tutaj koszyk, w którym znajdują się resztki naszych zapasów, wziętych na drogę,— rzekła.—Weź także i te dwadzieścia su, gdyż nie mam więcej pieniędzy.

— Dziękuję, panience,—szepnął Leon, nie mogąc ruszyć się z miejsca;—mnie się jeść nie chce wcale.

— Ale ci zimno, biedaku!

— O! bardzo, bardzo zimno!

Lecz pudel, wydobywając się ze słomy, powąchał koszyk i, kręcąc ogonem, zaskomlał radośnie.

W tej chwili matka, spostrzegłszy córkę na wierzchu dyliżansu, zaczęła krzyczeć z gniewem:

— Czyś ty oszalała, Felciu? Powiedz, czy to jest miejsce właściwe dla dobrze wychowanej panienki? Zejdź czemprędzej!

Felcia zastosowała się natychmiast do rozkazu matki, zostawiwszy jednak koszyk, pieniądze i własną chustkę z szyi na kolanach Leona, który nie miał siły się poruszyć.

VII.

Kapitan Sauvaire.

Dyliżans na nowo ruszył z miejsca. Leon, otrzeźwiony nieco ruchem, uniósł wierzch małego

koszyczka, z którego wyjął kawałek pasztetu i kromkę chleba. Ugryzł kawałek i chciał przełknąć, ale wysiłek kosztował go za wiele, ściśnione gardło nie dozwalało mu przyjąć posiłku. Dał więc chleb psu i chciał resztę pożywienia schować na później, gdy sąsiad z prawej strony wyrwał mu kosz z ręki, mówiąc:

— Skoro ci się jeść nie chce, daj nam to, mój mały!

Leon chciał z początku bronić swej własności, ale mężczyzna odepchnął go kułakiem, kopnąwszy przytem silnie psa, który usiłował stanąć w obronie swego pana. I obadwaj sąsiedzi zaczęli się częstować cudzą własnością; wkrótce znikł pasztet i pół kurczęcia. Niegodziwcy, jedząc, wyśmiewali się jeszcze z biednego chłopca; byli to posługacze od jakiegoś handlarza koni z Camargue.

Całą drogę obdarzali szturchańcami Leona i drwili sobie z niego, grożąc mu przytem, że wyrzucą Azora. Nieszczęśliwy chłopiec nie śmiał się poruszyć z miejsca; jedyną jego obroną były łzy gorzkie, które płynęły obficie, wyciśnięte głodem i zimnem. Jakże teraz żałował, że porzucił dom, a nawet ciotkę Anastazyę! Tylko wspomnienie Marty dodawało mu odwagi. Zresztą od wczoraj nie mógł nawet zebrać myśli i płakał z przyzwyczajenia, nie wiedząc prawie dlaczego.

Gdy gbury zjedli zapasy żywności do ostatniej okruszynki, jeden z nich wyrzucił koszyk na drogę, a drugi wziął fularową chustkę, dar litościwej Felci, mówiąc:

— Co mu po tem, kiedy tego nie używa?...

— Ten głupiec jest zupełnie siny,—dodał drugi i, zwracając się do Leona, rzekł: — Jeśli się nie poruszysz, aby się rozgrzać, umrzesz z pewnością.

— Tem lepiej—odpowiedział Leon.

— To już twoja rzecz; mało mnie to obchodzi.

I dwaj podróżni, zapaliwszy fajki, zaczęli puszczać dym w twarz biednego chłopca.

Noc zapadła; śnieg przestał wreszcie padać i gwiazdy błyszczały na niebie, gdy dyliżans dojechał wreszcie do kresu swej podróży.

— Marsylia! Marsylia! wszyscy już wysiadają! No, mały, wychodź! czy mam cię za kark wyrzucić?— wołał konduktor do nieruchomo siedzącego Leona.

Azor szczekał przeraźliwie.

Wreszcie chłopiec, usłyszawszy kilkakrotnie powtórzony wyraz: „Marsylia," zbudził się ze swego półsnu, czy też odrętwienia. Żywo więc zerwał się na nogi i razem z Azorem zgramolił się po drabince na ziemię. Spostrzegłszy biedaka, jeden z jego towarzyszów podróży mruknął:

— No, no, ten chłopak nie umarł, a to twarda natura!...

— I dobrze się stało, - odparł drugi,—w przeciwnym razie kto wie, czyby nas nie pociągano do jakiego badania.

I obadwaj połączyli się z panem, jadącym w tym samym dyliżansie.

— Niech państwo będą łaskawi wskazać mi... gdzie się znajduje... hotel de Noailles? — powtórzył kilkakrotnie Leon, zwracając się do rozmaitych osób.

Lecz nikt nie uważał na jego pytania; każdy śpieszył się, aby jak najprędzej wyjść z dziedzińca pocztowego, lub też ukończyć swoje zajęcia.

Wreszcie jakiś stangret odpowiedział mu:

— Hotel de Noailles? A cóż taki żebrak, jak ty, może mieć za interes w hotelu de Noailles, który jest jednym z najpiękniejszych gmachów w Marsylii?

— Ja nie jestem żebrakiem; pułkownik i Marta mieszkają w tym hotelu.

— A jeżeli znasz tych państwa, to co innego; posłuchaj więc co ci powiem. Wyszedłszy stąd, idź do końca placu i wykręć się w ulicę na lewo, potem zaś trzecia ulica po prawej ręce będzie ulicą Noailles. W pośrodku ulicy zobaczysz ogromną latarnię, wiszącą przed wielką bramą. Ponad bramą znajduje się napis, wyryty wielkiemi złotemi literami: *Hôtel de Noailles*. Czy zrozumiałeś?

— Tak, panie, i bardzo panu dziękuję,—odpowiedział Leon.

Ale nie zrozumiał ani słowa i zaczął iść na chybił trafił, skręcając to w prawo, to w lewo, to znów wracając się w przeciwną stronę i szukając napróżno ulicy z dużą w pośrodku latarnią i domu, nad którego bramą byłyby wielkie złote litery. Pytał się nawet kilku przechodniów, ale ci nie odpowiedzieli mu wcale,

Wreszcie gdy północ wybiła na jakimś zegarze, i nieszczęśliwy chłopiec chciał się już rzucić na garść słomy, porzuconej nad rynsztokiem, spostrzegł wielką latarnię, a przy jej blasku napis nad bramą: *Hôtel de Noailles*. Bramę rozwarto właśnie w tej

chwili, i jakiś powóz podróżny wtoczył się do jej wnętrza.

Leon, zbierając całą odwagę, zbliżył się do służącego, który kręcił się w przedsionku, i rzekł grzecznie:

— Proszę pana, przyjechałem tu, aby się połączyć z pułkownikiem de Beaucourt. Wskaż mi pan, proszę, jego pokój.

Zdanie to, którego nauczył go Eugeniusz, Leon powtarzał sobie przez całą drogę z Paryża do Marsylii, jeśli tylko głód i zimno go nie odrętwiały. Udało mu się więc wypowiedzieć je dość płynnie.

Służący zmierzył pogardliwym wzrokiem chłopca, okrytego brudnymi łachmanami, i zaszarganego Azora, poczem rzekł:

— Wątpię bardzo, czy ty znasz jakiego pułkownika. W każdym razie ten, o którym mówisz, odpłynął dziś z rana z Marsylii na statku „Alger."

— Pułkownik odjechał do Algeru! to nie prawda! O! powiedz pan, że to nie prawda... A więc i Marta, i pan Marcin, i wszyscy odjechali?

— Ja nie znam Marty; ale powtarzam ci raz jeszcze, że pułkownik, jego żona, syn, jakaś młoda dziewczyna i stary służący odpłynęli z Marsylii dziś o siódmej rano, zabierając przytem wszystkie pakunki.

— Ach, Boże! A czy jabym nie mógł dogonić ich; proszę pana, gdybym tak naprzykład wynajął powóz? Marta zapłaciłaby za wynajęcie powozu... jestem tego pewien.

— Chciałbyś dogonić statek powozem? Cóż za dziki człowiek z ciebie? Albo masz niespełna rozu-

mu, albo drwisz sobie ze mnie! Idź więc z Bogiem, powiedziawszy mi dobranoc, a nawet mogę cię zwolnić i z tej grzeczności, — rzekł służący, wypychając zlekka Leona za drzwi.

Potem zamknął drzwi i udał się na spoczynek, naśmiawszy się przedtem wspólnie z odźwiernym z tego małego żebraka, który chciał nająć powóz, aby dogonić statek na morzu.

. . . . . .

— Dzień dobry, Magdaleno, widzę, że zastałem cię w dobrem zdrowiu.

— Dzień dobry, kapitanie Sauvaire, dziękuję panu za pamięć. Pańskie zdrowie bo zawsze w kwitnącym stanie, niema się nawet o co pytać...

— Tak jest, a jakże się miewa mały?

— Od tygodnia podnosi się z łóżka i sił nabiera potrosze. Urósł tak po chorobie, że musiałyśmy mu przydłużać ubranie; ale biedak nie ma co na siebie włożyć, prócz starego szala, którym się okrywa.

— Nieszczęśliwy! trzeba mu sprawić nowe ubranie, za które ja zapłacę, Magdaleno.

— Dobrze, panie kapitanie; ale otóż i nasz biedak idzie.

— Matko Najświętsza! nigdybym go nie poznał!.. Dzień dobry, mały! mam dla ciebie wiadomości i cieszę się, widząc cię tak żwawym. Ale wiesz co? twój pies jest tłuściejszy od ciebie! Poczciwe zwierzę poznało mnie nawet.

Tak mówił potężnym, basowym głosem mężczyzna otyły i wyniosłej postawy, zwracając się to do niemłodej już kobiety, która widocznie była je-

go gospodynią, to do bladego, szczupłego chłopca, który znać było, że tylko co powstał z ciężkiej choroby.

Mężczyzna ów nazywał się Maryusz Sauvaire i był rodem z Marsylii, czego dowodził jego akcent i sposób wyrażania się.

Sauvaire, wcześnie pozostawszy sierotą, rozpoczął służbę, jako chłopiec okrętowy, potem został żołnierzem, a nakoniec marynarzem na statku, należącym do bogatych kupców marsylijskich, których zaufanie pozyskał w krótkim czasie, gdyż był bardzo uczciwy, bystry i obeznał się łatwo z zawodem marynarza. Kiedy już okazał swoje zdolności, jako kapitan dużych łodzi, żeglujących wzdłuż brzegów, powierzono mu kierownictwo prześlicznego dwumasztowego statku, zbudowanego doskonale, który pruł fale morza Śródziemnego w rozmaitych kierunkach: z północy na południe i ze wschodu na zachód. Nigdy pomiędzy jego załogą nie było niezadowolenia, lub nieposłuszeństwa, nigdy towary, które przewoził, nie były uszkodzone, i zawsze umiał zbyć je zyskownie. Na wszystkich tedy okrętach i na wybrzeżu portowem Sauvaire cieszył się opinią człowieka, któremu się wszystko udaje.

— On ma szczęście,—mówiono. — Tak zwykle bywa na świecie: jednemu wszystko idzie jak z płatka, drugiemu nic się nie wiedzie.

Jeżeli uwagi te czyniono w obecności kapitana, poczciwy ten żeglarz odpowiadał, wzruszając ramionami:

— Szczęście! szczęście! podobne gadaniny są nierozsądne; cała rzecz w tem, że trzeba pracować

gorliwie. Gdy płynę po morzu, dobrze wytrzeszczam oczy, a przytem starannie dobieram ludzi, mających stanowić moją załogę. Potem polecamy się naszej patronce, Matce Najświętszej Panny, której nazwą ochrzciłem mój statek, a oddając się jej w opiekę, nie lękamy się niczego. Gdy statek miał wypłynąć pierwszy raz na morze, właściciele chcieli go nazwać *Prozerpiną*, ale to nazwa pogańska, i słusznie zastosowali się do mojej rady.

Matką Najświętszej Panny jest św. Anna, którą lud w Prowancyi w swojem malowniczem narzeczu zawsze tak nazywa. Marynarze przez skrócenie mówią zazwyczaj: „Matka," lecz we wszystkich aktach urzędowych wypisują tytuł w zupełności.

Na przodzie okrętu był wyobrażony wizerunek świętej Anny, tulącej w objęciach Matkę Boską, przedstawioną jako dziecię. Obie postacie miały nad czołem złociste aureole, a suknie ich i welony, często odnawiane, mieniły się wszystkimi kolorami tęczy: żółtym, zielonym, błękitnym i czerwonym.

Jednego rana, kapitan Sauvaire, mając właśnie odpłynąć do Algeru z ładunkiem oliwy i wina, postanowił jeszcze napić się kawy, nim uda się na pokład okrętowy. Wtem, przechodząc przed hotelem de Noailles, spostrzegł leżącego na stosie śmieci małego chłopca. Chłopiec był brudny, obszarpany i nieprzytomny; koło niego tulił się pies.

— Co to jest? — zawołał kapitan, pochylając się nad leżącymi.

Lecz dziecię nie dawało znaku życia; blada i wynędzniała twarz jego była raczej podobna do twarzy nieboszczyka. Pies tylko skomlał boleśnie.

Kapitan bez wahania wziął chłopca na ręce i zaniósł go do poblizkiej apteki. Tam zaczęto rozcierać zesztywniałe ciało dziecka i wpuszczono mu w usta kilka kropel jakiegoś orzeźwiającego płynu, otworzywszy mu wprzódy nożem zaciśnięte zęby. Wkrótce chłopiec zaczął się poruszać i płakać.

— A więc żyje!—z radością zawołał Sauvaire.

— Żyje—odparł aptekarz,—ale zdaje mi się, że jest bardzo chory... Ale skądże się wziął ten pies? Czy on należy do ciebie, panie kapitanie?

Azor wsunął się za tym, który zabrał jego pana, a ponieważ był chudy i brudny, trzeba przyznać, że nie było w tej chwili brzydszego od niego zwierzęcia.

— Nie, to nie mój pies,—odparł kapitan,—jednakże nie wypędzaj go pan, gdyż zdaje mi się, że go widziałem obok tego biednego chłopca. Znalazłszy ich w tym stanie, wnoszę, że obydwaj nie jedli oddawna.

— Chłopcu nie można jeszcze dać jeść nic cięższego, ale psu dam chleba.

Azor chciwie połknął chleb. Potem kapitan kazał zawołać dorożkę i wsiadł do niej, ułożywszy wprzódy, jak można było najwygodniej, chłopca i wynagrodziwszy aptekarza za poniesione trudy. Azor, nie czekając zaproszenia, wskoczył także do dorożki, co niezmiernie zabawiło kapitana.

— A to poczciwy pies! prawda, że brudny, ale sprytny! ale sprytny! — zawołał, śmiejąc się. — Jedź na ulicę Paradis, pod numer 27-my!—dodał, zwracając się do dorożkarza.

W drodze Leon odzyskał trochę przytomności, a gdy dorożka zatrzymała się przed domem, mógł z pomocą swego zbawcy wejść na trzecie piętro, gdzie mieszkał kapitan. Stara służąca, Magdalena, ujrzawszy ich razem, zawołała:

— Najświętsza Panno! A kogo mi to pan przyprowadzasz? Jakiegoś nawpół żywego chłopaka i wściekłego psa! Biednaż ja! co ja z nimi poczne!

— Będziesz tu pielęgnowała tego chorego chłopca aż do mojego powrotu, a psu będziesz dawała jeść; zresztą bądź spokojna, pies nie jest wściekły.

— Ale gdzie pan ich znalazłeś, kapitanie Sauvaire?

— Na śmietniku, gdzie obydwaj umierali z głodu.

— Pan bo zawsze zabierałbyś wszystkich włóczęgów z miasta, a zamiast wdzięczności, jaką powinni czuć dla pana...

— No, no, Magdaleno, zamiast gderać i marudzić, pomogłabyś mi raczej; czy ci nie wstyd, że sam rozbieram malca? Ale cóż to jest?

W tej chwili z ubrania chłopca wysunął się na podłogę papier brudny i pognieciony, na którym kapitan Sauvaire następujące przeczytał wyrazy:

„Pan pułkownik de Beaucourt, w hotelu de Noailles, w Marsylii."

Na twarzy Leona błysnęła iskierka myśli. Widząc to, kapitan zadał kilka pytań swemu protegowanemu.

— Jak się nazywasz? Czy znasz pułkownika de Beaucourt? Staraj się sobie przypomnieć cokolwiek.

Leon odpowiedział wreszcie przerywanemi słowy, z widocznym wysiłkiem i cierpieniem:

— Pułkownik de Beaucourt... miał odjechać do Algeru... z Martą..., wie pan... z Martą Dubois... i ja myślałem... Eugeniusz myślał... że przybędę do Marsylii... nim oni odjadą...

— A tymczasem oni odpłynęli?

— Tak; a mnie... wypędzili... i wyśmieli się ze mnie... w hotelu de Noailles...

— Ale skądże ty przybywasz? Powiedz mi swoje nazwisko. Czy masz ojca, albo matkę? Czy ta Marta Dubois to twoja siostra?

— Moje nazwisko?... Ja nie pamiętam, jak się nazywam... Ach! wiem, na imię mi Leon... Nie, ja nie mam nikogo na świecie, oprócz bardzo złej ciotki... wie pan... ciotki Anastazyi...

— A Marta?

Chłopiec gwałtownem wybuchnął łkaniem.

— Ja chcę zobaczyć Martę! Zaprowadź mnie pan do Marty!

Od tej chwili Leon zaczął majaczyć.

Magdalena, zdjęta litością, położyła go do ciepłego łóżka. Przywołany doktor przepowiedział ciężką chorobę.

I nie omylił się bynajmniej; przez miesiąc Leon był w niebezpieczeństwie utraty życia, lecz dzięki troskliwym staraniom Magdaleny zaczął zwolna powracać do zdrowia. Litościwe sąsiadki pomagały nieraz Magdalenie i wkrótce wszystkie przywiązały się do biednego chłopca i okazywały mu

swoją życzliwość ze szczerością, właściwą mieszkańcom południowych prowincyi Francyi. Azor także zyskał sobie serca wszystkich, bywających w domu kapitana.

Pies, wymyty starannie, był teraz biały jak śnieg, i o ile tylko mógł, nie oddalał się od łóżka chorego swego pana, a pomimo to oddawał rozmaite drobne posługi Magdalenie. Rano przynosił blaszankę z mlekiem, odnosił gazety z jednego piętra na drugie i wspiąwszy się na tylne łapy, dzwonił do drzwi, oznajmiając tym sposobem o swojem przybyciu lokatorom.

Wieczorem tego samego dnia, w którym kapitan znalazł biednego Leona, cała ulica Paradis i połowa ulicy Saint-Féréol dowiedziały się o wypadku, ubarwiając go naturalnie rozmaitymi dodatkami i starając się przeniknąć tajemnicę, dotyczącą chłopca.

Niewiele jednak się dowiedziano, gdyż kapitan, zebrawszy wiadomości, nie podzielił się niemi z nikim. Kapitan pozostał jeszcze dzień jeden w Marsylii, starając się uchylić rożek zasłony, okrywającej zagadkowe zjawienie się Leona.

W tym celu najpierw udał się do hotelu de Noailles, gdzie się dowiedział, że poprzedniej nocy, jakiś chłopiec, głupowaty, brudny i obdarty, dopytywał się o pułkownika de Beaucourt i o Martę. Następnie kapitan dowiedział się, że pułkownik z rodziną i służącymi wyjechał do Algeru.

Od opisanych powyżej wypadków upłynął miesiąc. Statek pod wezwaniem świętej Anny przybił z powrotem do starego portu, wioząc trans-

port daktyli i pomarańcz, a kapitan Sauvaire, zdawszy rachunki kupcom, wrócił do domu, gdzie zastał swego protegowanego już zdrowym i zmienionym do niepoznania. Chłopiec urósł i pomimo choroby lepiej teraz wyglądał, niż w chwili, gdy go znalazł kapitan. Pudel także wypiękniał i starał się wszelkimi sposobami okazać swą radość.

— Przywożę ci wiadomości, — rzekł Sauvaire do dziecięcia.

— Czy od Marty? — blednąc zapytał chłopiec.

— Tak, od Marty, od pułkownika i jego żony, jednem słowem od całej rodziny. Ach! jacy to zacni ludzie, Magdaleno, i wcale nie dumni! To hrabiowie, a jednak zaprosili mnie na obiad. Głos tej pani to jak muzyka, a rączka, którą mi podała, była taka drobna, że byłem w obawie, czy się nie złamie, gdy ją moją żeglarską łapą uścisnę. „Kapitanie,—rzekła ta pani do mnie:—kapitanie, masz szlachetne serce; proszę cię, abyś mi nie odmówił swej przyjaźni." Ja zaś odpowiedziałem jej ze łzami: „Pani hrabino, masz już zapewnioną przyjaźń Maryusza Sauvaire'a, który ma nadzieję, że kiedyś przekona cię o tem dowodami."

Leon nie śmiał przerywać swemu opiekunowi, lecz kapitan domyślił się niepokoju i ciekawości chłopca.

— Ja sobie gawędzę, zamiast opowiedzieć ci porządnie, jak się to wszystko stało!—zawołał.—Gdy przybyłem do Algeru i załatwiłem się z oddaniem towarów, powiedziałem sobie natychmiast: „Mój kochany, musisz teraz odszukać mieszkanie pułkownika de Beaucourt." W istocie nie przyszło mi to

z trudnością, gdyż u komendanta placu objaśniono mnie dokładnie. Pułkownik mieszkał w hotelu „de la Régence." Przychodzę, służba powiada mi, że pułkownik je śniadanie; mówię więc: „Powiedźcie, że kapitan Maryusz Sauvaire z Marsylii pragnie się widzieć z panem pułkownikiem. Po chwili służący wraca, mówiąc, że ponieważ pan pułkownik nie ma przyjemności znać mnie, prosi więc, abym przyszedł innego dnia. Ta odpowiedź rozgniewała mnie, odepchnąłem więc lokaja i wszedłem do jadalni. Tu pan jakiś podniósł się na moje spotkanie, a poważna jego postawa odrazu uśmierzyła mój gniew; powiedziałem więc grzecznie:

„Pułkowniku, jeżeli postąpiłem nierozważnie, odejdę natychmiast. Jednakże służba pana pułkownika nie ma prawa odpędzać poczciwego kapitana okrętu." Pułkownik, śmiejąc się, odpowiedział mi: „Zdaje mi się, kapitanie, że to ty zgromiłeś służbę, nie moją wprawdzie, ale hotelową." Ja także się roześmiałem i rzekłem: „Panie pułkowniku! przychodzę tu z wiadomościami od małego, biednego chłopca, imieniem Leona, którego nazwiska nie wiem zupełnie." „Od Leona!" pochwyciła z żywością ładna panienka, a chłopczyk powtórzył: „Od Leona!" Wtedy piękna pani odezwała się: „Powiedz nam pan o Leonie, ale wpierw siadaj i przyjmij filiżankę kawy." Wkrótce porozumieliśmy się dokładnie, i cała rodzina zdziwiła się niewymownie, dowiedziawszy się, że odbyłeś podróż z Paryża do Marsylii, wśród najcięższej zimy i do tego bez pieniędzy. W istocie ja sam nie rozumiem, jakim sposobem dostałeś się tutaj.

Wtedy Leon opowiedział szczegóły swej ucieczki od margrabiny de Lespine i uciążliwą podróż, którą odbył na budzie dyliżansu. Szczegółów nie pamiętał zbyt dokładnie; wiedział tylko, że mu było zimno, że bał się okropnie i prawie ciągle był głodny; przez ostatnie dwa dni nic nie jadł, bo nie miał już ani grosza, nie miał nawet odwagi wysiąść, gdyż konduktor zabronił mu wysiadać z psem, którego lękali się podróżni.

— Azor rozumiał to widać i leżał ciągle pod ławką,—kończył swoje opowiadanie Leon.—Długo spaliśmy obydwaj, a gdy się przebudziłem, siedzący obok mnie podróżni kopali mnie lub puszczali mi dym z fajek prosto w twarz. Nareszcie gdy wszyscy wysiedli w Marsylii, szukałem długo hotelu de Noailles. Azor wył i nie chciał już iść; wreszcie doszedłem do hotelu, ale mi zamknęli drzwi przed nosem, położyłem się więc na garści słomy, czekając śmierci. Azor położył się koło mnie, a potem już nic nie pamiętam, aż do chwili, gdy pewnego wieczoru ujrzałem panią Magdalenę, podającą mi napój, i Azora wymytego czysto przy moim łóżku.

— Biedaku! cud to prawdziwy, żeś przybył z Paryża do Marsylii. Cud także, że kapitan cię znalazł,—rzekła Magdalena ze łzami w oczach, chociaż po raz dziesiąty może słyszała tę samą historyę.

Trzeba wiedzieć, że Prowansalczycy wzruszają się bardzo łatwo i mogą zarówno płakać z żalu, jak z radości.

— Nie chcę cię już dłużej dręczyć, mój mały— odezwał się znowu kapitan,—i powiem ci, że pułkownik i jego rodzina prosili mnie, żebym cię

przywiózł do Algeru, skoro tylko następną odbywać będę podróż, jeżeli nie zmieniłeś zdania i masz ochotę jechać. W takim razie zabiorą cię do Maison-Carrée, gdzie mają się właśnie osiedlić... Matko Najświętsza! Patrz-no, Magdaleno, mały zemdlał...

Ale Leon nie zemdlał, tylko pobladł i tak drżał z radości, że był zmuszony usiąść. Szczęście przyszło tak niespodziewanie, że siły go zawiodły... Ale po chwili przyszedł zupełnie do siebie i zrywając się z krzesła, pobiegł do kapitana, chwycił go za rękę i pocałował serdecznie.

— Poczciwy malec!—zawołał Sauvaire, którego oczy zwilżyły się łzami.

Magdalena płakała, a Leon stokrotnie dziękował poczciwej kobiecie za zniesione trudy.

Ciotka Anastazya z trudnością byłaby poznała małego niegdyś Leona w tym chłopcu, wysokim na swój wiek. Choroba wydelikatniła rysy jego twarzy, a dobroć i troskliwe staranie obudziły jego inteligencyę, tak długo uśpioną przez nędzę i złe obchodzenie się, jakiemu biedny chłopiec od dzieciństwa podlegał.

VIII.

Coraz większe zdziwienie. Koloniści w Karmusie.

Statek świętej Anny, zaopatrzony w artykuły żywności, jakich dostarczała Prowancya, popłynął

znowu przez morze Śródziemne, przy końcu miesiąca kwietnia.

Magdalena i jej sąsiadki serdecznemi łzami żegnały Leona; on rozpłakał się także, ale trzeba przyznać, że teraz nie był już takim mazgajem. Pomimo ciężkich smutków i strasznych prób, jakie przechodził, młody chłopak dziwił się sam, że zamiast płakać, nabrał jakoś energii. Prawda, że dawniej płakał za wiele, może więc obecnie źródło łez wyschło?...

Podróż odbywała się szybko, gdyż sprzyjający wiatr wschodni pomagał bardzo żegludze, i w pięć dni po opuszczeniu brzegów Francyi, majtek siedzący na straży oznajmił, że widać już wybrzeża Algeru i przylądek *Cascine*.

Słońce schylało się ku zachodowi, rzucało ukośne, złote promienie na oddalone jeszcze brzegi francuskich posiadłości. Najpierw spostrzeżono wierzchołek góry Atlasu, potem zarysy gór najbliższych i nakoniec Alger, który w formie białego trójkąta wychyla się z pośród ciemnej zieleni gajów.

Miasto Kasbah, do którego płynęli, nazywane jest często przez Arabów El-Aahadja, co znaczy: białe; w istocie pozostało ono najbielszem i najświeższem ze wszystkich miast wschodnich. W owym czasie istniały jeszcze stare mury, które jak olbrzymie schody stanowiły łącznik między Kasbahem i morzem. Na prawo i na lewo wznosiły się lesiste wzgórza i ogrody. Wpośród drzew ukazywały się gdzieniegdzie wille i świątynie. Na wierzchołku wyniosłej skały wznosił się olbrzymi budynek, a w dole, na błękitnych falach morza kołysały się

różnej wielkości łodzie i statki, powiewając różnobarwnemi flagami.

— No i cóż, mały? co powiesz o tem wszystkiem? — zawołał kapitan, zachwycony wyrazem podziwienia, malującym się na twarzy Leona.

— Powiem, że to jest wszystko bardzo piękne, kapitanie; nigdy nie wyobrażałem sobie, że może istnieć coś tak wspaniałego. Więc ta wielka gromada domów i drzew to Alger? Pójdziemy obejrzeć to wszystko, ale najpierw zobaczymy się z Martą...

— Być może, iż pułkownik z rodziną wyjechał już z miasta. Ale nie martw się tem, mój chłopcze; wkrótce połączymy się z nimi, a tymczasem oprowadzę cię po mieście.

— Dziękuję ci, panie kapitanie. O! patrz pan, jakie to wielkie domy tam wysoko.

— To nie są domy, to fortece; tak się nazywają wielkie koszary, w których mieszkają żołnierze i gdzie przechowują broń, proch i armaty. Jedna z nich nazywa się fortem Bab-Azun...

— O! nigdy nie spamiętam tych nazwisk...

— Drugą krajowcy nazywają Bordż-Mulaj-Hassan, albo Sułtan-Kalassi; ale obecnie nazywają ją poprostu: Cesarskim zamkiem...

— Wielkiego cesarza Napoleona?

— Nie, innego, który żył przed trzystu laty; nazywał się on Karolem piątym, przynajmniej tak mi mówiono.

— Czy to był cesarz francuski, kapitanie?

— Nie, był to władca Niemiec czy Hiszpanii, nie wiem tego napewno; to tylko wiem, że zamek

ten zdobyli i wojsko jego zwyciężyli poganie, którzy panowali nad tym krajem aż do roku 1830-go. Poganie są to ludzie, którzy, nie znając Jezusa Chrystusa, ani Matki Boskiej, ani żadnego świętego, cieszyli się, gdy statki ich rabowały okręty, przepływające po morzu Śródziemnem i brały w niewolę chrześcijan. Tym sposobem chrześcijanie stawali się niewolnikami tych niegodziwców, którzy na domiar złego są jeszcze czarni.

— Co to są niewolnicy?

— Są to ludzie nieszczęśliwsi od najlichszych zwierząt; właściciele mają prawo ich bić, sprzedawać, a nawet męczyć, gdy im przyjdzie po temu fantazya.

— A dlaczegoż ludzie szlachetni, żołnierze i pułkownicy nie pozabijali tych niegodziwych ludzi?

— Nie umiem ci tego wytłómaczyć; ale przed dziesięciu laty król francuski wypowiedział im wojnę. Posłał mnóstwo okrętów, marynarzy i wojska, aby walczyli z rabusiami. Król tych okrutników nazywał się dejem, a wtedy panował nad nimi dej Husein. Ja także należałem do tej wyprawy, a nawet do pułku, który zwyciężył deja i opanował kraj. Zgadnij, jak krajowcy nazywają Alger?... Nie, nie zgadłbyś tego nigdy: *El-Djeżair*, co po arabsku znaczy: wyspy.

— Doprawdy! — zawołał chłopiec z podziwieniem, które w nim wzbudziły rozległe wiadomości kapitana.

Kapitan Sauvaire zadowolony, że takie na Leonie wywarł wrażenie, ciągnął dalej:

— Ten drugi, biały budynek, który widzisz poniżej cesarskiego zamku, to jest cytadela, zwana Kasbah, to znaczy miejsce bardzo wyniosłe, gdzie ostatni dej, o którym ci już mówiłem, poprzedni władca tego kraju, miał swoje mieszkanie i gdzie zamykał swoje skarby. Otóż na murach tej cytadeli znaleźliśmy poprzybijane głowy. Było ich więcej może niż sto, a wszystkie żołnierzy i marynarzy, których Kabyle pochwycili w niewolę przed kilku dniami.

— Jak to? same tylko głowy?

— Tak, mój chłopcze; głowy te, odcięte od ciał, z twarzami wykrzywionemi okropnym bólem, na wieki utkwiły mi w pamięci i dotąd jeszcze nieraz ukazują mi się we śnie... Arabowie z zadziwiającą zręcznością umieją odcinać głowy swemi wielkiemi szablami, a czynią to w mgnieniu oka. W pierwszych czasach po zdobyciu kraju, nie można było samemu zapuszczać się poza miasto Alger. A trzeba ci wiedzieć, że każdy Francuz jest ciekawy i niezbyt posłuszny; wielu więc, pomimo zakazu wodzów, lubiło się przechadzać i zwiedzać okolice. Często, gdy wieczorem zwoływano żołnierzy do apelu, brakowało żołnierza, lub oficera. Szukano go zwykle napróżno. Dopiero pewnego pięknego poranku znajdowano go, jak siedział spokojnie pod drzewem, nad brzegiem strumienia. Wołano go więc po imieniu, każdy pytał się z podziwieniem: „Dlaczego on się nie rusza i nie odpowiada?" Ale jakże biedak mógł odpowiedzieć, kiedy miał uciętą głowę? Wierzaj mi, chłopcze, że ja

z trudnością mogłem się przyzwyczaić do podobnego widoku.

— Wierzę bardzo, panie kapitanie. Sama myśl o tem przejmuje mnie dreszczem trwogi.

— Jednakże ze wszystkiem oswoić się można. Słuchaj dalej. Wszystkie siły obronne Algeru skierowane były w stronę morza, gdyż dej mniemał, że miasto od strony lądu jest niedostępne. Ale dej nie znał Francuzów. Pomimo jego armat, wojska i gęstych strzałów, wysiedliśmy na brzeg, na półwysep, zwany Sidi-Ferruch. Czy ty wiesz, co to się tak nazywa?

— Nie, nie wiem, kapitanie,—odpowiedział Leon ze smutkiem.

— No, to się dowiesz, mój chłopcze... Gdyśmy wreszcie wylądowali, uformowaliśmy się w kolumnę i marsz w drogę, do szturmu! Byli pomiędzy nami starzy żołnierze, pamiętający wielkie wojny. Niektórzy z nich należeli do wyprawy na Egipt; mój kapral był pod Austerlitz... Ale prawda, zapomniałem, że ty także tego nie wiesz; ale dowiesz się o wszystkiem, nie martw się tem bardzo... Aby nas zatrzymać, wysłano przeciwko nam pięciuset czy sześciuset kawalerzystów arabskich, stanowiących najlepsze wojsko deja. Trzeba przyznać, że byli to także odważni ludzie, a wyglądali bardzo dziwnie, tak, że postać ich przeraziła niektórych naszych żołnierzy. Okryci obszernymi białymi płaszczami, zdawało się, że stanowią jedną postać z koniem, przytem uzbrojeni w długie fuzye, wydawali przeraźliwe krzyki w niezrozumiałym dla nas języ-

ku, unosząc się przytem na strzemionach... Czy ty wiesz, co to strzemiona?

— Wiem, kapitanie, widziałem przecież nieraz jadących konno.

— Biegli oni ku nam, jak tylko konie zdążyć mogli, porzuciwszy uzdeczki, aby mieć wolne ręce do walki. Gdy wystrzelili, zwracali się natychmiast w tył, a nabiwszy fuzye, wracali znowu ku nam, usiłując nas przestraszyć. Ale Francuzi nie przestraszą się tak łatwo. Nazajutrz zdobyliśmy wzgórza i biliśmy się w Staueli, tam, na tej górze, gdzie był obóz nieprzyjacielski... Czy ty wiesz, co to jest obóz?

— Wiem, widziałem obóz w Wersalu.

— Wygnaliśmy nieprzyjaciela i spaliśmy tej nocy w jego obozie. Potem zdobyliśmy cesarski zamek i tym sposobem staliśmy się panami miasta; potem dej Husein poddał się i był wysłany na wyspę Maltę, na pięknym statku, zwanym *Joanna d'Arc;* nigdy już odtąd nie słyszeliśmy o tym poganinie i jego rodzie. Ja nazywam go poganinem, choć wiele osób twierdzi, że muzułmanie niezupełnie są poganami i że w głębi duszy wierzą także w Boga; ale ja uważam ich za pogan, i zrobisz mi wielką przyjemność, jeżeli podzielisz mój sposób zapatrywania się na tę kwestyę.

— Dobrze, kapitanie, — odpowiedział Leon, chociaż ani słowa nie zrozumiał z ostatniej uwagi kapitana Sauvaire'a.—Mów pan dalej, panie kapitanie,—dodał,—bardzo mnie zajmuje to, co pan opowiadasz.

— Po wielu walkach i bitwach, Francuzi zwyciężyli nakoniec. Wiele miast dostało się w ich ręce, jako to: Blidah, Bonn, Mers-el-Kebir, Oran. Zwycięstwo nie ograniczyło się tem, zdobycze zwiększały się z dniem każdym i dotychczas jeszcze ciągle się rozszerzają. Król francuski może sobie powinszować, że oswobodził morze Śródziemne od napadów tych Maurów, tych Turków, którzy z rozkoszą przybijali głowy chrześcijan na murach swych fortec.

— Ach! jakże Francuzi musieli kochać swego króla za to, co dla nich uczynił!

— Niebardzo, Paryżanie zrzucili go z tronu.

— I za co, proszę pana?

— Ja tam nie wiem dokładnie za co; opowiadano mi mnóstwo rzeczy dotyczących tej kwestyi, ale to do mnie nie należy, ani ciebie także nie powinno obchodzić.

— Ma się rozumieć, — z przekonaniem odpowiedział Leon.—Ale dlaczego, panie kapitanie, nie jesteś już żołnierzem?

— Zachorowawszy na febrę, panującą w Afryce, byłem uwolniony ze służby, a ponieważ zawsze żal mi było morza, zostałem marynarzem w Marsylii, gdzie bracia Cabeli, właściciele okrętów, polubili mnie bardzo... Teraz, mój chłopcze, nie pytaj mnie o nic, bo ci nie będę odpowiadał; wkrótce wylądujemy, muszę więc iść do steru.

Leon pozostał sam, z głową płonącą od natłoku nowych myśli, usiłując zrozumieć to, co było dla niego niejasnem w opowiadaniu kapitana. Nie pojmował, dlaczego Francuzi wypędzili takiego bohaterskiego króla, dlaczego kapitan Sauvaire, biorący

udział w tylu bitwach i szturmach przy zdobyciu miast, został później skromnym marynarzem, zupełnie jak ci, których widział drapiących się po linach na wierzchołki masztów i wymyślających sobie wzajemnie. Biedny chłopiec, pomimo wysiłku, nie mógł sobie przypomnieć wszystkich nazwisk, które usłyszał od kapitana.

Wreszcie zarzucono kotwicę. Na jasnem niebie jedna po drugiej ukazywały się świetnie jaśniejące gwiazdy. Z wyjątkiem ludzi, przeznaczonych do pilnowania, wszyscy udali się na spoczynek. Jednakże Leon, siedząc wsparty o beczkę, na przodzie okrętu, długo nie mógł zasnąć, wpatrując się w przestrzeń szeroko otwartemi oczyma. Pudel spoglądał na niego rozumnym i łagodnym wzrokiem. Wreszcie chłopiec zawołał z rozrzewnieniem:

— Ach! mój biedny Azorku! mój poczciwy, stary piesku, obydwaj niewiele jeszcze umiemy; ale będziemy się uczyli, aby wyrosnąć na rozumnych!... Może Bóg da, że będę z czasem nawet mądrym i uczciwym człowiekiem, a kto wie może nawet żołnierzem!

— Ham! ham! — radośnie zaszczekał Azor i polizał rozpalone czoło i policzki chłopca.

Leon usnął wreszcie, lecz sen miał niespokojny, a nawet wymawiał wyrazy bez związku. Śnił, że się zabłąkał w olbrzymim lesie, gdzie walczyli ludzie czarni i straszni. Ci ludzie mieli fuzye długie jak drągi, a jeden z nich, o Boże! unosił Martę na bułanym koniu, którego Azor chwytał za nogi.

W tej chwili kapitan Sauvaire obudził swego protegowanego, potrząsając nim silnie, a gdy Leon

podniósł się, nie wiedząc jeszcze, co się z nim dzieje, kapitan rzekł:

— Zapomniałem ci wczoraj powiedzieć, że wysiądziemy na ląd o wschodzie słońca. A oto już słońce wychyla się z poza przylądka Matiftu. Patrz, jaki twój pies wesół, gdy poczuł ziemię!

W istocie Azor skakał i szczekał z radości.

Wkrótce spuszczono na morze małą łódź, która skierowała się w stronę dawnego tureckiego portu. Wysiadłszy na ląd, kapitan Sauvaire i Leon z Azorem weszli do Algeru przez rogatki, zwane francuskiemi.

. . . . . .

Posiadłość, wyznaczona od rządu dla pana de Beaucourt, znajdowała się o dwanaście kilometrów od miasta Algeru, w stronie południowo-wschodniej, a może o dwa kilometry od miejscowości zwanej Maison-Carrée i od małej rzeczki Harrach. Równina ta i wzgórze nazywały się Karmus.

Za czasów panowania dejów, miejscowość Maison-Carrée nazywała się Bordj-el-Kantara, czyli warownią Mostu, albo Bordj-el-Aga, czyli warownią Agi, i służyła Turkom za koszary. Z tego wyniosłego punktu wojska agi doskonale mogły widzieć całą okolicę i często napadały na podróżnych, lub mieszkańców krajów ościennych, zmuszając ich do płacenia okupu.

Po roku 1830, Bordj-el-Kantara, przezwana Maison-Carrée, pozostała i nadal koszarami. Obecnie stał tam batalion francuskiege wojska, mający

powierzoną sobie straż nad przeprawą przez rzeczkę Harrach i wschodnią część równiny Mitidja.

Pan de Beaucourt kupił dom wiejski, który należał dawniej do jakiegoś baszy. Dom ten był zbudowany na połowie wyniosłości wzgórza, miejscowość miała klimat zdrowy i położenie dość przyjemne; ożywczy powiew morskiego powietrza oddziaływał zbawiennie na zdrowie. Z Maison-Carrée widać było doskonale to wzgórze, które tym sposobem pozostawało pod opieką tamtejszego garnizonu, gdyż nawet w pobliżu Algeru byłoby rzeczą bardzo niebezpieczną osiedlać się bez obrony, dopóki się nie poddał Abd-el-Kader.

Dom, odświeżony starannie, posiadał wygody, mogące zadowolić nawet wytworne wymagania europejskiego gustu, nie tracąc jednak nic ze swego wschodniego stylu, ani w budowie, ani na dziedzińcu i tarasie.

W pobliżu domu znajdowały się budynki, niezbędne przy dość znacznem gospodarstwie rolnem, i ładny ogród otoczony dębami, pełen drzew pomarańczowych i daktylowych.

Ze wzgórza Karmus przepyszny roztaczał się widok: w dali widniały gmachy Algeru i przylądek Matiftu, z częścią Sahel z jednej strony, a z drugiej początek równiny Mitidja.

Sahel nazywają wzgórza, ciągnące się pomiędzy morzem i równinami. Te wzgórza znajdowały się między Ued Mazafran, Harrach i równiną Mitidja.

Przez trzy lata nowi koloniści narażeni byli na wiele zawodów, trosk i ciężkich trudów. Często

podczas żniwa lub siewów brakowało robotników, których nie można było wynaleźć ani wpośród krajowców, ani wpośród Europejczyków. Oprócz tego grad i szarańcza zniszczyły kilka razy zasiewy, a pan de Beaucourt, skrępowany obowiązkami służby, rzadko tylko mógł odwiedzać rodzinę. Jednakże, dzięki kapitanowi Sauvaire'owi, trzeci rok pobytu państwa de Beaucourt w Afryce pod przyjaźniejszą rozpoczął się wróżbą.

Kapitan, będąc raz świadkiem przykrości, spowodowanych przez brak dobrych robotników, dał sobie słowo, że przyjdzie w pomoc swoim przyjaciołom, i pewnego pięknego poranku przypłynąwszy do Algeru na swoim statku, przywiózł z sobą rodzinę wieśniaków z Piemontu, składającą się z ojca, matki i trzech tęgich chłopaków. Wszyscy byli pracowici, uczciwi i wstrzemięźliwi.

Wkrótce też łatwo obeznali się z warunkami uprawy, jakiej wymagał grunt tamtejszy. Losy małej kolonii stały się odtąd pomyślniejszymi. Świeżo założone winnice obiecywały w przyszłości dorównać winnicom południowej Francyi; urodzaje były doskonałe, pomarańcze sprzedawano korzystnie.

Maurowie z sąsiednich wiosek, których najmowano niekiedy do pracy, nauczyli się także dokładniejszej roboty, a nadewszystko nie porzucali zajęcia w najkrytyczniejszej chwili. Wszystko to należało zawdzięczać wpływowi piemonckich wieśniaków; dzięki ich gorliwości, pani de Beaucourt mogła troszeczkę wypocząć.

W drugim roku pobytu państwa Beaucourtów w Afryce przyszła im na świat maleńka dziewczyn-

ka, która była prawdziwą rozkoszą dla pułkownika, jego żony i dla Janka. Co zaś do Marty, Leona i Marcina, ci uwielbiali niemal maleństwo.

— Ach! gdyby pani kanoniczka mogła choć na chwilę zobaczyć pannę Annę,—mawiał często stary sługa,—zapomniałaby z pewnością o wszystkich swoich uprzedzeniach.

Ale hrabianka Antonina nie dawała nigdy znaku życia, i jedynie pani de Lespine można było zawdzięczać wiadomości, dotyczące mieszkanki z ulicy Saint-Romain.

Pani de Lespine okazała się tak życzliwą, że naraziła się nawet na podróż przez morze Śródziemne, aby trzymać do chrztu małą Anusię.

Kiedy Leon złożył jej swoje uszanowanie, margrabina własnym nie wierzyła oczom, że chłopiec mógł się do tego stopnia odmienić. Zdziwienie jej spotęgowało się jeszcze, gdy poczęła z nim rozmawiać. Jak to? ten wysoki chłopiec, z wyrazem twarzy otwartym i rozumnym, odznaczający się tak delikatnem obejściem, byłżeby owym nieszczęśliwym malcem, brzydkim i głupowatym, którego znaleziono nawpół zmarzłego na ławce przed jej pałacem?

Margrabina opowiedziała im o przygodach Leona i spisku uknutym przez Eugeniusza, co niezmiernie zajęło mieszkańców kolonii Karmus, chłopiec bowiem w ciągu długiej swojej choroby zapomniał wielu szczegółów.

Gdy na prośby swoich młodych przyjaciół pani de Lespine powtarzała który epizod z tej nawpół bajecznej historyi, dawne mieszkanie turec-

kiego baszy rozbrzmiewało wybuchami wesołego śmiechu.

Margrabina opowiedziała im również, że syn odźwiernego, który z początku usiłował wypierać się winy, nie umiał wytłómaczyć się z rozbicia skarbonki i zniknięcia pieniędzy, które w nią składał. Ojciec Tomasz rozgniewał się na niego bardzo i dał się dopiero przebłagać w dniu, w którym nadszedł z Algeru list, zawierający sumę pożyczoną Leonowi przez Eugeniusza; Leon w gorących słowach podziękował małemu Paryżaninowi za to, że się przyczynił do jego szczęścia.

Eugeniusz, którego oddano do kupca korzennego, został bardzo porządnym subjektem, lecz nieraz, robiąc torebki ze starych książek i gazet, narzekał, że dla braku czasu nie może teraz tak wiele czytywać, co niezmierną dla niego było przykrością.

Marta i Janek zmienili się również, choć zmiana w nich nie była tak rażąca, jak w Leonie. Klimat i odrębny rodzaj życia zahartowały Janka, odbierając mu pozór chorobliwej delikatności. Chłopiec był na swój wiek dość wysokiego wzrostu, ale ogorzałe i rumiane policzki, oczy jaśniejące blaskiem młodości i zdrowia, dowodziły o wielkim zasobie sił fizycznych. Janek pracował gorliwie pod kierunkiem matki i pewnego profesora z Algeru, do którego jeździł raz na tydzień.

Marta wyrosła też na młodą dziewczynę i stała się bardzo użyteczną w Karmusie; ona to miała nadzór nad drobiem, ogrodem i bielizną, tudzież nad dwiema maurytańskiemi kobietami, które peł-

niły obowiązki służących. Nieszczególna była to usługa, ale w braku lepszej, trzeba było i na takiej poprzestać.

Pani de Beaucourt chciała z początku uważać Marcina za przyjaciela raczej, niż sługę, ale zacny człowiek pragnął pozostać na swojem stanowisku i miałby się za bardzo nieszczęśliwego, gdyby ktoś mu zabronił przestrzegać w Afryce ceremoniału, przyjętego na ulicy Saint-Romain. Zawsze ubrany podług dawnej mody, upudrowany i wygolony starannie, Marcin oznajmiał nieodmiennie:

— Proszę pani hrabiny, już podano do stołu.

Potem obnosił półmiski, na których układał potrawy, nie podawał ich jednak inaczej, tylko na srebrze, stanowiącem resztki dawnych familijnych zabytków.

Pułkownik i jego rodzina przywiązali się wkrótce do Leona, który ze swej strony serdecznie pokochał wszystkich, i państwa i pana Jana i pana Marcina. Marty słuchał zawsze, okazując jej posłuszeństwo i przywiązanie niemal synowskie, co bawiło wszystkich mieszkańców w Karmusie. Leon, wyższy o głowę od Marty, pytał zawsze o jej rozkazy, stosował się do każdego jej życzenia, a nawet wydawał przed nią lekcye, których się uczył w niedzielę, lub wieczorem, nie myśląc o tem, że jest obecnie bardziej od niej wykształcony. Marta naprzykład dość długi czas nie mogła zapamiętać ani jednego arabskiego wyrazu, podczas gdy dawny jej protegowany, któremu Janek zastępował nauczyciela, doszedł do tego, że mógł mówić i pisać biegle, chociaż nie bez błędu, w języku krajowym.

Chociaż mniej od niego pod tym względem wykształcona, pani de Beaucourt mogła się także porozumiewać z krajowcami. W nieobecności męża, zajęcia jej dość były ciężkie i rozliczne: musiała pilnować nauk Janka, rozporządzać robotą na folwarku i pielęgnować małą Anusię, którą wszyscy mieszkańcy Karmusu psuli na wyścigi. Mała Anusia miała dwóch wyłącznych swoich niewolników: Marcina i Azora. Pudel, zawsze żwawy, czysty i rozumny, nie odstępował ani na chwilę małej dziewczynki, która wydawała radosne okrzyki, gdy uchwyciwszy się rączkami za szerść jego, mogła się utrzymać chwil kilka na nóżkach. Pies szedł wolniutko, dziecię postępowało za nim kilka kroków, a Marcin śmiał się serdecznie, podziwiając nauczyciela i uczennicę.

Gdy tylko pani de Beaucourt zdołała porozumieć się z krajowcami, często w wolnych od zajęć chwilach zwiedzała sąsiednie wioski i samotne chaty, rozrzucone po równinie.

Zaopatrzona w podręczną apteczkę, pani z Karmusu usiłowała leczyć lub zapobiegać złośliwym febrom i gorączkom, które dziesiątkowały i dziesiątkują dotychczas tamtejsze okolice. Jednakże krajowcy, chociaż przyjmowali jej dary i lekarstwa, rzadko stosowali się do jej rad, dotyczących hygieny, a kobiety arabskie, mówiąc pomiędzy sobą, nazywały panią de Beaucourt czarownicą. Często nawet mężowie i ojcowie rodzin zabraniali swoim domownikom zetknięcia się z czarownicą, mianowicie gdy w głębi kraju głos jakiego wodza, lub świętego mahometańskiego zakonni-

ka, pobudzał przeciwko Francuzom nieprzyjazne jeszcze pokolenia. Zdawało się wtedy, że całą równinę Mitidja ogarnia podmuch nienawiści i buntu. Młodzi i zdrowi ludzie znikali wtedy pewnej pięknej nocy, a badani z tego powodu ich współziomkowie odpowiadali nieodmiennie naczelnikom okręgu:

— Taki a taki opuścił dom w celu dopełnienia świętego zobowiązania, które go zmuszało do odbycia pielgrzymki do Mekki.

Wiedziano, że po większej części były to tylko kłamliwe wykręty; ale nie było sposobu dowieść im tego i skarcić ich surowo. Przekonywano się dopiero o prawdziwości tych podejrzeń, gdy po jakiejś potyczce z nieprzyjaciółmi znajdowano wśród trupów lub niewolników ludzi, którzy poprzednio zniknęli z wiosek.

O wielu z nich nie słyszano więcej, gdyż nigdy już nie wracali do stron rodzinnych.

Było to pod koniec wiosny, i w Karmusie wszyscy cieszyli się myślą przyjazdu pułkownika, który miał przybyć nazajutrz z kilkotygodniowej wyprawy na zachód, od granic cesarstwa marokańskiego. Mieszkanie, przystrojone kwiatami, przybrało pozór uroczysty na przyjęcie pana. Tego samego dnia rano, pani de Beaucourt wysłała swoich służących piemonckich do Algeru w celu poczynienia niektórych zakupów i zarazem sprzedania pewnych produktów. Wieśniacy, odjeżdżając, zabrali bryczkę zaprzężoną w parę koni i wóz w parę mułów, które używane były do uprawy roli.

Około południa niebo zdawało się płonąć żarem i upał stał się nieznośny, a o piątej po południu zerwała się gwałtowna burza. Szalała ona z niebywałą potęgą; grzmoty huczały bez przerwy, a strumienie wody spływały ze wzgórza. Nad wieczorem huragan wzniósł się z większą jeszcze gwałtownością, najwięcej srożąc się nad folwarkiem Karmus. Błyskawice bez przerwy prawie rozświecały horyzont, ciemnemi zasnuty chmurami.

Mała Anusia płakała, nie mogąc zasnąć, a dwie służące Maurytanki wydawały przeraźliwe krzyki. Za każdem uderzeniem piorunu biegały jak szalone po całym domu, z którego nawet chciały uciekać, zostawiwszy drzwi i okna otwarte. Pani de Beaucourt, zniecierpliwiona wreszcie, zamknęła je na klucz w pokoju, a Marta zajęła się sama przyrządzeniem kolacyi. Nikt jednak nie miał apetytu, i pani de Beaucourt zachęciła wszystkich do spoczynku, mówiąc:

— Nie mamy co czekać na służbę, która ma raz na zawsze zapowiedziane, aby nigdy w czasie burzy nie puszczała się w drogę.

Kiedy już wszyscy poszli spać, i mała Anusia uspokoiła się nieco, pani de Beaucourt czuwała jeszcze niespokojna i smutna, z trudnością powstrzymując łzy, które płynęły jej z oczu. Ten stan rozdraźnienia nerwowego był tem dla niej dziwniejszy, że nigdy przedtem nie odczuwała wrażeń, wywoływanych zjawiskami natury. Kilka razy zdawało jej się, że słyszy dziwny jakiś hałas, zmieszany z odgłosem grzmotów i wyciem wichru; brała to jednak za wynik podbudzonej wyobraźni... Wresz-

cie znużona przymknęła powieki i zdrzemnęła się, siedząc w fotelu, obok kolebki małej Anusi, której rączkę trzymała w swoich dłoniach.

IX.

Burzliwa noc.

Pułkownik de Beaucourt powrócił z nad granicy państwa marokańskiego do Algeru tego samego dnia, w którym wybuchła owa gwałtowna burza.

W tym czasie mieszkańcy Algeru, idąc za głosem Abd-el-Kadera, powstali przeciwko Francuzom. Od roku 1830-go Francya rozszerzała swoje zdobycze, okupując je ceną ofiar, poświęceń i walk nieustannych. Około roku 1840-go po krótkotrwałym pokoju, kraj prawie cały powstał przeciwko Francuzom. Bardzo wiele plemion podległych i niby to na pozór sprzyjających Francuzom, przeszło na stronę emira i udało się pod jego chorągwie. W okolicach Algeru Maurowie i Arabowie porzucali potajemnie wioski, Francuzi zaś napotykali w jasny dzień trupy żołnierzy i oficerów swoich z odciętemi głowami lub rękoma.

Gubernator zabronił Europejczykom, tak cywilnym, jak wojskowym, wydalać się samym poza miasto.

Zdawało się, że mieszkańcy Karmusie niczego nie powinni się lękać, będąc pod opieką garni-

zonu, przebywającego w Maison-Carrée; jednakże pułkownik, słysząc te niepokojące wieści, postanowił zabrać swoją rodzinę i służących europejskiego pochodzenia do Algeru i zatrzymać ich w mieście dopóty, aż stanowcze zwycięstwo zmusi zbuntowanych do bojaźni i posłuszeństwa.

Ponieważ żniwa już ukończono i zboża zebrano zupełnie, pułkownik mniemał, iż gospodarstwo nie ucierpi bardzo, jeśli pozostawi się je bez dozoru przez kilka miesięcy. Pan de Beaucourt, stęskniony do rodziny, byłby podążył do Karmusu tego samego wieczoru, gdyby nie gwałtowna burza, podczas której byłoby szaleństwem puszczać się w drogę po rozmiękłych i niewygodnych gościńcach.

Niezadowolony z tej zwłoki, pułkownik udał się do pałacu gubernatora, gdzie tego dnia było wielkie przyjęcie. Prawie wszystkie rozmowy zwracały się do wypraw poprzednich, lub mających nastąpić, a imię Abd-el-Kadera powtarzano niemal nieustannie.

Od lat wielu, jeszcze przedtem, nim się bił z Francuzami, emir był znany i szanowany, tak z powodu urodzenia, jako też dwóch pielgrzymek do Mekki, do grobu Mahometa, i jednej podróży do Bagdadu, gdzie, jak mówiono, jakiś święty człowiek przepowiedział wielką przyszłość synowi Mad-ed-Dina.

Zaraz po zwycięstwie, odniesionem nad Algerczykami, Mad-ed-Din, zakonnik mahometański z okolic Maskatu, ogłosił wojnę świętą w imieniu Proroka. Na tę wojnę poświęcił swoich trzech synów, przeklinając od tej chwili każdego muzułma-

nina, któryby zawiązał stosunki handlowe, lub przyjacielskie z najeźdźcami.

Abd-el-Kader był średniego wzrostu, lecz dobrze zbudowany, zręczny, silny, cierpliwy i niezmordowany, przytem był wybornym jeźdźcem, a wszystkie te przymioty fizyczne Arabi cenią bardzo wysoko. Oprócz tego posiadał dary wrodzone, bez których obejść się nie może władca, jako to: rozum, silną wolę, przenikliwość i wymowę. Gdy przemawiał do tłumów poważnym i dźwięcznym głosem, popierając słowa ruchami rąk delikatnych, choć silnych, ciemne jego lica zabarwiały się rumieńcem, a szare oczy ciskały błyskawice. Wodzowie i żołnierze słuchali go wzruszeni i drżący.

Po pierwszych zwycięstwach towarzysze młodego wodza nadali mu tytuł sułtana, ale Abd-el-Kader, domyślając się, że tytuł ten może się niepodobać jego sprzymierzeńcowi, władcy państwa marokańskiego, używał tylko tytułu emira, który znaczy to samo, co książę.

Jeżeli chciał rozpłomienić wyobraźnię Arabów, Maurów, lub Kabylów, nazywał sam siebie Nasr-ed-Din, co znaczy zwycięzca wiary.

W 1832-gim roku Abd-el-Kader miał dwadzieścia cztery lata i wtedy to po raz pierwszy wystąpił do walki z Francuzami. Wojska jego zajmowały kilkakrotnie Tlemcen i Maskarę. Przez szesnaście lat walczył bez odpoczynku, zbierając wojska, bijąc się, uciekając, lub wchodząc w układy, gdy widział się otoczonym. Zawsze jednak był gotów do nowych walk, podburzał dalsze plemiona, zwoływał rozproszone swe wojska i umiejąc korzystać z błę-

dów przeciwnika, miał kilka razy złudzenie zwycięstwa i nieograniczonej władzy.

Opuszczony przez swoich stronników, musiał porzucić Maskarę, główny punkt swych działań wojennych, a gdy wrócił, ujrzał miasto w gruzach, zniszczone ogniem i mieczem przez marszałka Chausela.

Po pierwszym bezowocnym szturmie, przypuszczonym do Konstantyny, której bronił ostatni bej Hadżi-Hamid, generał francuski Bugeaud podpisał w Tafnie traktat, mocą którego przyznawał emirowi prowincyę niepodległą, znajdującą się poza obrębem posiadłości nadmorskich.

Wreszcie Konstantyna poddała się 13-go października 1837 roku, i jest to największy fakt wojenny w tym czasie.

Ale Abd-el-Kader zerwał wkrótce traktat i powołał pod swój sztandar Arabów i Kabylów, zawsze gotowych do zrzucenia jarzma Francyi.

Prowincya Oran stała się polem rozległej walki; najlepsi oficerowie emira poginęli w bitwach, lecz on sam walczył ciągle.

Przyboczna straż jego wpadła w ręce Francuzów, a wojsko dwa razy odepchnięte zostało aż do granic Marokka, lecz wszystkie te niepowodzenia nie zdołały zniechęcić emira. Nad brzegami Isly przegrał wielką bitwę, w której zwycięzcą został przeciwnik jego, generał Bugeaud, zasłużywszy sobie przez to na wielkoksiążęcą mitrę. Po tej klęsce kilku wodzów arabskich odstąpiło emira, on jednak nie rozpaczał i walczył jeszcze o własnych siłach lat cztery.

Nareszcie dwudziestego piątego grudnia 1848-go roku, Abd-el-Kader, opuszczony przez swoich stronników i sprzymierzeńców, poddał się generałowi de la Moricière, składając szablę przed swoim zwycięzcą, oraz przyrzeczenie, że walczyć z Francyą więcej nie będzie.

— Tak było widać zapisane w księdze przeznaczeń; Allah taki wydał wyrok! — powiedział sobie emir i od tej chwili nie wziął broni do ręki, odmawiając stanowczo wezwaniom zbuntowanych plemion. Nawet podczas strasznego roku, w którym Francuzi doznali tylu klęsk i porażek, emir nie złamał zaprzysiężonej wiary. Z obojętnością i rezygnacyą oczekiwał śmierci, która położyła kres jego cierpieniom moralnym wiele lat później, bo dopiero w roku 1884-ym.

Wszystkie wyżej opowiedziane wypadki nie były jeszcze faktami spełnionymi, lecz miały się dopiero rozegrać w przyszłości, gdy pułkownik de Beaucourt wyszedł z pałacu gubernatora. Nazajutrz po burzy, powietrze było czyste i spokojne, słońce świeciło jasno na niebie bez chmur, i pułkownik wsiadł na konia, aby pod eskortą czterech ludzi udać się do Karmusu.

Wczesnym rankiem skierował się ku rogatce Bab-el-Ued, lecz po nierównych i skalistych ścieżkach, mały orszak posuwał się z trudnością.

Wkrótce pułkownik usłyszał za sobą szelest i ujrzał służących z folwarku, którzy ciągnęli na wózku żywność, przeznaczoną do Karmusu.

— Jak to, nie nocowaliście na folwarku?—zapytał zdziwiony pułkownik, skoro się tylko zbliżył.

— Nie, panie pułkowniku,—odpowiedział najstarszy z nich,—gdyż pani zabroniła nam puszczać się w drogę podczas burzy.

— Wszystko to bardzo pięknie, ale jednak niepokoi mnie to, że wszyscy ludzie silni i odważni wydalili się na noc z folwarku.

I pułkownik, zachęcając konia do szybszego biegu, wyprzedził mały orszak, a żołnierze z trudnością dążyli za nim. Wkrótce minęli Maison-Carrée i zapuścili się dalej bardzo niewygodną ścieżką, która była jednak najkrótszą drogą do Karmusu. Ścieżka ta wiła się u stóp wzgórza i nie dozwalała ujrzeć ani folwarku, ani mieszkania. Gdy wzgórze minięto, pułkownik nagle zatrzymał się, zachwiał i wydał okrzyk rozpaczy, któremu zawtórowały okrzyki zgrozy żołnierzy.

W dali płonęły jeszcze dwie wioski, a zabudowania folwarczne i dom mieszkalny pułkownika tworzyły już tylko stos bezkształtnych gruzów, zalanych wodą deszczową z wczorajszej burzy. Ani jedna ściana nie pozostała w całości, gruzy utworzyły chaos, i trzeba było wielkiego wysiłku, aby sobie wyobrazić, jak wczoraj jeszcze wyglądało to mieszkanie, zabudowania folwarczne i ogród pełen kwiatów. Prócz tego, jakby dla większego uwydatnienia tej pustki i ruiny, nieopodal od rozwalonego i spalonego domu, wznosiły się nietknięte drzewa pomarańczowe i zielone dęby, wśród których, jakby na szyderstwo, wesoło śpiewały ptaki.

Pan de Beaucourt zeskoczył z konia i nawpół przytomny, z obłąkanemi oczyma zaczął biegać wśród gruzów, wołając:

— Maryo! Janku! Anusiu! Leonie... dzieci moje... Marcinie!...

Lecz tylko echo odpowiadało na jego rozpaczliwe wołanie.

Żołnierze rozbiegli się na wszystkie strony, przetrząsając wzgórze i okolicę. Ale nie znaleźli nietylko żywej istoty ludzkiej, ale nawet trupa; gdzieniegdzie napotykali tylko kury i kaczki nawpół zwęglone. Pan de Beaucourt posłał zawiadomienie do garnizonu, pozostającego w Maison-Carrée, i w przeciągu godziny nadjechał komendant fortecy z dwudziestu najodważniejszymi żołnierzami i kilku saperami. Wyraziwszy w serdecznych słowach swe współczucie pułkownikowi, komendant oznajmił mu, że podczas ostatniej nocy straże forteczne nie mogły rozróżnić przedmiotów na sto metrów odległości, i że nikt w fortecy nie domyślał się nawet pożaru.

— Ale teraz w pobliżu wioski,—dodał komendant,—spotkaliśmy jakiegoś krajowca, który się ukrywał pośród drzew, i przyprowadzamy go panu. Gdy go badałem, człowiek ten wydawał mi się pomieszany i wahający. Staraj się go wybadać, pułkowniku, bo wiem, że lepiej mówisz po arabsku ode mnie. Nie zwlekając ani chwili, wysłałem pułk jeden, aby przeszukał równinę i sąsiednie wioski.

Na rozkaz wodza jeden z żołnierzy zaprowadził pana de Beaucourt do krajowca, którego trzymano pod strażą.

Był to starzec wysokiego wzrostu, owinięty w obszerny brunatnego koloru burnus, zarzucony na jasnej szacie; głowa okryta białą zasłoną, przy-

wiązaną sznurami, wznosiła się do góry dumnym, majestatycznym ruchem, a prześliczne oczy dodawały wyrazu twarzy, stanowiącej okaz najpiękniejszego arabskiego typu.

Gdy spojrzenia ich spotkały się z sobą, pułkownik zadrżał gwałtownie; przypomniał sobie bowiem, że widział już tego człowieka w okolicznościach tragicznych i bolesnych zarazem. Jednakże zapanował nad swojem wzruszeniem i zapytał starca.

— Jak się nazywasz?

— Hadżi Abdallah...

Hadżi oznacza pielgrzyma, który zwiedził Mekkę.

— Gdzie mieszkasz?

— W Ruiba, tam na równinie.

— Od jak dawna?

— Od czasu powrotu ze świętego miasta, to jest od lat dziesięciu.

— Do jakiego plemienia należysz?

— Bracia twoi rozproszyli moje plemię i ja zapomniałem nawet jego nazwy.

— Arab nie zapomina nigdy, z jakiego pochodzi pokolenia.

— A jednak ja zapomniałem.

— Czy wiesz, że moja żona, moje dzieci i słudzy znikli ze spalonego domu?

— Dowiedziałem się o tem przed godziną, wtedy gdy twoi żołnierze schwytali mnie jak złodzieja. Zapewne podczas burzy Allah rozkazał piorunom zniszczyć Karmus i jego mieszkańców. Takie było przeznaczenie.

— Nie, to nie piorun stał się sprawcą nieszczęścia, lecz Maurowie, twoi bracia, którzy złupiwszy moje mieszkanie, spalili je następnie.

Lecz na ten zarzut Abdallah odparł z oburzeniem:

— Ja nie mam nic wspólnego z Maurami, chwała niech będzie za to Allahowi! Dlaczego sądzisz, że piorun nie mógł stać się powodem pożaru?

— Piorun pozostawia ślady swego przejścia, a my żadnych nie znaleźliśmy śladów. Zresztą piorun nie zdołałby zniweczyć ciał... — dodał drżącym głosem pułkownik.

Oczy Abdallaha zabłysły okrutną radością, jednakże nie odezwał się ani słowa. Po chwili milczenia pułkownik zaczął znowu:

— Poznałem cię tak samo, jak ty mnie poznałeś. Widzę, jak cieszysz się z mojej boleści, której jesteś sprawcą, lub wspólnikiem.

— Tak,—odparł Arab, prostując dumnie swą wyniosłą postać,—tak, cieszę się, że cierpisz to, co myśmy przecierpieli. Allah jest sprawiedliwy, karząc cię w ten sposób. Ale ja jestem niewinny, i Prorok wie o tem. Żyję zamknięty w moim samotnym domu i nie wiedziałem wcale o pożarze w Karmusie. Teraz czyń ze mną, co ci się podoba; nie powiem już więcej ani słowa.

Arab bez oporu i bez skargi pozwolił się zaprowadzić do więzienia w Algerze. I tam nawet wobec sądu zachował pogardliwe milczenie. Wszyscy mieszkańcy Ruiby przysięgli z ręką na Koranie, że od początku ramazanu, to jest postu muzułmań-

skiego, Hadżi Abdallah nie opuszczał ani na chwilę swojego ubogiego domku, w którym modlił się i pościł. Nigdy nie widziano również, żeby wchodził do niego ktoś obcy.

Dla braku dowodów, musiano puścić Hadżiego, jak również Maurów, których ujęto w wioskach zniszczonych pożarem. Mieszkańcy bowiem tych wiosek złożyli dowody, że wszyscy mężczyźni, kobiety i dzieci, na tydzień jeszcze przed klęską pożaru, byli najęci do żniwa w odległe okolice. To tylko było rzeczą pewną, że przez całą noc w skutek ciemności spowodowanych burzą, wzgórze Karmus stało się niewidocznem dla mieszkańców równiny.

Ale wróćmy do pułkownika. Ukończywszy badanie Abdallaha, nieszczęśliwy chciał dalej prowadzić swe bezowocne poszukiwania. Minęło południe, i oficerowie, wysłani na zwiady, powrócili, twierdząc jednogłośnie, że ich rozliczne poszukiwania nie doprowadziły do pożądanego rezultatu. Wtedy pan de Beaucourt dał znak odjazdu i z rozdartem sercem jechał ostatni za małym orszakiem. Gdy z oczu jego znikło wzgórze i to, co dawniej nazywano Karmusem, zdawało mu się, że w uszach jego zadzwonił dzwon pogrzebowy.

Jeźdźcy posuwali się zwolna wązką i kamienistą drogą, na której tylko we dwóch zmieścić się mogli. Nagle jadący na przodzie zatrzymali się, tamując przejście innym. Wkrótce szmer jakiś przebiegł wśród małego oddziału, i młody porucznik zwrócił się do komendanta, któremu szepnął słów kilka. Komendant zawahał się przez chwilę,

a potem, zwracając się do pułkownika, który pogrążony w swej boleści, zdawał się nic nie słyszeć i nie widzieć, rzekł:

— Mój pułkowniku, żołnierze spostrzegli psa...

Pan de Beaucourt, nic nie odpowiadając, zeskoczył z konia i pobiegł szybko za młodym oficerem do żołnierzy, którzy rozstąpili się na jego widok. Na ziemi, pod kępą aloesów, z wywieszonym językiem i wysadzonemi na wierzch oczyma konał pies.

— Azor! mój biedny Azor!—zawołał pułkownik, klękając obok pudla.

Zwierzę usiłowało wyciągnąć łapę i poruszyć ogonem, ale był to już nadzwyczajny wysiłek, gdyż natychmiast upadło na wznak, wydając przytem słaby jęk i ostatnie tchnienie. Pułkownik podniósł je z ziemi, szukając w niem napróżno śladów życia. W duszy nieszczęśliwego ojca powstała rozpacz. Ostatni raz, kiedy widział Azora, Anusia była obok niego, szczebiocząc wesoło, zadowolona, że zdołała sama zawiązać różową wstążkę na szyi swego przyjaciela.

— Panie pułkowniku, panie pułkowniku! — powtarzał już od kilku minut młody porucznik.

— Cóż tam takiego? No, dobrze, dobrze, możemy iść już w dalszą drogę,—odpowiedział machinalnie pan de Beaucourt, nie mogąc jeszcze otrząsnąć się z doznanego wrażenia.

— Panie pułkowniku, jeden z żołnierzy... znalazł także to,—rzekł nieśmiało oficer i podał panu de Beaucourt jeden, a raczej dwa przedmioty, znajdujące się jeden w drugim:

Był to maleńki trzewiczek, ślicznie odrobiony, błękitny trzewiczek, ze srebrną sprzążką, którym zachwycał się pan de Beaucourt. Trzewiczki te znajdowały się pomiędzy licznymi darami, które margrabina de Lespine, matka chrzestna Anusi, przysyłała z Francyi dla małej dziewczynki. W trzewiczku tkwiła pończoszka, która zachowała jeszcze kształt małej nóżki. Pończoszka, z miłością robiona przez matkę, powalana była krwią.

Pan de Beaucourt przyglądał się i obracał w palcach znalezione przedmioty, a widząc krew, nie mógł zdobyć się na pytanie, gdyż słowa nie mogły się wydostać z jego ściśniętej krtani.

Wobec ruin spalonego domu, pomimo straszliwej boleści, pułkownik zdołał jeszcze panować nad sobą, ale dotykając tego ślicznego, błękitnego trzewiczka, całując pończoszkę splamioną krwią swej córeczki, biedny ojciec zalał się łzami.

Na widok tej boleści łzy popłynęły z oczu tych mężnych żołnierzy, których lica ogorzały od afrykańskiego słońca, i wobec tych relikwii, pozostałych po zabitem zapewne dziecięciu, stary komendant i młodzi oficerowie odkryli głowy, jakby to uczynili wobec trumny. Nakoniec, zgadując pytanie, na które nie mógł się zdobyć nieszczęśliwy człowiek, komendant rzekł:

— Mój przyjacielu, mój pułkowniku, ludzie jadący w przedniej straży, spostrzegli biednego, konającego psa, który trzymał łapę na tych przedmiotach. Wierne zwierzę broniło ich jeszcze, a raczej usiłowało bronić, pokazując zęby.

W chwili, gdy już miano ruszać w drogę, stary saper, ozdobiony orderami, zbliżył się do swego wodza, mówiąc:

— Panie komendancie, czy pozwolisz nam zabrać to zwierzę? Pochowamy je w naszym ogrodzie, bo litość bierze, gdy człowiek pomyśli, że poczciwy pies będzie pożarty przez szakale.

— Zabierzcie go,—odpowiedział komendant.

Upłynęły dwa tygodnie, a tajemnica porwania rodziny pułkownika de Beaucourt nietylko że się nie wyjaśniła, ale jeszcze głębszą pomroką się okryła. Pułki francuskiego wojska zwiedziły Sahel, Mitidję, miasta i wioski; wysłano szpiegów po całym niemal kraju, nigdzie przecież nie natrafiono na żaden ślad, na żadną, choćby najlżejszą wskazówkę. Cała policya była moralnie przekonana, że Abdallah był głównym sprawcą, albo co najmniej wspólnikiem tej zbrodni, i że on jeden mógł na ślad porwanych naprowadzić. Ale jak już wspomnieliśmy, Abdallah nie chciał nic mówić. Jeżeli mściwy Arab pragnął zadowolić swą zemstę, musiał czuć się szczęśliwym, gdyż pułkownik podobniejszym stał się raczej do szkieletu, niż do żyjącego człowieka. Otrzymawszy z łatwością urlop, pan de Beaucourt odbywał ciągle wędrówki, szukając najdroższych sobie istot: zawsze bezowocnie. Jeżeli upadając ze znużenia, zamknął w nocy powieki, we śnie widział żonę i dzieci, skazane na najokropniejsze męczarnie, lub też Abdallaha, który, ukazując mu ciało pozbawione głowy, mówił:

— Czy ty poznajesz mojego siostrzeńca Alego, ukochanego syna mego brata, tego Alego, na którego

podpisałeś wyrok śmierci?... Ząb za ząb... oko za oko... tak napisano w księdze świętej...

Przebudziwszy się, pułkownik na jawie widział to wszystko oczyma wyobraźni. Wtedy myśli jego zwracały się do sceny dawniejszej i przykrej, do tej rady wojennej, na której był prezydującym i na której i on i inni sędziowie jednozgodnie skazali na śmierć młodego wodza arabskiego, Alego-ben-Mohamed, który wiele klęsk zadał Francuzom przez zdradę i podstęp. Pułkownik przypomniał sobie także, że pomimo próśb i nalegań ojca przestępcy, starego Hadżego, Ali nie został ułaskawiony, i po ogłoszeniu wyroku, był stracony w jasny dzień, u bram Algeru.

. . . . . .

Po upływie miesiąca, rozeszła się w Algerze wieść, którą wszyscy powtarzali sobie z ust do ust, że rodzina de Beaucourt znajdowała się w mocy Abd-el-Kadera. Stary renegat, pełniący obowiązki tłómacza, twierdził, że przed kilku dniami spotkał karawanę, kierującą się ku granicom państwa marokańskiego, i widział wśród niej na wielbłądach dwie kobiety i dzieci.

Renegat nie mógł dokładnie opisać, jak wyglądały kobiety, ale był to w każdym razie ślad, dozwalający pułkownikowi otrząsnąć się z rozpaczliwej bezczynności. Postanowił więc wyruszyć w głąb pustyni, polecając się opiece Opatrzności. W podróż zabrał z sobą kilka listów do emira, napisanych przez jego dawnych przyjaciół; emir był dotąd wiernym sprzymierzeńcem Francuzów. Jeżeli

w istocie więźniowie dostali się w ręce Abd-el-Kadera, należało przypuszczać, że ten ostatni zgodzi się na wymianę ich za więźniów, pochodzących z przyjaznych mu pokoleń.

Nieco pokrzepiony tą nadzieją, pułkownik opuścił Alger, przyłączywszy się do pewnej karawany. Przy sobie miał dwóch podoficerów, ludzi przywiązanych, odważnych i roztropnych. Kapitan Sauvaire, który tylko co przypłynął do Algeru z zapasem towarów kolonialnych, postanowił także przyłączyć się do wyprawy pana de Beaucourt, do którego przyjechał właśnie w chwili, gdy pułkownik czynił ostatnie przygotowania do podróży. Kapitan Sauvaire wyglądał bardzo zabawnie w białym burnusie i w wielkim na głowie turbanie.

— Jadę z tobą, mój pułkowniku! — zawołał, ukazując mu się w tem przebraniu.—Nie mogę ani jeść, ani pić, patrząc na twoje zmartwienie, a przytem żal mi tego biednego Leona. To też wczoraj, gdy ulokowałem na miesiąc swój okręt, rzekłem sobie: „Maryuszu, mój przyjacielu, przebierzesz się za Araba i pojedziesz razem z tym nieocenionym pułkownikiem de Beaucourt.” I natychmiast kupiłem sobie ten kostium. Nie prawdaż, że jestem teraz podobny do mahometańskiego zakonnika? Sakiewkę mam także pełną i nie tracę nadziei, że odnajdziemy biedaków. Jakiś głos szepce mi do ucha,—a to zapewne głos świętej Anny, której obiecałem ładny posążek,—otóż ten głos powtarza mi ciągle: „Maryuszu, mój przyjacielu, bądź dobrej myśli, znajdziesz ich z pewnością!”

Wzmocniony dowodami tego przywiązania, pułkownik przyjął ofiarę zacnego człowieka.

X.

Karawana.

Pomimo wszystkich przypuszczeń i domysłów, pułkownik szedł za fałszywym śladem, bo ci, których miał nadzieję znaleźć w stronie zachodniej kraju, kierowali się właśnie w stronę południowo-wschodnią.

Nieszczęśliwi mieszkańcy Karmusu, zbudzeni przez pożar, zostali skrępowani i uprowadzeni z domowstw, a potem przywiązani do grzbietu wielbłądów. Gromada jeźdźców otulonych w długie burnusy otoczyła ich dokoła, i wszyscy ruszyli w drogę, nie zważając na deszcz ulewny i burzę. Biedni więźniowie sądzili z początku, że zostają pod wpływem snu strasznego, lecz dotkliwe cierpienia przekonały ich wkrótce o rzeczywistości okropnej przygody. Sznury, którymi ich skrępowano pośpiesznie, raniły ich ciało, a gęste zasłony, zarzucone na głowy, tamowały im niemal oddech.

Jechali tak przez kilka godzin i wreszcie zatrzymali się wpośród dużego lasu. Tu murzyn odkrył głowy więźniów, a natomiast skrępował im nogi i położył ich obok siebie na ziemi.

Burza ucichła, a księżyc w pełni oświetlał dokładnie obozowisko. Pani de Beaucourt wtedy do-

piero zrozumiała cały ogrom swego nieszczęścia. Janek, Marta, Leon i Marcin znajdowali się obok niej, ale nie było pomiędzy nimi jej córeczki, ukochanej małej Anusi... Więźniowie mniemali, że dziecię zabrał który z jeźdźców i że je ujrzą za chwilę.

Niestety, wszyscy Arabowie zsiedli z koni i widać ich było krążących po polance, lecz żaden z nich nie trzymał w objęciach dziecięcia. Zdjęto

...Janek i Leon jechali na drugim... (Str. 148).

również z trzech wielbłądów olbrzymie ciężary, stanowiące zapewne zdobycz pochwyconą w Karmusie, ale Anusi nigdzie nie dostrzegli biedni więźniowie. Czyżby dziecię zginęło w płomieniach, lub też może rozbójnicy pozostawili je rozmyślnie, aby nie mieć kłopotu z niepotrzebnym ciężarem?

Nieszczęśliwi spoglądali na siebie w niemej rozpaczy; Janek, Leon i Marta zalewali się łzami, Marcin cichą szeptał modlitwę; matka zaś siedziała nieruchoma jak posąg, z załamanemi rękoma i suchemi oczyma, zdając się odchodzić od zmysłów.

O świcie w dalszą ruszono drogę; sznury, staranniej powiązane, nie raniły teraz więźniów, na głowy nie włożono im już zasłon. Przez cały czas podróży trzymano więźniów w pośrodku karawany, a nadto byli oni mocno przywiązani do siodeł wielbłądów, na których jechali: pani de Beaucourt z Martą na jednym, Janek i Leon na drugim, na trzecim zaś sam Marcin. Trzy inne wielbłądy dźwigały namioty, zapasy żywności i zdobycz.

Na czele oddziału jechał jeździec, którego zasłona była bardzo biała i burnus również bardzo biały i cienki, z materyału kosztowniejszego, niż ubrania jego towarzyszów. Długą strzelbę opierał o siodło, lub zarzucał na plecy i nigdy, jadąc, nie odwracał się poza siebie. Przez kilka dni nawet w czasie posiłku rozmawiał tylko ze swymi współziomkami, do więźniów zaś nie odzywał się ani słowa. Zresztą zdawało się, jak gdyby wszyscy Arabowie zapomnieli o obecności ludzi obcych, których porwali przemocą.

Dwóch jeźdźców towarzyszyło ciągle wodzowi, opuszczając go tylko na chwilę, aby upolować gazelę, którą następnie składali u stóp wodza.

Wódz ten, którego zwano Mohamed-ben-Ali, to jest Mohamed syn Alego, mógł mieć lat pięćdziesiąt, lub pięćdziesiąt pięć. Był to człowiek wysokiego wzrostu, ciemnej cery i wyrazistych rysów

twarzy. Orli nos, wielkie płomienne oczy i długa, siwa broda dodawały mu powagi. Niekiedy wiatr, odrzucając zasłonę, odkrywał jego czoło wysokie, na którem krzyżowały się wydatne żyły. Jechał na karym, przepysznym koniu, wytrwałym i zgrabnym zarazem.

Cały oddział składał się z czterdziestu Arabów i czterech murzynów, pełniących obowiązki służących, kucharzy i masztalerzy, gdyż Arabowie nie oddają się żadnej pracy ręcznej. W siedzibach ich, czyli wioskach, kobiety zajmują się pracą, którą u bogatych krajowców wykonywają murzyni lub niewolnicy.

I tu murzyni zajmowali się więźniami; ale zdawali się lękać nawet wzroku Mohameda i nie raczyli odpowiadać ani słówka na zapytania, czynione im przez Janka lub Leona.

W ten sposób upłynęły dwa dni. Trawiona boleścią pani de Beaucourt siedziała nieraz całem godzinami, z oczyma utkwionemi w przestrzeń i ze zmienioną twarzą. Biedna matka nie słyszała nawet nieśmiałych pytań swej towarzyszki i syna...

Janek z Leonem układali po cichu różne projekta ucieczki i wyswobodzenia, lecz żaden z nich nie rokował najmniejszej nadziei powodzenia. Oni jednak nie zrażali się tem, gdyż młodzi niełatwo wyrzekają się nadziei.

Trzeciego dnia, po długim uciążliwym pochodzie podczas strasznego upału, zatrzymano się na odpoczynek w Medeah. Chłopcy zadrżeli, słysząc tę nazwę, którą jeden z murzynów powtórzył kilka razy, wskazując pagórki, na których połyskiwały

światła. Medeah w istocie od jakiegoś czasu było już w posiadaniu Francuzów, i nigdy ani Leon, ani Janek nie zapomnieli tej nocy spędzonej tak blizko francuskich żołnierzy, których jednak na pomoc wezwać nie mogli.

Więźniowie, umieszczeni w oddzielnym namiocie, zostawali pod strażą murzyna, zwanego M'zour, który czuwał, siedząc u wejścia, z długą strzelbą złożoną na kolanach.

Tej nocy pani de Beaucourt wydawała się jeszcze bardziej znękaną i nieszczęśliwą. Marta i Marcin, położywszy się na koźlich skórach, zasnęli znużeni trudami niewygodnej podróży.

Związani razem, Leon i Janek leżeli obok siebie z zamkniętemi oczyma, zamieniając kiedy niekiedy słów kilka, gdy spostrzegli, że murzyn kiwa się, drzemiąc.

— Słuchaj, — mówił Leon, — szczekanie psów ustaje, murzyn śpi, teraz nadchodzi przyjazna chwila...

— Tak, trzeba przeciąć nożem krępujące nas więzy. Jak to dobrze, że udało nam się ten scyzoryk szczęśliwie zachować.

— Nie, przetnij tylko moje więzy; ja zaś zwiążę cię mocniej i będziesz udawał, że śpisz. Jeżeli odkryją moją ucieczkę, to nie posądzą cię o współudział.

— Ty więc chcesz uciekać! Nie, mój drogi, ja spróbuję szczęścia.

— Nie, to ja powinienem się narazić na niebezpieczeństwo. Pomyśl o rozpaczy twojej matki, gdyby cię schwytano: wszak ma teraz tylko jedno dziecię.

— Leonie, błagam cię, podaj mi nóż; ja jestem zręczniejszy i szybcej biegam od ciebie, prędzej więc dostanę się do Medeah, gdzie łatwiej mnie także posłuchają, jako syna pułkownika.

— A więc uciekajmy razem; jeżeli schwytają jednego z nas, drugi może dostanie się do upragnionego celu.

— Nie, Leonie; trzeba koniecznie, żeby M'zour mniemał, że śpimy obydwaj. Jeżeli obaj znikniemy z namiotu, murzyn prędko domyśliłby się oszustwa i zbudziłby uśpionych wrogów.

— Ciągnijmy zatem losy i zdajmy się na wolę Opatrzności

Los przypadł na Janka, i ten rozciął zaraz więzy, krępujące jego nogi do nóg Leona, a potem związał mocno sznury tego ostatniego. M'zour chrapał głośno; lampa, rzucająca dotąd mdłe błyski, zagasła zupełnie. Janek za pomocą noża wyciął otwór w namiocie, w miejscu, gdzie spoczywali z Leonem, i znikł w ciemnościach nocy.

W tej chwili szalona rozpacz ogarnęła Leona, który gorzko zaczął sobie wyrzucać, że zgodził się na żądanie Janka. A jeżeli Janek nie zdoła uciec z obozu? Jeśli go Arabowie schwytają, lub co gorsza zabiją? Co będzie wtedy?

I nieszczęśliwy chłopiec ranił sobie ręce i nogi, usiłując rozerwać sznury, zbyt jednak mocno powiązane. Wkrótce musiał i tego zaniechać, aby nie sprawić szmeru, gdyż M'zour przebudził się, przeciągnął i zapalił krzesiwo, aby rozniecić płomyk lampy, bardzo pierwotnej, gdyż składała się jedynie z knota umaczanego w tłuszczu.

Murzyn podniósł do góry lampkę, aby oświecić namiot w głębi, a nie spostrzegłszy nic nadzwyczajnego, usiadł przy wejściu i znowu zaczął drzemać.

Serce Leona biło jak młotem. Zwolna zaczęła się w nim budzić nadzieja, że Janek szczęśliwie ujdzie, gdyż zupełna cisza zapanowała w obozie, a nawet dalekie szczekanie psów ustało.

Wreszcie pierwsze promienie porannego brzasku rozświeciły wnętrze namiotu. Leon, któremu każda chwila zdawała się wiekiem, mniemał, że już słyszy tętent koni zbawców, mających ich ocalić.

— Co za radość dla Marty, gdy obudzi się wolna, bo rezultat walki nie ulega chyba wątpliwości: zbóje muszą być zwyciężeni! Pani de Beaucourt połączy się z mężem, a kto wie, może odnajdziemy w Karmusie małą Anusię...—powtarzał sobie w duchu Leon i uśmiechał się na myśl, że gdyby podobne nieszczęścia spotkały go u ciotki Anastazyi, jużby się był bez ustanku zalewał łzami.

Nadzieja Leona zwiększała się z każdą chwilą, gdy nagle cień jakiś przesunął się przed namiotem i wśród fałdów firanki, szarpniętej gwałtownie, ukazał się Janek, popchnięty przez Mohameda-ben-Alego.

Mohamed chwycił najpierw za gardło M'zoura i ścisnął silnie dłońmi; murzyn jęknął chrapliwie i, gdy Mohamed go puścił, upadł twarzą na ziemię.

Popychając ciągle Janka przed sobą, wódz zatrzymał się przed wystraszoną panią de Beaucourt. Nieszczęśliwa odgadła wszystko i mówiąc sobie, że zabiją jej dziecię, chciała błagać litości, ale pamięć

odmawiała jej posłuszeństwa i nie mogła sobie przypomnieć ani jednego arabskiego wyrazu.

Marta, Leon i Marcin stali drżący i przerażeni, a na czoła ich wystąpiły krople zimnego potu. Spoglądali z niemą trwogą na Mohameda, którego oczy połyskiwały namiętnym gniewem.

Tylko Janek zachował zimną krew i z głową dumnie wzniesioną spoglądał w twarz Mohameda.

Ten ostatni rzekł wreszcie po arabsku do pani de Beaucourt:

— Odprowadzam ci syna, którego na ten raz ułaskawiam, pomimo, że chciał uciekać, zapewne w celu, aby uprzedzić naszych nieprzyjaciół. Ale jeśli jeszcze raz będzie usiłował uciekać, zabiję go natychmiast, jego, lub kogokolwiek innego. Teraz już wiesz, czego się trzymać.

Pani de Beaucourt odzyskała nagle siły, a długo szukane wyrazy szybko popłynęły teraz z jej ust:

— Co chcesz z nami uczynić? Dokąd nas prowadzisz? Czy pragniesz okupu za naszą wolność? Oznacz więc sumę, jakiej żądasz.

— Ja nie żądam okupu, lecz pragnę doprowadzić do rozpaczy twego męża. Gdy wszyscy będziecie sprzedani jako niewolnicy, na tych samych prawach co najnędzniejsi murzyni, pułkownik de Beaucourt dowie się o waszym losie, ale nie dowie się nigdy nazwy kraju, w którym będziecie cierpieli. Nie dowie się aż do śmierci. Wtedy dopiero zemsta moja będzie zadowolona.

Podczas gdy mówił Mohamed, na twarzy jego malowało się brzydkie uczucie zemsty. Więźnio-

wie dopiero w tej chwili zrozumieli całą doniosłość swojego nieszczęścia. Mają być sprzedani jako niewolnicy! Są więc ofiarami zemsty!

Jednakże pani de Beaucourt, zapanowawszy nad ogarniającą ją trwogą, raz jeszcze zwróciła się z zapytaniem do Araba, kierującego się już ku wyjściu.

— Dlaczego miałbyś się cieszyć z rozpaczy mego męża?—spytała.—Prawda, że walczył z twymi braćmi, ale szlachetnie i otwarcie, stosując się do rozkazów swojego monarchy.

— Monarcha jego wydał nam wojnę niesprawiedliwie. Zresztą moja zemsta inne ma jeszcze powody, które ci zaraz wyjaśnię. Trzech moich synów zginęło, broniąc Bordżi-Mulaj-Hassan przeciwko Francuzom; został mi tylko jeden najmłodszy: piękny, silny i odważny Ali. Emir powołał nas na wojnę świętą. Nad brzegami Sebcha, przez jakąś zasadzkę, Ali wpadł w ręce twoich współziomków. Będąc wysłany w inną stronę kraju, nie mogłem bronić mego syna, lub umrzeć, usiłując go wyswobodzić. Ali został zaprowadzony do Algeru, gdzie niegodziwi ludzie osądzili go i na śmierć skazali. Kiedy się dowiedziałem o jego uwięzieniu, on już nie żył, rozstrzelany jako zdrajca i krzywoprzysięzca! Nawet ciała nie chciano oddać memu bratu. A czy znasz ty imię tego, który był głównym prezydującym na sądzie mego syna? Widzę, że domyślasz się nazwiska tego zbrodniarza...

— Tak, domyślamy się go! — przerwał mu Leon,—ale wiemy także, iż pułkownik wydał sprawiedliwy wyrok. Twój syn przysięgał na Koran,

waszą świętą księgę, że pozostanie wiernym Francyi, a jednak złamał dane słowo i połączył się z Abd-el-Kaderem; zasłużył więc na śmierć. Powiedziałem ci prawdę, a teraz zabij mnie, jeśli chcesz.

Gdy Leon mówił, na ciemną twarz wodza białe wystąpiły plamy, jednakże pozwolił mu wypowiedzieć wszystko. Potem dopiero gwałtownym ruchem, z oczyma krwią nabiegłemi, chwycił za ramię odważne dziecię, które Janek nie skrępowany dotychczas więzami, usiłował sobą zasłonić. Nagle jednak wykrzywiona gniewem twarz Araba z łagodniała, ręce podniesione groźnie, opadły bezwładnie. Przez chwilę stał nieruchomy, wpatrując się w twarze Janka i Leona, wreszcie szepnął:

— Oto dwa lwiątka... Chłopiec, który mnie znieważył, ma zupełnie spojrzenie Alego.

I Mohamed oddalił się, nie mówiąc już ani słowa i nie odwracając głowy.

Wkrótce zwinięto namioty, i karawana skierowała się dalej ku południowi. Pochód odbywał się ciągle w tym samym porządku. Nim wyruszono w drogę, murzyni zdjęli więzy z nóg więźniów i nie przywiązali ich do wielbłądów. Pozwolono im nawet zmienić bieliznę i ubranie, a głowy osłonić dużymi słomianymi kapeluszami. Pod względem fizycznym doznali więc wielkiej ulgi, ale ta chęć złagodzenia ich cierpień kazała się domyślać, że podróż długo jeszcze potrwa. Zresztą im bardziej posuwano się w głąb kraju, tem mniej można było myśleć o oswobodzeniu lub ucieczce.

Gdy wieczorem zatrzymano się na spoczynek, Janek opowiedział matce o swojej nieudatnej ucieczce, oraz w jaki sposób obmyślili ją razem z Leonem.

— Niestety! nie uszedłem daleko,—rzekł.—Gdy wydostałem się z obozu, zacząłem oddychać swobodnie, widząc połyskujące na wzgórzach ognie obozowiska w Medeah. Nagle usłyszałem za sobą szczekanie: goniły mnie olbrzymie brytany Mohameda i byłyby mnie z pewnością rozszarpały, chociaż broniłem się nożem, gdyby Mohamed nie nadbiegł i nie wciągnął mnie do swego namiotu. Tu cisnął mnie o ziemię, wołając:

— Umrzesz, psi synu, ale po tysiącznych męczarniach, jakie ci zadam w obecności twojej matki!

A gdy patrzałem na niego, nie spuszczając oczu, on tak mówił dalej:

— Zrozumiałeś chyba, co mówiłem, gdyż rozumiesz naszą mowę; błagaj mnie o łaskę, a może zlituję się nad tobą, gdy prosić mnie będziesz na klęczkach!

— Matko, ja nie mogłem się wahać,—ciągnął dalej Janek.—Powiedziałem sobie, że ojciec nazwałby mnie podłym, gdybym błagał o łaskę tego nędznika. To też odpowiedziałem mu:

— Synu Kabyla, nie będę prosił cię o łaskę; zabij mnie... Francuz nie poniży się do prośby wobec rozbójnika.

Wtedy Mohamed zbliżył się ku mnie ze sztyletem w ręku. Przymknąłem więc oczy, szepcząc:

— Mój Boże! miej litość nade mną i nad mamą!

Ale nie ruszyłem się z miejsca. Po chwili, nie czując noża w piersiach, spojrzałem znowu na

Araba, który wydał mi się spokojniejszym. Wówczas rzekł on do mnie:

— Mówisz dobrze naszym językiem, dlaczego więc nazwałeś mnie synem Kabyla? Czy nie wiesz o tem, że jest to śmiertelna zniewaga?

— Wiem o tem,—odpowiedziałem,—ale dlaczego ty nazwałeś mnie psim synem?

— Zawiniłem,—odpowiedział Mohamed.—Jesteś odważnym, a odważnych nie należy nazywać tem mianem.

Potem przyprowadził mnie do ciebie, mamo, no i już wiesz resztę.

— To bohater, prawdziwy bohater z tego pana Jana, — rzekł wtedy Marcin, wznosząc ręce do nieba.—Tak, to bohater! Ach! gdyby pani kanoniczka mogła w tej chwili widzieć swego siostrzeńca, powiedziałaby z pewnością:

— Oto jeszcze jeden de Beaucourt, który potrafi godnie nosić imię swych przodków!

Na tę uwagę starego sługi słaby uśmiech przemknął po ustach pani de Beaucourt, obojętnej na wszystko od czasu opuszczenia Karmusu.

W tej chwili Marta uklękła przed swoją panią, mówiąc:

— Kto wie, ukochana matko chrzestna, czy Bóg nie dozwoli nam jeszcze odnaleźć naszego małego aniołka na tej ziemi?... Nasze służące Maurytanki, a szczególnie jedna z nich, młodsza, bardzo kochała Anusię...

— O! nie mów mi tego, Marto, nie mów, proszę cię, — odpowiedziała pani de Beaucourt z boleścią. — Ja także marzyłam o tem od chwili naszej

niewoli, ale zdaje mi się, że właśnie te kobiety zawiadomiły Arabów o naszem osamotnieniu i nieobecności naszej służby. Przypomnij sobie, jak się dziwnie zachowywały podczas burzy; chciały koniecznie otwierać okna, zapewne aby dać sygnał. Jakże możemy wierzyć w przyjazne uczucia tych nieszczęsnych istot, które nas z pewnością nienawidziły? W jakimże celu, niestety, miałyby ocalić moją córkę?

Marta spuściła głowę, i wszyscy w smutnem pogrążyli się milczeniu; chociaż nie wypowiedzieli głośno swych uczuć, podzielali jednak przekonanie nieszczęśliwej matki, która niedowierzała Maurytankom.

XI.

Dalsza droga ku pustyni.

Karawana, dążąc do celu nieznanego więźniom, posuwała się ciągle w głąb Afryki, idąc najpierw w kierunku południowo-wschodnim, o czem można było się przekonać, zwracając uwagę na zachód słońca.

Mijali piaszczyste równiny, urozmaicone gdzieniegdzie pięknemi oazami; wdzierali się na wzgórza i wyniosłe góry; jakiś czas szli brzegiem strumienia zwanego Cheliff, który o czterdzieści mil dalej na zachód staje się wielką rzeką; następnie wyminęli

rozległe bagna słone, gdzie po raz pierwszy widzieli zjawisko, zwane mirażem *). Chłopcy i Marta nie chcieli wierzyć, aby to mogło być złudzeniem. Jak to! te kwieciste ogrody i ożywcze fontanny miałyby istnieć tylko w wyobraźni?... Dopiero słońce, schylające się ku zachodowi, przekonało ich o prawdzie tego twierdzenia, ukazując ich oczom rzeczywisty krajobraz, to jest jednostajną i błotnistą równinę.

Czasami nazwa takiej, lub takiej miejscowości, którą mijano, lub widziano z daleka, jako to: Boghar, Bogharis, El-Kantara, Biskra, obijała się o uszy więźniów. Jednego dnia, gdy wyjechali z karawanseraju, czyli domu zajezdnego, i minęli most, znajdujący się poza miasteczkiem, wszyscy wydali okrzyk podziwu.

El-Kantara (most) zawdzięcza swoją nazwę mostowi rzymskiej budowy, który jest niejako jedynem wejściem do Sahary.

Przeprowadzony na krańcach ziemi urodzajnej, ciągnącej się poza Konstantyną, i wykuty wpośród skał, most wznosi się od trzystu do czterystu metrów wysoko. Przejście to, biegnąc ponad dwoma rzędami wzgórz, przypomina gwałtowne kataklizmy natury, którym najsilniejsze skały oprzeć

---

*) Miraż, czyli mamidło, jest to ciekawe zjawisko optyczne, obserwowane często na równinach piaszczystych, rozgrzanych przez słońce. Wskutek silnego rozgrzania gruntu, warstwy powietrza przy samej ziemi są najsilniej rozgrzane i rozrzedzone, a do pewnej wysokości stają się coraz gęstsze. Promienie słońca uderzając z góry, ulegają nienormalnemu złamaniu i wywołują rozmaite łudzące obrazy. (*Przyp. tłóm.*).

się nie mogą. Poza tem przejściem zaczyna się oaza, składająca się z trzech wiosek, zroszonych dwiema rzekami i ocienionych lasem palmowym.

Wzgórza, wznoszące się amfiteatralnie, kończą się o dwanaście mil dalej, na granicach rozległej płaszczyzny, zwanej pustynią Angad.

Zwykle o świcie, po śniadaniu, karawana ruszała w drogę, zatrzymując się około południa dla wypoczynku w jakiem miasteczku, w karawanseraju, lub też gdzie nad brzegiem strumienia, albo nawet wpośród pustyni.

Nazajutrz jechano dalej, zawsze w tym samym porządku: Mohamed i Arabowie na czele, potem więźniowie na swych wielbłądach, a następnie murzyni konno.

Pani de Beaucourt, usiłując zapanować nad trawiącem ją cierpieniem, starała się przykładem swoim dodawać odwagi i wytrwałości towarzyszom wspólnej niedoli. Marta czyniła, co mogła, aby pocieszyć swoją ukochaną panią.

Nikt nie obchodził się źle z więźniami, ale tylko jednemu Marcinowi Arabowie okazywali pewne względy, z powodu siwych włosów, zarosłej brody i oczu, w których malowało się śmiertelne znużenie. Niektórzy uważali go za mahometańskiego zakonnika lub szaleńca, a obydwa te tytuły nadawały mu prawo do względów i szacunku. Jemu naprzykład najpierw podawano mleko, jako też nóż, którym współbiesiadnicy rozdzielali mięso barana, pieczonego w całości.

Posiłek arabski nie odznacza się wielką rozmaitością: baranina, rodzaj pączków smażonych na

oliwie i przyrządzonych z siekanego mięsa i mąki, jakieś placuszki, czasami owoce,—oto wszystkie potrawy, z których składają się obiady ludów koczujących, a nawet uczty wydawane na cześć znakomitych gości

Mleko słodkie lub kwaśne stanowi jedyny ich napój, który podają sobie kolejno, pijąc z jednego naczynia.

Z wyjątkiem prowincyi nadmorskich, w głębi kraju nie używają tak ogólnie kawy, i mylnie wyobrażamy sobie Arabów z długą fajką w ustach, gdyż większa część plemion nie pali wcale, uważając tytuń za rzecz równie szkodliwą, jak rozpalające napoje, wzbronione przez Proroka.

Codzień, gdy rozbito namioty, murzyni Mohameda szli szukać żywności i wracali wkrótce, dźwigając dwa albo trzy barany, beczące smutnie. W przeciągu dwóch godzin barany piekły się już przy ogniu, poczem podawano je na wielkich, drewnianych półmiskach, z których każdy krajał sobie dowolnie kawał mięsa, jedząc je bez talerzy i widelców.

Zwierzęta gasiły pragnienie przy źródle i pożywiały się, skubiąc trawę. Jeżeli obozowisko rozłożono wpośród piaszczystej równiny, konie i wielbłądy oczekiwały cierpliwie na lepszą sposobność pożywienia się. Już to trzeba przyznać, że cierpliwość jest cnotą arabską, wspólną ludziom i zwierzętom.

Minąwszy Biskrę, karawana skierowała się w stronę południowo-zachodnią. Janek i Leon ciągle układali projekta ucieczki, postanawiając w czyn

ją wprowadzić przy pierwszej przyjaznej okoliczności.

— Tylko ani słówka przed mamą!—powtarzał Janek.

Wkrótce jednak, pomimo cierpień moralnych i fizycznych, obaj chłopcy zajęli się żywo przygodami podróży. Z ciekawością przypatrywali się Arabom i Murzynom i podziwiali zmieniające się krajobrazy.

Gdy później przypominali sobie tę epokę swego życia, wyobraźnia różne przywodziła im na myśl obrazy. Raz zdawało im się, że widzą okolice oblane złotymi promieniami słońca, zieleniejące oazy, poprzerzynane kryształowymi strumieniami i przepyszne błękitne, bez najlżejszej chmurki niebo. Gdzieniegdzie przesuwały się strusie i gazelle, których jest tak wiele w okolicy K'sours; po ziemi pełzały małe jaszczurki, płaskie, żółtawej barwy i zupełnie nieszkodliwe, których jednak Marta lękała się niezmiernie, gdy zwierzątko upadło na jej suknię, zsunąwszy się ze ścian namiotu. Nad brzegiem rzek spotykali inny rodzaj jaszczurek, podobnych do węży czarnych, z żółtymi prążkami, które tam nazywają *guern gizel*, co znaczy rogi gazelli.. To znowu wyobraźnia ukazywała im okiem nieobjęte równiny, które przebywając, musieli cierpieć niczem nieugaszone pragnienie, podniecane jeszcze przez siroko, ten wiatr nieznośny i gorący, który wieje od wielkiej pustyni i którego peryodyczne powiewy podobne są do przeciągłych i chrapliwych westchnień. Przypominali sobie te ciężkie, jakby łuną pożaru płonące chmury, które opuszczały się nizko ponad

równiną nagą, spaloną promieniami słońca, czasem błotnistą i lekko falującą, nieurozmaiconą ani jednem drzewem, jak daleko wzrok mógł sięgnąć w El-Ateuch, czyli kraj pragnienia.

Pamiętali także doskonale te okropne, bezsenne noce, podczas których pożerały ich najrozmaitsze owady, a gdy znużeni zamykali wreszcie powieki, dziwne głosy budziły ich nagle ze snu: był to ryk dzikich zwierząt, gwałtowne szczekanie psów, pilnujących obozowiska, i rżenie koni, przeczuwających nieprzyjaciela. Nieraz spotykali karawany, których przewodnik, czyli khebbir, skinieniem głowy witał ich poważnie i przejeżdżał o nic nie pytając, nie pytany nawzajem, gdyż ciekawość jest wadą nieznaną mahometanom. To znów zdawało im się, że widzą kilkanaście rozpiętych namiotów, pokrytych tkaniną czerwoną w czarne pasy. Wszystkie te obrazy przesuwały się w ich wspomnieniach, jak w kalejdoskopie.

Więźniowie dowiedzieli się później, że Saharę zamieszkują dwa odrębne rodzaje plemion; jedne z nich, oddawna zamieszkujące te strony, mają stałe miejsca pobytu i zajmują się rolnictwem, przebywając po większej części w okolicach K'sours, gdzie woda bieżąca nigdy nie wysycha. Drugie stanowią właśnie owe plemiona pasterskie Arabów wojujących, którzy prowadzą życie koczownicze.

Jednego wieczoru, nad brzegiem strumienia, Leon usłyszał rozmowę dwóch kobiet, których twarze podług wschodniego obyczaju były zakryte zasłonami.

— Skąd przybywają ci cudzoziemcy i dokąd oni dążą?—zapytała jedna z nich.

— Oni przybywają z północy,—odpowiedziała druga.—Są to nieprzyjaciele, którzy zawojowali Al-Dżezair; Mohamed-ben-Ali pochwycił ich w niewolę i wiedzie ich pewno na wielkie targowisko w El-Aghowat.

— Żałuję ich szczerze,—odezwała się pierwsza czystym i melodyjnym głosem.

— Widać, że takie było przeznaczenie,—dodała druga.

Kobiety oddaliły się zwolna, lecz słowa, które posłyszał Leon, spędziły sen z jego powiek. Z trwogą rozmyślał nad ich znaczeniem.

Janek, z którym podzielił się swemi obawami, nazwał to wszystko przywidzeniem, gdyż sam przeciwnie więcej miał teraz odwagi i nadziei.

— Skoro raz dostaniemy się do jakiego dużego miasta arabskiego,—rzekł,—łatwiej nam będzie pomówić o okupie. Zresztą widocznem jest, że Mohamed staje się względem nas łagodniejszym.

W istocie wódz często zatrzymywał się przy chłopcach, przysłuchując się im, gdy rozmawiali w jego rodzinnym języku. Jednego dnia poprawił nawet akcent jakichś wyrazów, źle wymówionych przez Leona, objaśnił im budowę niektórych zdań i posunął swą uprzejmość do tego stopnia, że odpowiedział bez gniewu na pytanie Janka.

Janek długo się wahał, nim mu zadał to pytanie, gdyż lękał się odpowiedzi na nie. Nareszcie pewnej nocy postanowił to uczynić.

Księżyc był w pełni i świecił jasno; nikt jeszcze nie spał; wszyscy błądzili około namiotów. Janek z Leonem usiedli przy studni i zdrzemnęli się nieco, gdy nagle odgłos kroków zbudził ich ze snu. Przed nimi stał Mohamed i spoglądał na nich w milczeniu.

— Chciałbym prosić o jedną rzecz,—rzekł nagle młody chłopiec do wodza.

— Czy o wolność dla siebie?

— Nie; możesz nas obdarzyć wolnością, ale wiesz doskonale, że nigdy błagać cię o nią nie będę.

— Powinienem był pamiętać o tem. Mów więc.

— Miałem ukochaną siostrzyczkę. Powiedz, co się z nią stało?

Na twarzy Araba odmalowało się wielkie zdziwienie.

— Miałeś siostrę?—powtórzył.—Czy ona była starszą, czy młodszą od ciebie?

— Młodszą; nasza Anusia skończyłaby niezadługo dopiero dwa lata.

— Nie wiedziałem wcale o istnieniu tego dziecięcia; zapewne zginęło w płomieniach. Ale cóż w tem tak strasznego? wszak to była tylko dziewczynka!

Słysząc tę odpowiedź, Janek zmieszał się i zamilkł, a Leon tak dalej ciągnął badanie:

— Mohamedzie-ben-Ali, jakim sposoben nie spostrzegłeś małej dziewczynki w kołysce, kiedy właśnie przy niej spoczywała matka, gdy ją porwałeś?

— Ja widziałem tylko żonę mego nieprzyjaciela; pochwyciłem ją i natychmiast wybiegłem z domu. Czy mniemasz, że kłamałbym wobec dzieci, a do tego moich więźniów?

Nie mówiąc już ani słowa, Mohamed oddalił się wolnym krokiem.

— Nienawidzę tego człowieka!—zawołał Leon.— Tak, nienawidzę go, chciałbym go bić, znieważyć i umrzeć walcząc z nim... Ale on wtedy zemściłby się nad wami. Dziewczyna! „Wszak to była tylko dziewczyna!" powiedział na naszą ukochaną Anusię.

Jeszcze raz karawana ruszyła w drogę. Więźniom zdawało się, że ta jednostajna podróż nigdy się nie skończy. Upał był straszliwy, dochodził bowiem do czterdziestu stopni w cieniu; miałki pył, którym przesycona była atmosfera, pokrywał twarz i wdzierał się do gardła. Pragnienie, nigdy dostatecznie nie zaspokojone, stawało się okropną męczarnią. Zwierzęta nawet zdawały się tracić siły, wielbłądy odmawiały niekiedy posłuszeństwa i nie chciały iść dalej, tak, iż z wielkim trudem przybyli na odpoczynek do Sidi-Macheluf, miejscowości ocienionej nędznemi palmami, nie posiadającej nawet dobrej wody.

Druga, większa karawana, która przybyła przed nimi, zajęła karawanseraj, zbudowany w kształcie czworoboku, mającego wpośrodku obszerny dziedziniec. Z zewnętrznej strony murów znajdowała się kryta dla koni galerya. W czterech rogach budynku były pokoje przeznaczone dla podróżnych. Pokoje te nie mają okien, tylko drzwi, których pra-

wie nigdy nie zamykają. To też wiatr od strony pustyni, nagromadzał tu warstwy piasku tak miałkiego, że piasek ten wydawał się, jakby przesiany przez sito.

Tutaj już nie rozbijano namiotów, wieczerza zaś składała się tylko z zimnej baraniny i jakichś twardych placków; napój stanowiła ciepła woda.

Chcąc odetchnąć świeższem nieco powietrzem, więźniowie wyszli na wielkie wzgórze, na którem znajdował się grób świętego mahometańskiego. Dokoła otaczały go mniejsze grobowce.

Z początku milczeli wszyscy, lękając się podzielić z drugimi doznanemi wrażeniami... Wreszcie Marta szepnęła do ucha Leonowi.

— Czy widziałeś tę karawanę? ach! to okropne...

— Widziałem, — również cicho odpowiedział Leon i wskazując panią Beaucourt, dodał:

— Czy sądzisz, że ona zrozumiała?

— Bez wątpienia, gdyż i ona i Janek rozmawiali z przywódcą karawany.

— Cóż to więc jest?

— Nie rozumiesz, że są to niewolnicy, przybywający z zachodu, wojenni więźniowie, kupieni przez maurytańskiego kupca, których mają sprzedawać na targu w Laghouat, dokąd my przybędziemy jutro? Leonie, jeżeli i nas tam sprzedadzą!... jeżeli rozdzielą nas okrutnie!...

Kończąc te słowa, Marta zalała się łzami, a Leon z rozpaczą załamał ręce. Janek, z głową wspartą na kolanach matki, zdawał się pognębiony i smutny. Po raz pierwszy przekonał się o płonności swych nadziei, dotyczących ucieczki. Mar-

cin, oparty o grobowiec, zdawał się we śnie pogrążony.

Nagle stary sługa podniósł się z ziemi i rękoma wskazując północ, zawołał jakby w natchnieniu:

— Bóg wysłuchał próśb moich! Moja ukochana pani, panie Janie, moje drogie dzieci, Marto i Leonie, zobaczycie mojego pana i Francyę. Wkrótce dni szczęśliwe zawitają dla nas!

Wielu mieszkańców z Laghouatu, którzy wyszli na spotkanie dorocznej, wielkiej karawany, zatrzymało się, aby się przypatrzyć temu starcowi, z długimi, białymi włosami, który wymawiał zaklęcia w nieznanym dla nich języku. Patrząc na niego, Arabowie szeptali:

— Dusza świętego przeszła w tego człowieka. On z pewnością powtarza proroctwo Si-el-Hadżi-Aïca.

Stosowało się to do słów jednego mahometańskiego zakonnika, którego zwłoki spoczywały w Laghouacie i który w ostatniem stuleciu taką klątwę rzucił na swoich współziomków:

— Słuchajcie, skazuję was, abyście się nawzajem pożerali, jak lwy zamknięte w jednej klatce, aż do dnia, w którym chrześcijanie, ci pogromcy lwów, zaskoczą was znienacka i okiełznają wszystkich!

Przepowiednia ta miała się ziścić w istocie.

W czasie, kiedy odbywało się nasze opowiadanie, dwie części Laghouatu, rozdzielone łożyskiem rzeki, zajęte były przez dwa plemiona, toczące z sobą zajadłą wojnę. Walka trwała bez przerwy i bez miłosierdzia pomiędzy Uleb-Serrinem i Beni-Salemem.

Abd-el-Kader, który wziął stronę pierwszych, wysłał jednego ze swoich poruczników do Laghouatu; ale zastępca emira został pokonany, i wtedy zwycięski wódz Beni-Salem zawojował kraj, żądając oddania miasta Francuzom.

W roku 1852-gim pomnik mahometańskiego zakonnika stał się wojenną bateryą; armata opierała się o grobowiec, a oba plemiona zostały zwyciężone, czyli okiełznane, jak to przepowiedział ów zakonnik.

XII.

Sprzedani.

Noc tę więźniowie przespali na kamieniach grobowych; Janek i Leon czuwali kolejno, stukając kijami w kamienie, aby oddalać od śpiących żmije i skorpiony. M'zour, jeden z murzynów, przestrzegł ich bowiem, że w tem miejscu znajdowało się mnóstwo tych szkaradnych stworzeń.

O świcie, gdy murzyni zaczęli siodłać konie i wielbłądy, Mohamed-ben-Ali zbliżył się do Marcina i rzekł do niego łagodnym głosem w obecności innych więźniów:

— Jesteś znużony i osłabiony, nogi nie chcą ciebie słuchać, ciało wstrząsają dreszcze, a oczy zdają się już widzieć raj przyobiecany wiernym. Dlatego chcę cię uczynić wolnym. Ale prawda, zapomniałem, że ty nie rozumiesz naszej mowy.

I Arab, zwracając się do Leona, dodał:

— Ty, który masz wzrok Alego, wytłómacz moje słowa starcowi.

Leon zastosował się do tego życzenia; ale Marcin odpowiedział przez jego pośrednictwo, że zrzeka się wolności, jeśli razem z nim nie uwolnią reszty towarzyszów.

— A więc zrzekam się mej zemsty,—odpowiedział wódz.—Kobiety będą towarzyszyły świętemu człowiekowi, i wszyscy troje pod dobrą opieką dostaną się do pierwszych posterunków francuskich. Zobowiązuję się tego dopełnić, przysięgam nawet na imię Proroka.

— A z nami co się stanie? — zawołali razem Leon i Janek.

— Ciebie i twego przyjaciela uważać będę jak własne dzieci i przyjmę was za synów,—ciągnął dalej Arab, wciąż zwracając się do Leona,—gdyż serce moje zmiękło przy was i jakiś głos tajemny przemawiał do mnie w noc ciemną. Jeszcze dzisiejszego rana radziłem się duszy świętego zakonnika, którego kości spoczywają tutaj, i nagle usłyszałem głos mego syna Alego, który mówił do mnie: „Trzeba, żeby ci młodzieńcy zajęli miejsce moich braci, chlubnie poległych na polu sławy. Oni staną się mężnymi wodzami i czcią otoczą twoją starość. Obydwaj posiadają lwie serca i nie znają, co to jest trwoga. Nauczysz ich, jak mają służyć Allahowi i Prorokowi; tak jest napisane w księdze przeznaczeń.” A teraz odpowiadajcie,—dodał Arab, odrzucając kaptur swego burnusa i kładąc jedną rękę na głowie Janka, a drugą na głowie Leona,

jak gdyby dla potwierdzenia, że bierze ich w posiadanie.

Wszyscy świadkowie tej sceny byli niezmiernie zdziwieni; pani de Beaucourt zdawało się, że źle zrozumiała słowa Mohameda. Jak to? miałżeby jej syn być uprowadzonym przez muzułmanów? miałżeby wyrzec się wiary i rodziny?... Jakiem prawem ten człowiek mógł jej proponować coś podobnego!

Milczenie trwało kilka minut. Mohamed czekał ze skrzyżowanemi na piersiach rękoma i niewzruszonym na twarzy spokojem.

Nakoniec matka, spoglądając w oczy syna, odpowiedziała drżącym głosem:

— Mohamedzie-ben-Ali, czynisz zaszczyt tym dzieciom i co oni postanowią, ja zgodzę się na to.

— Masz słuszność, — odparł wódz tonem pogardliwym; — spraw takich nie godzi się roztrząsać kobietom.

I zwracając się do Leona, dodał:

— Mów ty, co masz oczy Alego.

— Nie, ja będę mówił dopiero po Janku.

Ten ostatni nie czekał na pytanie Araba.

— Mohamedzie-ben-Ali, moja matka uprzedziła nasze myśli, — rzekł, — powtórzę więc za nią, że słowa twoje przynoszą nam zaszczyt; ale my jesteśmy chrześcijanie, my jesteśmy Francuzi, nie możemy się więc zaprzeć naszej ojczyzny i wiary naszych przodków. Jesteśmy zatem gotowi dzielić los twoich więźniów, tak w życiu, jak i w śmierci.

— Mohamedzie-ben-Ali, — odezwał się Leon, gdy Janek mówić przestał,—syn moich panów od-

powiedział już za mnie. Jednakże mam nadzieję, że wspaniałomyślność twoja równa jest dla wszystkich, i błagam cię o nią w imieniu twego syna.

Błyskawica gniewu zamigotała w oczach wodza.

— Dobrze, — odparł głosem drżącym z uniesienia, — widzę, że się pomyliłem. Prorok w księdze przeznaczeń skazał was na wieczny wstyd i nieszczęście. Cierpcie więc, nędznicy, i znoście los najsroższy; skazuję was wszystkich na katusze rozpaczy, was—synów, krewnych, służących i przyjaciół zabójcy mego syna!

— Rozbójniku! Psi synu!—krzyknął Janek, nie mogąc już dłużej zapanować nad sobą, — ciebie to Bóg nasz ścigać będzie swą zemstą.

Mohamed rzucił się z podniesionem ramieniem ku dziecku, które ośmieliło się go znieważyć, ale tak samo jak w Medeah, Leon stanął pomiędzy Jankiem i Arabem, i tak samo jak w Medeah, ramię Mohameda opadło, podczas gdy usta szeptały:

— Ten chłopiec posiada spojrzenie Alego!

Następnie Arab oddalił się w milczeniu, a więźniowie nie przypuszczali, że od tej chwili już nigdy nie zobaczą Mohameda-ben-Alego.

Oddaliwszy się od grobowca Sidi-Macheluf, Mohamed rozkazał kebirowi, czyli przewodnikowi, aby wyruszył w drogę z karawaną, którą, jak mówił, dogoni wkrótce. Lecz zamiast udać się za nią, powrócił do karawanseraju, gdzie druga karawana przygotowywała się do odjazdu. Po zwykłych powitaniach Mohamed zbliżył się do Maurytanina Hassana, syna Ahmeda, którego znał od dawna.

Obydwaj milczeli przez chwilę, gdyż muzułmanin nie śpieszy się nigdy z rozpoczęciem rozmowy.

Mohamed, jak wiemy, był Arabem czystej krwi, o wyniosłej postaci, gęstym zaroście na twarzy, błyszących oczach i orlim nosie. Hassan był niższy wzrostem, twarz miał bez zarostu i cerę mniej ciemną; oczy jego biegały żywo i przenikliwie, znamionując człowieka innego pochodzenia.

Błyskawica gniewu zamigotała w oczach wodza. (Str. 172).

Zdaje się, że między Maurami i Arabami istniał niegdyś jakiś pierwiastkowy stopień pokrewieństwa, ale obecnie nie mają nic wspólnego. Wszystko jest u nich odrębne: obyczaje, zdolności, usposobienie, charakter, a nawet wymowa. Pomagają sobie nieraz, ale gardzą sobą wzajemnie.

Arabowie wiodą życie koczownicze, wojują i ciągłe odbywają podróże, a twarz ich nosi na sobie cechę piękności i dumy. Maurowie są rzemieślnikami i fabrykantami, zajmują się też handlem i przemysłem,

Po długiej pauzie Hassan odezwał się pierwszy:

— Mohamedzie-ben-Ali, zapewne czego potrzebujesz? Pomiędzy kobietami znajdują się w moim obozie takie, które grają lub haftują pięknie. Mężczyźni są silni i niezmordowani; mam także materye doskonałe.

— Hassanie-ben-Achmed, — odpowiedział Mohamed,—ja nie chcę nic kupić, lecz sprzedać,

— Czy tak?—podchwycił Maur,— a cóż masz do zbycia?

— Więźniów, których pochwyciłem w okolicach Al-Dżezairu.

— Są to zapewne mieszkańcy krain północnych?

— Tak jest,—potwierdził Mohamed;—są między nimi dwie kobiety, dwóch młodzieńców, jeden starzec, i zdobycz pochwycona w ich domu.

—Czyżby emir Abd-el-Kader aż tak daleko posunął swoje zdobycze?

— Nie, ale przyjdzie do tego wkrótce, z pomocą Proroka. Odpowiadaj mi, czy chcesz kupić, lub nie?

— Pokaż mi najpierw twoich więźniów.

— Masz słuszność; zobaczysz ich za chwilę; karawana moja pociągnie obok ciebie. Przypatrz się więc ludziom, jadącym na wielbłądach. Kobiety mają odsłonione twarze, gdyż niema u nich zwy-

czaju zakrywania twarzy: ukazują się one ludziom, jak tancerki w Laghouacie,—dodał z pogardą Arab.

W istocie karawana ukazała się wkrótce, lecz Mohamed skrył się, aby nie być poznanym. Przeciwnie Hassan utorował sobie drogę aż do środka karawany, aby się lepiej przypatrzyć więźniom. Potem Hassan cofnął się i, połączywszy się z Arabem, rzekł:

— Widziałem. Ale powiedz mi, ile żądasz za kobiety i młodzieńców, razem ze zdobyczą, którą dźwigają wielbłądy?

— Za te pięć osób i za zdobycz chcę trzech tysięcy piastrów *).

— Trzy tysiące piastrów! O! wymagania twoje są zbyt wielkie, a przytem ja nie kupię starca.

— A więc nie mamy o czem mówić. Wiesz dobrze, że jutro na targu, nawet za tych dwóch białych młodzieńców, którzy umieją mówić i pisać po arabsku, dostanę o wiele znaczniejszą sumę. Ale ja nie jestem kupcem z powołania i dlatego proponowałem ci handel pierwej, nim ich wystawię na sprzedaż publiczną.

— Więc mówisz, że mężczyźni znają nasz język?

— Znają doskonale, a nawet piszą po arabsku; jedna z kobiet rozumie go także; mogłaby więc być umieszczona, jako zarządzająca do bogatego haremu, a wtedy doskonale zapłaconoby ci za nią.

---

*) Piastr, moneta używana na Wschodzie, wartości około pięciu franków. (*Przyp. tłóm.*)

— Dlaczego ich sprzedajesz? Tobie przynosiliby oni zaszczyt.

— Maskara jest za blizko Algeru. Kto wie zatem, czy do emira nie doszłoby echo skarg ojca i pana moich niewolników i czy nie dałby wzruszyć się niemi. Wtedy byłbym zmuszony zgodzić się na okup, a ja nie chcę okupu wzamian za moją zemstę,—dodał Arab, którego oczy złowrogiem zabłysnęły ogniem.

— Ach! więc to zemsta! W takim razie zgadzam się na stawiane mi przez ciebie warunki. Dziś wieczorem podpiszemy umowę przed kadim; biorę pięciu więźniów i zdobycz za trzy tysiące piastrów, które ci wyliczę natychmiast w towarze, jaki sam wybierzesz.

Arab pogardliwie wstrząsnął głową i odparł z ironicznym uśmiechem:

— Hassanie, wypowiedziałeś lekkomyślne słowa. Ja nie chcę, abyś mnie oszukiwał, i dlatego oddalam się.

— Mohamedzie-ben-Ali, nie czyń mi tej zniewagi. Zgodzę się na wszystkie twoje żądania: będziesz miał wyliczone trzy tysiące piastrów pieniędzmi w obecności kadiego; tylko dodaj mi jeszcze dwóch murzynów.

— Nie, dwóch nie, jednego ci dam, tego wyższego, i skończmy już raz ten targ...

Maur zrozumiał, że nie należało nalegać więcej i, wyciągając prawą rękę, zawołał:

— A zatem sprawa skończona! Każ zaprowadzić wielbłądy i murzyna do ogrodu kowala, znajdującego się poza wielkim targiem Uled-Serrin;

jeden z moich ludzi wskaże im drogę i odejdzie, zamknąwszy drzwi. Niewolnicy pozostaną sami aż do posłuchania u kadiego, nie trzeba im przez ten czas dawać jeść; głód uczyni ich pokorniejszymi i bardziej posłusznymi względem mnie.

Arab na wyciągniętej dłoni Maura złożył swoją prawą rękę, i tym sposobem handel został zawarty; posłuchanie u kadiego i podpisanie umowy były tylko dodatkowemi formalnościami.

W tej chwili kebir zbliżył się do swego pana, Maura.

— Hassanie-ben-Achmed,—rzekł,—jeszcze jedno dziecko Hamry umiera. Nie może już iść i przymyka oczy; miejsca, jak wiesz, na wielbłądach niema, a Hamra z trudem dźwiga pakunek, który jej nieść kazałeś, i krzyczy, i płacze, nie chcąc odstąpić syna.

— Przywiąż matkę do murzyna Idrisa, którego towarzysz umarł wczoraj, a dziecię dobij, — odpowiedział okrutny Maur.

Przewodnik karawany oddalił się w milczeniu, i wkrótce usłyszano wystrzał, po którym rozległy się w powietrzu przerażające krzyki. Arab i Maur słuchali tego obojętnie. Czarni, dzieci, niewolnicy, a nawet towary mało ich obchodziły. Jeżeli jedna część niewolników umierała, lub gdy część towarów przepadła, druga za to większej nabierała wartości. Nie warto się więc było tem martwić. W takie to ręce morderców dostali się nasi bohaterowie.

Mohamed i Hassan rozłączyli się. Wkrótce ten ostatni dał znak odjazdu. Wyszedłszy na niewielki, pagórek, Hassan przypatrywał się swej karawanie

wychodzącej z karawanseraju, gdzie podczas ostatniej nocy ludzie i zwierzęta tak wiele wycierpieli. Wielbłądy, wypuszczone swobodnie, stanęły w szeregu na dany znak przez dozorcę, który nawoływał ich dźwiękiem trąby. Wszystkie wielbłądy obciążone były kosztownymi przedmiotami: na grzbietach ich siedzieli znakomitsi niewolnicy, znajdowały się paczki ze złotym proszkiem i kością słoniową. Za nimi szli inni niewolnicy, otoczeni strażą zbrojnych murzynów. Na samym końcu jechali kebirowie konno.

Niebo sypało żarem, a po ziemi pustej, nagiej i skalistej szła gromada nieszczęsnych ludzi, kierując się ku targowisku.

Gdy wszyscy przeszli, podnosząc tumany kurzu, Maur spiął ostrogą piękną białą klacz, na której siedział, i podążył na spotkanie kilku kupców z Laghuatu, którzy wyjechali naprzeciw niecierpliwie oczekiwanej karawany.

Jeźdźcy ci byli bardzo nieprzyjemnej powierzchowności, mieli brudne na głowach zawoje i siedzieli na wielkich i chudych wielbłądach. Przysunęli się oni do Hassana i jechali z nim razem obok karawany, przyglądając się niewolnikom, zatrzymując ich, to znów zmuszając, aby skakali przez kije, które im rzucali pod nogi. Żaden z nich nie był wzruszony okropnym widokiem tych nieszczęśliwych, z których niektórzy łachmanami byli okryci, inni przywiązani do wielbłądów, lub spętani tak, że ledwo iść mogli, a inni jeszcze mieli uzdeczki w ustach i szli boso, z rękoma skrępowanemi z tyłu, lub też dźwigając nadmierne ciężary. Jedna z kobiet miała głowę umieszczoną między widłami, któ-

rych rękojeść była przytwierdzona do szyi mężczyzny, kobieta ta wydawała przeraźliwe krzyki: była to murzynka Hamra. Kebir cisnął na nią kamieniem, który ją trafił w piersi; strumień krwi trysnął... Za nimi szły dzieci, nieskrępowane wprawdzie więzami, ale tak wycieńczone głodem i znużeniem, że aż litość brała patrzeć na nie... Matki, okute w więzy, nie mogły im w niczem dopomódz.

Nie sądźcie, że te szczegóły są wymyślone dla ubarwienia naszego opowiadania. Wielu świadków naocznych i godnych wiary potwierdza te okrucieństwa.

„Gdy kto jest chory, lub ranny,—pisze jeden z nich, — i dlatego nie może iść, a jednak ma nadzieję wyzdrowienia, niegodziwcy zabijają go bez litości, aby przypadkiem nie dostał się właścicielowi innej karawany. A gdy widzą, że ktoś umiera, rzucają go na pastwę dzikich zwierząt."

René Caillé, pierwszy z podróżników, którzy zwiedzili środkową Afrykę, Speke, Burton, Barth, Livingstone, Cameron, Stanley i wielu innych, opowiadają jeszcze większe okropności, na których wspomnienie wzdryga się serce i wyobraźnia. Okrucieństwa te krajowcy popełniają z rozmysłem, głównie zaś dopuszczają się ich mieszkańcy Sudanu, owi handlarze muzułmańscy, dostarczający żywego towaru do Egiptu, Trypolisu i Maroka... Islamizm dozwala prowadzić ten wstrętny handel, chociaż święta księga Mahometan, Koran, poleca wiernym, aby się dobrze obchodzili z niewolnikami.

Liczba niewolników Hassana dochodziła podczas drogi do pięciuset ludzi, prócz 40 mężczyzn, kobiet i dzieci, które porzucono na pastwę hyenom i sępom, towarzyszącym zawsze w pewnej odległości karawanom.

Była to strata znaczna, ale nie nadzwyczajna, gdyż zwykle liczba umarłych bywa o wiele większa. Kupcy z Laghuatu winszowali Maurowi, obiecując mu, że z pewnością handel powiedzie mu się doskonale na jutrzejszym targu.

Aż do roku 1852 odbywał się corocznie w Laghuacie, wielki jarmark, na który mieszkańcy długo się przygotowywali, a ogromne karawany ściągały tu przez kilka miesięcy, pod dowództwem kupców arabskich, maurytańskich i innych muzułmanów.

Karawany te przybywały ze środkowej Afryki, którą jeden z poetów nazwał: „wielką nieznajomą," z tych tajemniczych krain, położonych w pobliżu wielkich jezior, które są znane tylko handlarzom niewolników. Tam, aby zadowolić nieustające żądania kupców „hebanowego drzewa," jak dotąd nazywają handlarzy niewolników, władcy i królowie Sudanu dziesiątkują wioski, a nawet całe kraje. Gdy zabiją tysiąc mieszkańców, mogą zaledwie dostarczyć dwustu lub trzystu zdrowych niewolników.

Dla większej liczby afrykańskich królów wojna stanowi główny dochód, a więzień jest niejako brzęczącą monetą. Jeden z podróżników mówi, że w pewnych okolicach w równej cenie jest zdrowy mężczyzna, jak dwie bryły soli. O tych niezmie-

rzonych przestrzeniach, znajdujących się w pasie zwrotnikowym, nie mamy jeszcze dotąd dokładnych wiadomości. Naprzykład znamy dopiero niedawno liczny lud Uganda, którego ziemie przylegają z jednej strony do kraju Gallasów, a z drugiej do jezior Bibert i Wiktorya. Król pokolenia Uganda wysyła corocznie swe wojska na polowanie na człowieka, tak w swoim własnym kraju, jak i w krajach ościennych. Barbarzyński ten zwyczaj powtarza się tam co rok w pewnych, stale określonych epokach, jak w Europie winobranie lub żniwa.

Po skończonej wyprawie, przyprowadzają niewolników przed zwycięskiego wodza, który wybiera najlepszych dla siebie i swoich wspólników, a resztę sprzedaje kupcom muzułmańskim, podróżującym tak, jak u nas agenci rozmaitych przedsiębierstw. Ci kupcy zobowiązują się dostarczać niewolników do najodleglejszych krajów Azyi i Afryki. U wszystkich ludów, zjednoczonych wyznaniem islamizmu, a zamieszkujących środkową Afrykę, jako to: Peulhów i Tuaregów, czy to zdobywców, czy dawno zamieszkujących te strony, niewolnictwo kwitnie i rozwija się w najlepsze, będąc dla nich źródłem dochodu i zasilając jawnie lub potajemnie targi.

Do roku 1840-go ten wstrętny handel prowadzono otwarcie na całej przestrzeni, ze wschodu na zachód i z północy na południe, pomiędzy Marokiem, Algeryą, Tunisem, Trypolisem, a nawet Turcyą europejską z jednej strony, a z drugiej pomiędzy nieznanemi, lub bardzo mało znanemi okolicami środkowej Afryki.

Od lat pięćdziesięciu narody cywilizowane walczą wytrwale z niewolnictwem, ale przeszkadza im w tem brak środków i znajomości okolic; przytem klimat tutejszy jest zabójczy dla Europejczyków, i dlatego też kraje środkowej Afryki długo jeszcze pozostaną dla nas nieznanymi. Musimy dodać, że gdy pani de Beaucourt i jej towarzysze przybyli do Laghuatu, posiadłości francuskie ograniczały się tylko na wybrzeżach morza Śródziemnego, i nawet Sahara, przylegająca do Algeru, była prawie dla wszystkich krainą niemal tajemniczą.

Gdy Mohamed porzucił swoją karawanę, przygotowania do odjazdu były już skończone. Więźniowie nie dostrzegli zatem nic nadzwyczajnego, gdy w zwykłym porządku umieszczono ich na grzbietach wielbłądów. Tak samo jak i poprzednio towarzyszyło im czterech murzynów, przed nimi zaś jechali Arabowie. Teraz już dość prędko orszak przebył przestrzeń, dzielącą Sidi-Makeluf od Laghuatu.

XIII.

Laghuat.

Laghuat, położony o dwieście trzydzieści kilometrów na południe Algeru, zbudowany jest na bardzo ciasnej przestrzeni, dlatego, aby korzystać z cienia. Miasto ciągnie się ze wschodu na zachód

i zajmuje trzy wzgórza. Poczerniałe jego budynki, niebo ziejące ogniem i cmentarze otaczające miasto dokoła, przykre na podróżnym robią wrażenie; jedynie ciemna zieloność drzew palmowych i daktylowych, zroszonych przepływającym strumieniem, rozwesela nieco oko. Temperatura tam wynosi od trzydziestu do czterdziestu stopni ciepła.

Jak już o tem wyżej wspominaliśmy, zbliżała się własnie epoka wielkiego jarmarku, który odbywał się właśnie w Laghuacie po Ramadanie, czyli poście muzułmanów.

Kiedy karawana Mohameda wkroczyła do Laghuatu, wszyscy Arabowie rozsypali się po mieście. Ponieważ wódz nie ukazał się więcej, więźniowie zostali więc jedynie pod strażą murzynów, którzy, chwyciwszy wielbłądy za uzdy, uprowadzili je szybko.

Leon i Janek mniemali, że teraz nadeszła przyjazna chwila do wprowadzenia w czyn dawno ułożonego projektu. Nieraz powtarzali sobie:

— Skoro dostaniemy się do jakiego dużego miasta, podburzymy ludność, wołając, że należymy do rodziny, która gotowa dać za nas okup, i wzywać zaczniemy pomocy kadiego.

Na nieszczęście, z powodu okropnego upału ulice były puste; każdy krył się gdzie mógł: nawet drzwi sklepów i okna domów były pozamykane. Zdawało się, że Laghuat zamieszkują jedynie miryady much, gdyż te owady pokrywały zupełnie ziemię, cięły wielbłądy i podróżnych, dostając się razem z oddechem do gardła. Ukąszenia ich, jak-

kolwiek nieszkodliwe, do rozpaczy doprowadzały ludzi i zwierzęta.

Mijając jakiś wysoki budynek, Leon i Janek spostrzegli przesuwającą się ludzką postać, zawołali więc jednogłośnie z rozpaczą po arabsku:

— Do nas! na pomoc w imię Allacha!

Ale żadna odpowiedź nie przerwała ciszy tej opustoszałej uliczki; natomiast jeden z murzynów uderzył chłopców batem przez plecy.

Pani de Beaucourt omało nie krzyknęła z trwogi i oburzenia, lecz błagające spojrzenie syna stłumiło okrzyk na jej ustach. Spojrzenie to mówiło jasno:

— Ucisz się, matko, gdyż te potwory i ciebie mogłyby wybić.

Przeszedłszy przez strumyk i minąwszy drzewa, karawana zatrzymała się nagle przed wysokim murem, do którego wnętrza prowadziły jedne tylko drzwi. Te natychmiast otwarto.

Trzej murzyni, idący na przodzie, zatrzymali wtedy konie, i cofając się w bok, podcięli konia, na którym siedział M'zour. Koń poskoczył szybko i wpadł przez otwarte drzwi do ogrodzenia, za nim podążyły wielbłądy. Wówczas drzwi popchnięte niewidzialną dłonią zamknęły się za nowo przybyłymi, ze zgrzytem łańcuchów i zawias.

Odurzeni szybkością wypadków, więźniowie zsiedli na ziemię i starali się zastanowić nad swem położeniem.

Wkoło dość znacznej przestrzeni wznosiły się drzewa palmowe, a po za niemi mur bardzo wysoki; nigdzie nie było widać mieszkania, ani istoty

ludzkiej. Z zewnątrz jednak dochodziły rozmaite głosy: słychać było rżenie koni, krzyki, nawoływania i skargi; lecz wrzawa ta, potęgująca się lub przyciszająca chwilami, dochodziła ze strony przeciwnej, nie tej, z której przybyli.

Rozsiodłane wielbłądy i koń zaczęły skubać trawę, rosnącą gdzieniegdzie; więźniowie zaś, obszedłszy dokoła ogrodzenie, pokładli się na ziemi i znużeni zaczęli drzemać. Muchy jednak zbudziły ich wkrótce.

Zmrok wieczorny zalegał zwolna ten ciasny zakątek, w którym nużąca panowała cisza. Głód zaczął dokuczać więźniom; a przytem zachowanie się murzyna od kilku chwil dziwiło ich i przerażało niezmiernie. M'zour, nie przemówiwszy ani słowa, zaczął biegać jak szalony, przyglądając się murom, to znów wstrząsając drzwiami. Gdy zaś przekonał się o niemożliwości swych usiłowań, zaczął się bić rękoma w czoło i piersi, nie odpowiadając na pytanie Janka i Leona.

Pani de Beaucourt napróżno szukała w naczyniach skórzanych, przeznaczonych na napój, choćby kropelki wody; koszyki, w których było jadło, również były puste. Zasmucona podążyła za chłopcami, którzy ścigali murzyna w jego szalonym biegu i, kładąc dłoń na ramieniu M'zoura, spytała:

— Gdzie jesteśmy? Czy możemy mieć nadzieję, że nam dadzą jeść, a szczególnie pić?

Pod dotknięciem tej małej, delikatnej ręki, murzyn uspokoił się trochę i drżący, ze spuszczoną głową, odpowiedział po arabsku, lecz niezbyt dokładnie:

— Jesteśmy w Laghuacie, a za tym murem kupują i sprzedają niewolników. Będziemy tu zamknięci w tym ogrodzie tak długo, dopóki się naszemu panu podoba trzymać nas bez jadła i napoju.

— A czy ty nie możesz wyjść i przynieść nam żywności, jak na innych odpoczynkach? Co się stało z Mohamedem?

— Mohamed odjechał na zawsze; on was sprzedał wczoraj Maurowi Hassanowi-ben-Achmed, lecz mnie obiecał zabrać z sobą do Maskary, gdzie od dawna jesteśmy jego niewolnikami; żona i dzieci czekają tam na mnie. Gdy drzwi za nami zamknięto, usłyszałem, jak jeden z jeźdźców zawołał: „M'zour, synu Darfy, należysz do Maura, jak ci ludzie z Al-Dżezair."

Pani de Beaucourt przerażona zaledwie miała siłę zapytać jeszcze:

— Cóż to za Maurytanin? Skąd on przybywa? dokąd się udaje?

— Wszyscy znają Achmeda i syna jego Hassana, — odpowiedział M'zour.—Niema jednego plemienia, jednej wioski, w którejby się nie lękano przeklętego Maura.

— Wiesz jednak, że ja nie znam twego rodzinnego kraju, powiedz mi więc, dlaczego wszyscy go się lękają.

— Achmed i Hassan kupują mężczyzn, kobiety i dzieci, które prowadzą na wielki targ w Laghuacie, albo jeszcze dalej; sprzedają oni także kość słoniową, złoty proszek i odurzające napoje. Oni biją okrutnie swoich niewolników. Wódz mego pokolenia sprzedał mnie niegdyś Achmedowi. Ach-

med zabił w drodze moją matkę, dlatego, że nie mogła mnie dźwigać.—Potem kupił mnie Mohamed, a gdy dorosłem, dał mi żonę i aż do śmierci swego syna — Alego, obchodził się z nami bardzo łagodnie.

Kończąc te słowa, murzyn zaczął znowu rozpaczać, bić się po głowie i drapać paznogciami ciało.

— Mój Boże! mój Boże, miej litość nad nami,— drżącemi usty szeptała pani de Beaucourt.

Już miała powrócić do Marcina i Marty, gdy usłyszała za sobą wesoły głos chłopców, którzy oddalili się przed chwilą, a teraz wracali, dźwigając dwa naczynia pełne wody.

— Mamo!—zawołał Janek,—znaleźliśmy wodę. Leon odkrył źródło sączące się tuż przy murze.

W istocie z pod stosu suchych liści, leżących pod murem, tryskało małą strugą źródełko.

Woda była świeża, więźniowie mogli zatem ugasić pragnienie, obmyć twarze i ręce, wymoczyć zbolałe nogi. Marcin i Marta zaczęli się odzywać, a nawet M'zour zapomniał na chwilę o swojem zmartwieniu i, ugasiwszy pragnienie, napoił konia i wielbłądy.

Głód jednak dokuczał im coraz bardziej. Tymczasem pomimo szczegółowych poszukiwań, nie znaleźli w całym ogrodzie nie tylko owoców, ale nawet trawy, którąby żyć mogli... Nazewnątrz ruch i wrzawa nie ustawały aż do nocy. Niekiedy więźniowie krzyczeli, ile im tylko sił starczyło. Leon i Janek wdrapywali się na drzewa, aby zobaczyć, co się dzieje poza murem; ale namioty, wznoszące

się z tamtej strony, nie dozwalały im nic widzieć, i żaden głos nie odpowiadał na ich wołanie.

Nareszcie pani de Beaucourt otworzyła jeden z tłomoków zawierających rzeczy i, znalazłszy w nim miękkie tkaniny, rozciągnęła je z pomocą Marty u stóp drzewa, aby się trochę snem pokrzepić i zapomnieć tym sposobem, choć na chwilę, o strasznem jutrze i dręczących męczarniach głodu.

M'zour jęczał ciągle i dla oszukania głodu pił prawie bez ustanku wodę i gryzł liście, co doprowadzało go do mdłości. Głośne jego skargi i krzyki potęgowały jeszcze grozę tej okropnej nocy. Wreszcie nad ranem zrozpaczony Janek podniósł ramię, chcąc uderzyć murzyna.

Ale Marcin powstrzymał go, szepcąc gasnącym głosem:

— Nie czyń tego, Panie Janie, uzyskasz przez to zasługę cierpliwości. Zresztą ten murzyn jest także twoim bratem.

. — Masz słuszność,—odpowiedział zawstydzony Janek i, zamiast uderzyć M'zoura, uśmiechnął się do niego przyjaźnie.

. . . . . .

Z galeryi, która wychodziła na wewnętrzne podwórze arabskiego domu, dwóch mężczyzn wyglądało ciekawie na dół przez okienko umieszczone wysoko.

Jednym z tych ludzi był Maurytanin Hassan, drugi zdawał się być pochodzenia europejskiego; jednakże ubiór tego ostatniego nie różnił się w niczem od ubioru jego towarzysza, do którego prze-

mawiał w narzeczu arabskiem. Hassan uparcie wyglądał okienkiem.

— Możesz tam stać cały dzień jeszcze, a nawet i noc następną,— odezwał się nieznajomy do Hassana,—lecz ja żegnam cię i odchodzę, cofając moje słowo, gdyż widzę, że nie jesteś zdolny dotrzymać swego.

— Ależ Jusufie-ben-Kassem, czyżbyś chciał doprowadzić mnie do ruiny?—odpowiedział Hassan, odsuwając się nieco od okna.

— Po co wypowiadasz czcze słowa? Ja znam twoje bogactwa i nieraz już źle wyszedłem na handlu z tobą, Hassanie-ben-Achmed! Przypomnij sobie tych dwunastu młodych chłopców. Sprzedałeś mi ich w Messfui, twierdząc, że są w dobrym stanie zdrowia, a jednak pomarli wkrótce jeden po drugim, nim przybyli do Tangeru... „Takie było przeznaczenie!"—powiesz; mniejsza o to, lecz nie cofając się już w przeszłość, czy zgadzasz się, lub nie na handel, o którym wspomniałem ci rano?

Maur podniósł ręce do góry, wzywając Allacha i Proroka, poczem odpowiedział:

— Daj mi godzinę czasu do namysłu i pozwól mi jeszcze raz wystawić ich na pokuszenie.

— Niech i tak będzie. Ale jeżeli następnie będzie za późno, sobie tylko przypisz winę. Ja puszczam się w drogę ze wschodem księżyca, pozostawiając ci wszystkie towary.

— Jak to? i kość słoniową i materye?

— Tak, i kość słoniową i materye. Albo wszystko, albo nic!

Hassan załamał ręce i nic już nie odpowiadając, wyszedł na chwilę z galeryi. Powrócił jednak wkrótce, niosąc twarde placki, kawał zimnej baraniny i owoce granatu; potem spuścił żywność okienkiem, przez które znowu zaczął wyglądać.

Towarzysz jego przez chwilę spoglądał nań uważnie; potem jednak zniecierpliwiony wyjrzał także przez otwór. Nagle wstrząsnął gwałtownie ramieniem Maurytanina i rzekł:

— Widzisz, nie odepchnęli żywności; są zapewne zanadto osłabieni. Gdyby się chcieli poruszać i jeść, nie mogliby już tego uczynić bez pomocy. Znam ja te objawy! wieczorem umrą obydwa. Bądź zdrów, Hassanie-ben-Achmed, idę przygotować się do podróży.

— No, zgadzam się już na wszystko i chcę zadość uczynić twoim wymaganiom. Oto moja prawa ręka.

— Teraz ja ich nie chcę, chyba za trzy tysiące piastrów, ma się rozumieć, razem z murzynem.

— Razem z murzynem?... rozbójniku!... synu rozbójnika! renegacie! Kabylu! złodzieju! Śmiesz ofiarować mi trzy tysiące piastrów! Czy ty wstydu w oczach nie masz?

Kassem zaczął się śmiać i, wyciągając rękę, powtórzył:

— Trzy tysiące; i tak ryzykuję wiele. Śpiesz się, bo gdy raz wyjdę, wcale ci nawet odpowiadać nie będę.

Maur podał mu wreszcie rękę, obrzucając go jednak najbardziej ubliżającemi słowy.

Cóż tam jednak widzieli ci ludzie przez owo okienko?

W głębi małej izdebki, do której światło dzienne dostawało się przez zakratowane okienko, widać było leżących na trzcinowej macie dwoje wychudłych i nawpół nagich dzieci; oczy ich, powiększone cierpieniem i głodem, błyszczały gorączkowym ogniem. Nieszczęśliwi siedzieli tam zamknięci, bez powietrza, dusząc się od gorąca, a jednak nie chcąc uledz woli Hassana. Zaraz powiemy dlaczego.

Kiedy Hassan udał się do więźniów, zamkniętych w ogrodzie kowala, a sprzedanych poprzednio przez Mohameda, biedacy nie jedli nic od dwudziestu czterech godzin. Hassanowi towarzyszył mężczyzna o jasnej cerze i biegających niespokojnie oczach. Za nimi postępowało kilku murzynów, uzbrojonych w długie baty. Nieznajomy mężczyzna trzymał w ręku pistolet. Zatrzymując się przed Leonem, którego zapewne brał za głowę rodziny, Hassan rzekł, wskazując swego towarzysza:

— Oto jest twój nowy pan i pan twego brata; wczoraj kupiłem was od Mohameda-ben-Ali, dziś zaś odstępuję was Jusufowi-ben-Kassem. Co zaś do kobiet i starca, rozłączycie się z nimi, tylko pierwej dadzą wam jeść.

Nieszczęśliwi więźniowie wydali okrzyk rozpaczy... Niedość, że ich sprzedają, ale jeszcze skazują na rozłączenie! Czy to możliwe!... Janek oburzony, z gniewem w oku, chciał znieważyć Hassana, co widząc murzyni podnieśli już nawet baty, aby ukarać zuchwalca, gdy pani de Beaucourt nagłym ruchem ręki powstrzymała syna.

— Janku, zabraniam ci się ruszyć! — zawołała i zwracając się do Maura, rzekła:

— Kupiłeś nas i chcesz nas rozłączyć; ale czy nie wiesz, że jesteśmy Francuzami, że nasi przyjaciele i krewni odkupią nas chętnie? Naznacz więc cenę na nasz okup.

— Przysiągłem na Koran nie przyjąć za was żadnego okupu, — odpowiedział Hassan. — Jedzcie więc teraz, a potem pozwolę ci się pożegnać z twymi synami.

Starając się zapanować nad ogarniającą ją trwogą, biedna kobieta chciała jeszcze przekonywać Hassana, że we własnym interesie powinien usłuchać głosu litości... Lecz wszystko napróżno!... Zniecierpliwiony Maurytanin zaczął jej grozić, a gdy Janek i Leon chcieli jej bronić, baty murzynów poraniły im plecy. W tej samej chwili rozpędzono więźniów w różne strony ogrodu. Janek i Leon pozostali sami, W oka mgnieniu murzyni skrępowali im ręce i wypchnęli z ogrodu. Potem prowadzono ich przez jakiś korytarz, następnie przez schody, do ciemnej izdebki. Opór, lub obrona były niemożliwe. Napróżno wzywali pomocy, nikt nie odpowiadał na ich rozpaczliwe wołanie.

Wkrótce otworzyło się zakratowane okno, a w niem ukazał się Maurytanin w towarzystwie drugiego kupca niewolników; obydwaj mieli w ręku nabite pistolety i trochę żywności, którą cisnęli na ziemię, tuż około dzbanka wody.

— Jedzcie i pijcie prędko,—rzekł Jusuf,—gdyż odjeżdżamy dziś wieczorem, jutro zaś nie dostaniecie żadnego pożywienia, aż po zachodzie słońca.

Chłopcy napili się wody, lecz Janek nie chciał tknąć jadła, co widząc Leon odłożył także na bok placek, którego już spróbował.

— Dlaczego nie chcecie jeść?—zawołał Jusuf.— Czy myślicie, że mamy czas czekać, aż wam przyjdzie do tego ochota?

— Nie będę jadł dopóty, dopóki nie połączę się z matką i moimi towarzyszami — odpowiedział Janek.

Janek nie chciał tknąć jadła.

— I ja także,—szepnął Leon, odwracając oczy od placka.

— Oni mówią poprawnie po arabsku, — rzekł Jusuf, przyglądając się bacznie młodzieńcom, poczem zapytał znowu:

— Powiedz mi, czy umiesz pisać po arabsku?

— Tak, umiem.

— A ty?

— I ja także.

— Bardzo dobrze,—rzekł Jusuf i zatarł dłonie na znak zadowolenia, a w oczach jego odmalowała się radość.

— Jedzcie więc,—odezwał się po krótkiej chwili milczenia, — nie bądźcie uparci, cieszcie się raczej, że należycie do mnie; ja nigdy nie biję bez powodu moich niewolników, a może was dla siebie zostawię... Będziecie pisali za mnie, albo umieszczę was u jakich wielkich panów. Tam będziecie mieli wspaniałe szaty i będziecie bardzo szczęśliwi. No, jedzcie i śpieszcie się!...

— Nie,—odparł Janek,—ja niczego nie chcę i zamorzę się głodem, jeśli mi nie pozwolisz widzieć matki.

Leon powtórzył, jak echo:

— I ja także zamorzę się głodem.

I jakby pod wpływem nagłego wrażenia dodał:

— Kup także naszych towarzyszów, a będziemy ci we wszystkiem posłuszni... Nie skazuj nas na rozłączenie w imię twego Boga, w imię Allaha!

Jusuf odpowiedział na jego wykrzyknik pogardliwem milczeniem.

XIV.

Wśród cierpień.

Upór Janka i Leona, którzy nie chcieli przyjąć pożywienia, wywołał nieporozumienie pomiędzy Has-

sanem i Jusufem. Maurytanin posunął się do tego, że nawet uderzył więźniów, lecz chłopcy trwali w swem postanowieniu.

Upłynął dzień cały, wreszcie nad wieczorem Janek i Leon usłyszeli rozmowę, którą jednak niezbyt dobrze zrozumieli, gdyż była prowadzona w nieznanem im arabskiem narzeczu.

— Wszak mówiłem ci, że zapłaciłem za nich Mohamedowi-ben-Ali pięć tysięcy piastrów.

— Kłamiesz; ja mówię: cztery tysiące pięćset; to moje ostatnie słowo.

— Nie oddam za mniej niż sześć tysięcy.

— Bardzo dobrze, Hassanie-ben-Achmed; ale nie byliśmy jeszcze przed kadim, i jeszcze nie dotknąłem twojej dłoni. Nie skończę więc interesu dopóty, dopóki ci dwaj młodzieńcy jeść nie zaczną.

— Ale jakże, Jusufie! wszakże przyobiecałeś mi za nich trzy tysiące piastrów i miałeś mi je wypłacić dziś wieczorem.

— Owszem, dam je chętnie, jeśli tylko oni jeść zaczną.

Rozmowa ucichła. Po chwili Hassan przyniósł znowu jadło, którego jednak chłopcy nie przyjęli. Maurytanin uniósł się gniewem i chciał znowu bić nieszczęśliwe dzieci, którym gwałtem kładł w usta pożywienie, lecz Jusuf pochwycił go za rękę.

— Ja znam Francuzów,—rzekł,—w ten sposób postępując, nie dojdziesz z nimi do ładu. Chodźmy i zostawmy im jadło,—szepnął cicho,—nie potrafią oni długo opierać się cierpieniom głodu.

Wyszli, zamykając drzwi na łańcuchy. Pozostawszy w więzieniu, Janek i Leon wyrzucili jad-

ło przez zakratowane okienko zostawiając sobie tylko dzbanek z wodą, którą co chwila pili. Nim noc zapadła, przyszedł jeszcze raz jeden z kupców i przyniósł jakieś lepsze i smaczniejsze pożywienie.

— Jedzcie,—rzekł,—towarzysze wasi już odjechali, a ponieważ nie będziecie ich już nigdy widzieli...

— Może ty kłamiesz,—odpowiedział Janek,— ale jeżeli oni odjechali, jestem przygotowany na śmierć... bij mnie, zabij, ja pragnę śmierci!...

— I ja także!—dodał Leon.

Chociaż rozgniewany do najwyższego stopnia, renegat zdołał jednak zapanować nad sobą; wiedział bowiem, że bijąc niewolników, zmniejsza ich wartość. Zmartwiony powrócił do Maurytanina. Czyżby miał stracić tak korzystny interes?

Obaj niegodziwcy sprzeczali się jeszcze dość długo, gdyż żaden nie chciał nic odstąpić na korzyść drugiego.

Tymczasem więźniowie nie przyjmowali wcale pożywienia, chociaż do cierpień, wywołanych głodem, przyłączyły się jeszcze katusze pragnienia, gdyż wypili wodę z dzbanka, a świeżej nie przyniesiono im natomiast.

Na trzeci dzień Janek i Leon, budząc się z jakiegoś odrętwienia i jak gdyby snu letargicznego, ujrzeli promienie słońca, które przedzierały się przez zakratowane okienko, oświecając zarazem ciasne podwórko arabskiego domu. Janek zaczął się modlić, i nagle ogarnął go wstyd i wyrzuty sumienia. Teraz dopiero zrozumiał, że po-

stanawiając zamorzyć się głodem razem z Leonem, popełniłby samobójstwo!

— Leonie!—szepnął łagodnie.

— Co to?—zapytał gasnącym głosem Leon.

— Leonie, zapomnieliśmy o tem, że Bóg nie pozwala odbierać sobie życia, i że czyn taki jest podłością.

— A więc...

— A więc, Leonie, obowiązkiem naszym jest żyć i jeśli nam dadzą pożywienie, jeść będę.

Oczy Leona zabłysły radością; nieszczęśliwy— był bardzo głodny!

— Zrobię to, co i pan, panie Janie, — odrzekł.

Wkrótce wygłodzeni chłopcy spostrzegli mały koszyczek, ukazujący się w otworze muru; a koszyk ten wydał im się pełnym najsmaczniejszych rzeczy; chcieli go też czemprędzej pochwycić.

Usiłowania ich były nadaremne... Leżeli w przeciwległym kącie izdebki i nie mieli siły się podnieść, nawet wyciągnąć ręki. Chcieli wołać, ale głos ich był słabym szeptem, a ciało zdawało się pozbawione ruchu; nawet głowy dźwignąć nie mogli. Po wielu próżnych wysiłkach, Leon czołgając się, posunął się trochę dalej, ale do okienka dostać nie zdołał. Obydwaj zamknęli oczy i stracili prawie przytomność, zachowując jednak uczucie straszliwych cierpień, wywołanych głodem i pragnieniem, do których przyłączyły się jakieś dziwne halucynacye.

Leon wyobrażał sobie, że widzi ogrody, a w nich pełno drzew okrytych pysznymi owocami; Janek

mniemał, że ma przed sobą ciastka, które niezmiernie lubił i które matka często kupowała mu w Paryżu. Obudwu zdawało się, że dość wyciągnąć rękę, aby uchwycić ulubiony przysmak; ale owoce i ciastka oddalały się gwałtownie; pierwsze zbierała ciotka Anastazya, drugie zamykała pod klucz hrabianka Antonina.

— Niezmiernie to szkodzi zdrowiu, jeśli się zje za dużo odrazu...—mówiła kanoniczka i, rzecz dziwna, wymawiała to zdanie po arabsku.

Wreszcie z nadzwyczajnym wysiłkiem Janek otworzył najpierw jedno oko, potem drugie, aby zobaczyć ciotkę. Lecz wydał słaby okrzyk, gdyż zamiast ciotki, której się zawsze obawiał, ujrzał matkę, która podtrzymywała mu głowę i wlewała mu do ust po kropelce świeże mleko.

Marta w ten sposób postępowała z Leonem, a murzyn M'zour powtarzał w swojem narzeczu:

— To bardzo źle jeść i pić za wiele odrazu, gdy kto jest zanadto głodny i spragniony.

Odzyskawszy nieco siły, chłopcy spojrzeli dokoła, zdziwieni, że znajdują się na świeżem powietrzu, w cieniu drzew.

— Drogi, ukochany mój synu, — mówiła płacząc pani de Beaucourt.—Czy ty wiedziałeś, że popełniasz występek?

— Tak, matko, zrozumiałem to nakoniec...

Marcin, znajdujący się w pobliżu, zawołał z radosnem uniesieniem:

— Żaden członek rodziny de Beaucourt nie popełnił nigdy występku!

— Ale mamo, najdroższa mamo, czy my będziemy zmuszeni znów się rozłączyć?

— Nie, mój skarbie. Jusuf, ten drugi kupiec, przyprowadził mnie tutaj, abym cię ratowała, i powiedział, że kupił nas wszystkich od Maurytanina Hassana.

Wiadomość sprzedaży na takich warunkach ucieszyła więźniów. Pokazuje się, że wszystko na tym świecie jest względne, i to, co dla jednych wydawałoby się nieszczęściem, dla drugich jest źródłem radości.

Renegat również się cieszył, gdyż Mohamed, widząc chłopców prawie umierających, odstąpił mu wszystkich razem z murzynem za trzy tysiące piastrów, które mu Jusuf ofiarował. Wiedział on, że skoro chłopcy wrócą do zdrowia, sami więcej będą warci, niż potrójna cena, jaką zapłacił za wszystkich, i że będzie ich mógł sprzedać czy to w Egipcie, czy w Persyi, lub Turcyi. Przytem powtarzał sobie, że z czasem muszą się oswoić z myślą rozłączenia się...

Złość Hassana w jeszcze lepszy humor wprowadziła Jusufa.

— Widzicie, że się prawie zrujnowałem dlatego, aby was kupić wszystkich,—rzekł do więźniów.— Liczę więc na waszą wdzięczność. Jeżeli zobowiążecie się być łagodnymi i posłusznymi, nie każę was krępować więzami. Kobiety i ten starzec będą mogli jechać na wielbłądzie, wy zaś na koniach, jak zamożni Arabowie.

Naturalnie, że więźniowie obiecali być posłusznymi, i nazajutrz, o wschodzie słońca, karawana Jusufa puściła się w drogę.

Hassan z tłumionym gniewem patrzał za nimi, gdy przebywali kręte uliczki Laghuatu, a potem zaczął się mścić nad własnymi niewolnikami.

Karawana Jusufa składała się z Francuzów, M'zoura, dwudziestu obładowanych wielbłądów, kebirów i uzbrojonych murzynów, którym towarzyszyły potężne i prawie dzikie psy. Murzyni jechali konno, a groźne ich twarze bynajmniej nie wzbudzały zaufania; wprawdzie nie obchodzili się źle z więźniami, ale nie odstępowali ich ani na krok, a ta ich obecność nie dozwalała myśleć o ucieczce, o której marzyli Leon i Janek.

Gdy ruszano w drogę, Janek szepnął był do Leona:

— Wszak uważałeś, że Jusuf kazał nam przysiądz, abyśmy byli posłuszni, ale nie żądał słowa, że nie będziemy chcieli uciekać.

— Tak jest w istocie,—potwierdził Leon,—a więc możemy tego spróbować, gdy będziemy mijali jakie miasto.

Ale jakże myśleć o czemś podobnem w obecności uzbrojonych murzynów?

Kierowano się ciągle na wschód; niczego więcej nie mogli się domyślać więźniowie, gdyż nawet nazwy miejscowości nie wymieniano wobec nich. Gdy pytali się Jusufa o drogę, odpowiadał im niezmiennie:

— Nie wiem.

Albo:

— Nie powiem wam.

Zresztą Jusuf dotrzymał danego słowa: obchodził się dobrze z więźniami i żywił ich nieźle. Wszyscy, z wyjątkiem Marcina, odzyskiwali siły, gdyż obecna podróż, w porównaniu z poprzednią, była jeszcze dość znośną. Prawda, że upały nie zmniejszały się bynajmniej, ale do gorąca można się przyzwyczaić; wypoczynki bywały krótsze, lecz kobiety przyzwyczaiły się do jazdy na dużych wielbłądach z Laghuatu lepiej, niż na wielbłądach z Tell, a namioty Jusufa, utrzymywane z większą starannością, nie były tak nawiedzane przez zjadliwe owady, jak namioty Mohameda.

Podróż trwała już z tydzień; podróżni minęli rozległe płaszczyzny, jakiś ciasny wąwóz, potem wyschłe łożysko rzeki i wreszcie rzekę. Odpoczywano albo w karawanseraju, albo wśród pustyni.

Pewnego dnia jeden z wielkich psów, zapędziwszy się za stadem gazel, powrócił kulejąc, gdyż skaleczył sobie łapę o ostry kamień. Biednemu zwierzęciu krew broczyła z nogi obficie. Obóz rozłożono wtedy niedaleko wioski, lecz wody było tak mało, że zaledwie ludzie i zwierzęta mogli ugasić pragnienie; murzyni nie chcieli stracić ani kropelki kosztownego napoju na obmycie rany psa, który wył boleśnie. Wtem zniecierpliwiony Jusuf zawołał:

— Zabijcie to zwierzę, tylko żywo!

Marta, znajdująca się w pobliżu, zrozumiała jego słowa, rzekła więc, z trudnością dobierając słów arabskich:

— Pozwól mi pielęgnować psa.

— I owszem, ale jeśli wyć będzie, każę go zabić.

Marcin i pani de Beaucourt usnęli znużeni pod cieniem namiotu, a Marta, chociażby była chciała wezwać do pomocy murzyna, albo którego z chłopców, nie mogła tego uczynić, gdyż wszyscy znajdowali się na przeciwnym krańcu obozu. Dziewczę, idąc za popędem litości, przezwyciężyło trwogę i zbliżyło się do psa.

Z miseczką wody w ręku, Marta uklękła obok rannego zwierzęcia i, umaczawszy chustkę, obmyła mu zlekka ranę. Pies przestał wyć i, przysuwając pysk do miseczki, wypił wodę aż do ostatniej kropli. Potem leżał spokojnie, gdy Marta oglądała mu zranioną łapę. Wkrótce wydobyła z niej ostry odłamek kamienia. Przez cały czas opatrunku, zwierzę zdziwionym wzrokiem wpatrywało się w swoją opiekunkę... Widocznie była to dla niego rzecz niezwykła. Ludy koczujące, które tak pielęgnują troskliwie konie, nie mają najmniejszej litości nad psami i zabijają je, gdy są stare lub chore.

Zraniony pies nazajutrz kulał jeszcze, ale mógł już postępować za karawaną. Pomimo to, gdy Marta chciała go popieścić, pokazywał jej zęby. Janek i Leon żartowali z młodej dziewczyny, że pozbawiła się wody dla takiego niewdzięcznika, który nawet nie pamiętał o wyświadczonem mu dobrodziejstwie. Lecz Marta odpowiedziała z uśmiechem:

— Nikt tego psa nigdy nie pieścił, myślał więc zapewne, że i ja chcę go dręczyć. Co dla tego zwierzęcia uczyniłam, tego nie żałuję wcale.

— Marta dowodzi, jak filozof,—rzekła z uśmiechem pani de Beaucourt.—W istocie jest ona aniołem cierpliwości i pocieszenia. Gdyby nie ona, ani ja, ani mój dobry Marcin nie bylibyśmy przetrwali tych strasznych męczarni, na jakie nas skazało rozłączenie z Jankiem i Leonem.

— Niech ją Bog błogosławi!—rzekł stary sługa, kładąc drżącą rękę na głowie Marty.—Tak, — dodał,—ona ujrzy Francyę, i ty także, droga pani, i pan Jan i Leon, wszyscy razem wrócicie do kraju.

— A ty, mój przyjacielu? — spytała pani de Beaucourt, wzruszona natchnionym wyrazem twarzy starca.

— Ja ofiarowałem Bogu moje życie, jako okup za waszą wolność, i jest to jeszcze bardzo mała ofiara w porównaniu z tem, cobym chciał dla was uczynić.

Rozmowa ta prowadzoną była podczas odpoczynku, gdy więźniowie względną cieszyli się swobodą. Jusuf nie pozwalał im tylko oddalać się od namiotów, zresztą nie krępował ich w niczem, zadowolony tem, że odzyskują zdrowie. Tylko stary Marcin tracił wciąż siły. Wszystko zatem zdawało się sprzyjać Jusufowi, który obliczał już naprzód wszystkie możliwe korzyści.

W tej chwili M'zour zbliżył się do Francuzów, których polubił bardzo za ich ludzkie z nim obchodzenie się. Pani de Beaucourt, jak również i jej towarzysze starali się wpłynąć korzystnie na murzyna i rozwinąć nieco jego umysł. Cierpliwie więc odpowiadali na każde jego pytanie. Kiedy Leon

powiedział mu, o czem była mowa, M'zour zapytał przerażony:

— Ale gdy pojedziecie, to i mnie kupicie także? Ja nie zostanę niewolnikien złośliwego Jusufa?

— Nie,—odpowiedziała pani de Beaucourt,— jeżeli wrócimy do naszego kraju, zabierzemy cię, jako człowieka swobodnego, i będziemy się starali, aby również uwolnić twoją żonę i dzieci. Lecz czyż my sami kiedy odzyskamy wolność?

— Ufajcie Bogu,—odpowiedział Marcin.

— Jeżeli oddacie mi żonę i dzieci, — odezwał się murzyn, — zostaniemy waszymi niewolnikami, a potomkowie nasi będą służyli waszym dzieciom.

W tej chwili karawana ruszyła w dalszą drogę, i rozmowa z murzynem została przerwana. M'zour nie dowiedział się nic więcej o niewolnictwie lub swobodzie ludzi.

XV.

Pułkownik i kapitan Sauvaire zjawiają się znowu.

Już od tygodnia pułkownik de Beaucourt i kapitan Sauvaire powrócili do Algeru, po długiej, utrudzającej i niebezpiecznej podróży. Gdy przybyli do Maskary, emir nie chciał się z nimi widzieć, lecz przysłał im straż, która miała ich przeprowadzić w bezpieczne miejsce. Na zapytanie jednak pułkownika, proszącego o audyencyę, czyli po-

słuchanie, emir kazał w następujący sposób odpowiedzieć.

„Lituję się nad tobą i chciałbym ci dopomódz w odzyskaniu rodziny; pragnąłbym także wiedzieć, w jakiej miejscowości ukrywają się rabusie, których się wypieram, gdyż oni nie są prawdziwymi synami Proroka. Radzę ci jednak, abyś wracał do domu, gdyż wierni moi poddani nie pozwoliliby mi utrzymywać stosunków z niewiernymi; ufaj słowu Abd-el-Kadera. Jeżeli on się dowie o czemkolwiek dotyczącem twojej rodziny, da ci zaraz znać o tem przez swych dawnych towarzyszów, mieszkańców Al-Dżezairu."

Dowódca straży, przydanej pułkownikowi, naglił Francuzów do odjazdu i doprowadził ich blizko miejscowości, zajętych przez wojska francuskie.

Śledztwo, jakie z tego powodu przedsięwzięto w Algerze, nie doprowadziło także do żadnego skutku. Pułkownik przypuszczał, że skoro uwolnią Mustafę i będą go potajemnie śledzili, wpadną może na jaki ślad zaginionych. Ale stary pielgrzym nie opuszczał swej samotni, a ponieważ nikt nawet nie wspominał o istnieniu Mohameda, ani w Algerze, ani w Karmusie, nie dowiedziano się więc, że żyje podobny człowiek na świecie.

Pułkownik nie wychodził prawie z mieszkania, z gorączkową niecierpliwością oczekiwał powrotu posłańców, których wysłał w różne strony. Sauvaire pomagał mu w poszukiwaniach, a jego szczera przyjaźń i niezachwiana nadzieja dodawały sił pułkownikowi, którego nieszczęście z każdym dniem zdawało się zwiększać.

Jednego południa obydwaj mężczyźni zajęci byli odczytywaniem urzędowych papierów, przysłanych panu de Beaucourt przez gubernatora. Był to raport, który jednak nie rozjaśniał bynajmniej tajemniczej sprawy. Zwierzchnik policyi w Algerze powtarzał już wielokrotnie czynione wnioski, dowodząc, że mieszkańcy Karmusu nie mogli być zamordowani, ani uprowadzeni w głąb Afryki, lecz że zostali uwięzieni gdzieś w pobliżu Sahel.

Pułkownik zaś i Sauvaire mniemali przeciwnie, że więźniowie i rabusie wsiedli na jaki okręt, niedaleko Algeru. Widzimy, że żadne z tych przypuszczeń nie zbliżało się do prawdy.

— Mój przyjacielu, czas już na ciebie, żebyś wracał,—rzekł pewnego dnia pułkownik do kapitana Sauvaire'a;—z pewnością naraziłeś swą przyszłość, bawiąc tak długo na lądzie. Właściciele okrętów myślą, że znajdujesz się w Gabes, a towar twój może uledz zepsuciu.

— Wszystko to prawda,—z westchnieniem odpowiedział kapitan;—ale przyznam się, że nie mam do niczego ochoty... Gdybyś chociaż pan mógł jechać ze mną, kiedy masz urlop, a tu na żaden ślad trafić nie możesz... Kto wie, czegobyśmy się tam dowiedzieli?... A przytem rozerwałbyś się pan trochę w podróży...

— Niestety, mój drogi Sauvaire, mnie już nic nie może zabawić, ani rozerwać, i nie łudzę się nawet nadzieją, abm gdzieindziej wpadł na ślad prawdziwy. Jednakże ty dowiaduj się zawsze i wszędzie; co do mnie, pozostanę w miejscu. Zdaje mi się, że oddalając się od Karmusu, tracę już wszelką nadzieję

— Mój pułkowniku, czy mogę, nie obrażając ciebie, zadać ci jedno pytanie?

— I owszem, mój przyjacielu!

— Jaką odpowiedź otrzymałeś od ciotki? Czy ci odpisała?

Pułkownik przecząco wstrząsnął głową. Nie, kanoniczka nie dała ani znaku życia, chociaż brat uwiadomił ją o swojem nieszczęściu.

Na twarz kapitana Sauvaire'a silny wystąpił rumieniec i, spuszczając oczy, w te odezwał się słowa:

— Wiem, że wynagrodzenie usług policyi kosztuje bardzo drogo; ja zaś mam dosyć oszczędności i nie wiem, co robić z pieniędzmi, a przytem lękam się złodziei. Oddałbyś mi więc, pułkowniku, wielką przysługę, gdybyś chciał pożyczyć ode mnie kilka tysięcy franków.

Pan de Beaucourt uśmiechnął się i, ściskając dłoń zacnego człowieka, którego delikatny postępek umiał właściwie ocenić, rzekł:

— Przyrzekam ci, że w razie potrzeby udam się najpierw z prośbą do ciebie, dotychczas jednak dochody moje wystarczają mi aż nadto.

Sauvaire chciał jeszcze nalegać, kiedy lekkie pukanie do drzwi przerwało mu mowę, i na progu ukazał się żołnierz rodem z Alzacyi.

— Pułkowniku,—rzekł,—jest tu za drzwiami jakiś szkaradny człowiek, który pragnie się z pułkownikiem rozmówić. Twierdzi on, że pan pułkownik będzie zadowolony z jego widoku. Ja chciałem go odpędzić, ale on nie chce odejść.

— Każ mu wejść!

Po chwili żołnierz wrócił, prowadząc starca.

Jedno spojrzenie wystarczało, aby potwierdzić zdanie, wypowiedziane przez żołnierza.

Wychudłą postać starca okrywał wytarty i zbrukany burnus; ręce chude, jak u szkieletu, wspierały się na brudnych kijach; z pod wyszarzanego turbanu wyglądała twarz, bardziej podobna do małpiej, niż do ludzkiej, ciemna i pomarszczona. Wązkie i zaciśnięte wargi otwarły się z trudnością dla wypowiedzenia zwykłego u muzułmanów powitania.

Pułkownik mówił doskonale po arabsku, oddał więc powitanie i spytał jeszcze:

— *Uach-enta?*

To znaczy: jak się masz?

Nie odpowiadając na pytanie, starzec szepnął stłumionym głosem, ale bardzo poprawnie, po arabsku:

— Chcę pomówić z tobą na osobności.

Pułkownik odprawił żołnierza, następnie rzekł:

— Teraz nie usłyszy nikt naszej rozmowy, gdyż mój przyjaciel nie rozumie po arabsku. Powiedz więc, kto jesteś i jak się nazywasz?

Wychudła postać spojrzała niedowierzająco na kapitana Sauvaire'a i widocznie była niezadowolona z jego obecności, jednakże odpowiedziała:

— Jestem *taleb,* czyli doktor, i nazywam się Fatmeh.

— Jesteś doktorem i nazywasz się Fatmeh!— zawołał z podziwieniem pułkownik.—Ależ to jest imię kobiece?...

— Bo też w istocie kobieta przemawia do ciebie. Mój ojciec był sławnym doktorem i nauczył mnie niegdyś tajemnic swej sztuki.

— Pójdziemy za firankę, gdzie będziesz mogła swobodnie uczynić mi zeznanie, — rzekł pułkownik.

Stara uspokoiła się, i gdy pułkownik poprowadził ją na drugi koniec pokoju, mówiła długo, odpowiadając na wszelkie jego zapytania. Nareszcie odeszła, co krok potykając się. Gdy przechodziła koło kapitana, wykrzywiła się w straszliwy sposób, a jeszcze bardziej na żołnierza, stojącego na straży.

— To z pewnością dyabeł!—zawołał ten ostatni, stawiając się na wezwanie swego pana.

— Albo raczej żona szatana,—dodał Sauvaire.

Pułkownik wydał się głęboko wzruszony.

— Daj dobrze jeść mojemu koniowi, — rzekł do Alzatczyka,—i osiodłaj go na szóstą godzinę po południu.

— Czy ja będę towarzyszył panu pułkownikowi?

— Nie, pojadę sam; zobaczysz także, czy mam dobrze nabite pistolety.

Gdy żołnierz oddalił się, pułkownik zadowolił ciekawość swego przyjaciela.

— Ta stara przyszła do mnie z propozycyą targu,—rzekł.—Obiecuje ona oddać mi zdrową i całą moją córkę, jeżeli przyniosę dwa tysiące piastrów w srebrze lub złocie na miejsce, które czarownica mi wskazała, przyjąwszy ode mnie poprzednio przysięgę, że nie wskażę nikomu tej miejscowości i że udam się tam sam jeden. Przysiągłem więc.

— Co?—podchwycił kapitan.

— Wiem, wiem, co myślisz, mój przyjacielu. Być może, iż chcą mnie wciągnąć w zasadzkę, aby mnie okraść, lub zamordować. Ale jeżeli ta stara działała w dobrej wierze, to okazując jej nieufność, stracę może jedyną sposobność odzyskania ukochanego dziecięcia.

— Pozwól mi towarzyszyć sobie... chociaż z daleka.

— Nie; dałem słowo honoru, że udam się sam na wskazane miejsce, nie wyjawiając żadnej żywej duszy o celu mojej wycieczki.

— Zapewne pytałeś się także starej o to, co się stało z innymi mieszkańcami Karmusu?

— Ma się rozumieć, lecz zaklinała się na Allaha i Proroka, że nic o tem nie wie.

— A czy masz, pułkowniku, te dwa tysiące piastrów, lub też, czy spełnisz ten miłosierny uczynek, przyjmując je z mojej ręki?

— Nie posiadam nawet czwartej części tej sumy, mój przyjacielu, przyjmuję więc od ciebie te pieniądze i będę ci za nie nieskończenie wdzięczny.

— Nie mów mi o wdzięczności, mój pułkowniku. Pieniądze te zupełnie mi są niepotrzebne; przeciwnie ja będę ci wdzięczny za to, że je bierzesz... Biegnę na okręt przynieść je i zamienić bankowe bilety na złoto. Wrócę za godzinę, czy to nie będzie zapóźno?

— Nie, nie, ja puszczę się dopiero w drogę o zachodzie słońca. Tylko dotrzymaj tajemnicy.

— Będę milczał, jak grób!—odpowiedział Sauvaire.

W godzinę potem osiodłany koń czekał na swego pana, a kapitan przyniósł woreczek napełniony złotem. Nie chcąc słuchać podziękowań, kapitan przedstawił pułkownikowi plan przez siebie ułożony.

— Posłuchaj mnie, pułkowniku,—rzekł,—podzielam w zupełności twoje zdanie, że dane słowo rzecz święta; ale gdy wracałem ze statku, przyszła mi do głowy myśl jedna...

— Słucham cię,—rzekł pułkownik, pisząc dowód na dług zaciągnięty. — W razie jakiego nieszczęścia, wiem, że siostra uzna mój podpis i wróci dług z podziękowaniem.

— Nie dowierzasz mi, panie de Beaucourt?

— Nie mów niedorzeczności, mój przyjacielu: mogę przecież nie wrócić stamtąd.

— Powrócisz, powrócisz, zapaliłem na tę intencyę gromnicę przed Matką Boską. Ale nie mów mi o żadnych dowodach, bo się naprawdę pogniewamy!

— No, więc już milczę; powiedz mi tylko, co za myśl przyszła ci do głowy?—odrzekł pułkownik, przyrzekając sobie jednak w duchu pozostawić pomiędzy papierami weksel na dług zaciągnięty.

— Otóż sądzę, że uczynisz najlepiej, pułkowniku, wyjawiając w zapieczętowanej kopercie miejsce umówionej schadzki, ja zaś, Maryusz Sauvaire, daję słowo, że otworzę kopertę wtedy dopiero, gdy upłynie czas oznaczony, a ty nie wrócisz. Oznacz sam zwłokę, jaką uważasz za właściwą, bo jeśli ci niegodziwcy i ta dyablica, ich wspólniczka, posta-

nowili wciągnąć cię w zasadzkę, tem samem zostajesz zwolniony z danego słowa, nie prawdaż?

— Tak jest; doskonały pomysł przyszedł ci do głowy, mój przyjacielu,—odpowiedział pułkownik i natychmiast zabrał się do napisania żądanego listu.

Skończywszy, włożył go w kopertę i zapieczętował herbowną pieczęcią, potem rzekł:

— Otóż wszystko gotowe, ufam ci nieograniczenie, mój przyjacielu. Jeżeli nie wrócę za dwie godziny, otworzysz ten list, ale nie wcześniej, pamiętaj! Trzeba wszystko przewidzieć, nawet niespodzianą zwłokę, dlatego też wskazuję w liście drogę, którą będę wracał. Bądź zdrów! ruszam w imię Boga!

Gdy pułkownik odjechał, było już około ósmej wieczorem. Sauvaire przyprowadził z sobą czterech odważnych ludzi ze swojej załogi okrętowej i kazał mieć w pogotowiu dwa dobre, osiodłane konie. Potem ze wzrokiem, utkwionym w zegar, czekał w mieszkaniu pana de Beaucourt chwili, w której wskazówki dojdą do godziny dziesiątej.

XVI.

Zasadzka.

Słońce skryło się już na horyzoncie, gdy pułkownik de Beaucourt wsiadł na konia. Minął kilka wązkich ulic, pomnik rabina Barchichada, miejsco-

wość Khasbah i, wspinając się po skalistych wyniosłościach dawnego Algeru, wyjechał przez bramę Sahel. Tu musiał oddać do rewizyi kartę wolnego przejazdu, w którą się zaopatrzył.

Minąwszy nędzną wioskę El-Biar, znajdującą się o pięć kilometrów od Algeru i popędzając konia, przybył do połowy wzgórza Bu-Zaréa, to jest miejscowości, którą mu wskazała stara, dodając, że tam znajdzie przewodnika. W istocie przy blasku księżyca ujrzał ludzką postać, która, podnosząc się nagle, przestraszyła mu konia.

Jakiś człowiek, owinięty białym burnusem, stał nieruchomy przed pułkownikiem. Pan de Beaucourt spytał go po arabsku:

— Czy tu kończy się cel mojej podróży?

— Nie tu, ale bardzo blizko,—odparł ów człowiek. — Chodź za mną, ale pierwej zsiądź z konia i uwiąż go w tych krzakach.

— Czy nie mogę konia poprowadzić z sobą?

— Nie, ścieżka jest tak niewygodna, że zaledwo pieszy człowiek przebyć ją zdoła.

Pułkownik zawahał się chwilę, ale wreszcie zastosował się do tego żądania; przywiązując jednak konia, ukrył zręcznie pistolety pod mundurem i poszedł za swoim przewodnikiem.

Był to młody Arab, niczem nie różniący się od innych ze swego pokolenia, ubrany niedbale i brudno.

Przez kwadrans pięli się obadwaj po ścieżce, wijącej się wśród ślizkich skał, okrytych krzakami i cierniami. Nareszcie zatrzymali się przed nędznym i nizkim domkiem, który miał tylko jedne

drzwi, a żadnego okna, jak większa część chat arabskich. Domy te, czy są piękne, czy brzydkie, wielkie lub małe, przyjmują światło tylko od strony wewnętrznego podwórza, na dachu zaś mają płaski taras.

Arab odemknął drzwi, i pułkownik znalazł się w dość obszernej izbie, słabo oświetlonej przez zakopconą lampkę.

Przez chwilę nowoprzybyły nic nie mógł rozróżnić, ale słyszał wyraźnie jakieś szepty. Oswoiwszy się wreszcie z tym półcieniem, naprzód spostrzegł starą Fatmeh, potem jakąś młodą i wysmukłą postać, której rysy twarzy nie były mu obce.

— M'riem! — zawołał pan de Beaucourt i zadrżał.

M'riem była to jedna ze służących Maurytanek, które znajdowały się w Karmusie podczas wypadku, i była właśnie niańką małej Anusi.

M'riem nic nie odpowiedziała, tylko położyła palec na ustach i, chwytając jedną ręką lampę, drugą podała pułkownikowi, ciągnąc go za sobą w głąb pokoju. Potem, skierowawszy światło na stos gałganów, szepnęła przytłumionym głosem:

— Spojrzyj, ale nie krzycz, nie przemów nawet ani słowa, gdyż ona mogłaby cię usłyszeć, a wtedy zabiliby cię!

Pan de Beaucourt zapanował nad swem wzruszeniem i upadł na kolana, przejęty radością i szczęściem.

Wpośród najrozmaitszych strzępów, na baraniej skórze, mała dziewczynka spała snem spokojnym. Cera jej była świeża i zdrowa, różowe usteczka roz-

chylały się uśmiechem; małe, zabrukane rączki spoczywały na koszulce cienkiej, ale nie świeżej.

Dziewczynka nagle się obudziła, i wzrok jej padł na klęczącego ojca. Wówczas radośnie wyciągnęła do niego rączki i rzekła:

— Jak się masz, tatusiu!

Pułkownik porwał ją w ramiona, przycisnął do serca i zaczął okrywać pocałunkami. Dziewczynka odpłacała mu również pieszczotami i szczebiotała bez ustanku, jak ptaszki zrana i dzieci, które są zdrowe i szczęśliwe.

Cała ta scena nie trwała dłużej nad dwie minuty; M'riem odezwała się półgłosem, wskazując starą:

— Daj jej przyobiecaną sumę, zabierz twoją córkę i uciekaj!

Potem, zniżając głos jeszcze bardziej i korzystając z brzęku spowodowanego poruszeniem złota, które przechodziło z ręki do ręki, Maurytanka dodała:

— Nie pytaj mnie o nic więcej i jak najprędzej opuść te miejsca! Niech Allah i Prorok towarzyszą ci i oddadzą ci tych, których stratę opłakujesz... Wszyscy oni żyli po pożarze... więcej nic nie wiem!...

Stara odebrała woreczek ze złotem i cmoknęła językiem. Na to wezwanie ukazał się młody przewodnik i wywiódł z izby ojca, dźwigającego swój drogocenny ciężar. Wtem przestraszona dziewczynka zaczęła krzyczeć, gdyż nagle z dwóch stron przeciwnych zjawiło się czterech ludzi, zagradzając drogę pułkownikowi; wszyscy byli w burnusach i turbanach.

— Czego chcecie?—zapytał ich pan de Beaucourt.

— Chcemy twego życia, — odpowiedział głos jeden.

W tej chwili nadbiegła M'riem i drżąca, podnosząc ręce do góry, jakby do klątwy, zawołała:

— Jesteście *keb* i *dżifa!* (co znaczy po arabsku: psy i gałgany), gdyż zobowiązaliście się słowem względem tego, któremu przejście tamujecie...

— Odejdź, — odpowiedział jeden z napastników, — odejdź! czy się nie wstydzisz bronić chrześcijanina?

Korzystając z tej sprzeczki, pułkownik położył wśród kępy kaktusów małą Anusię, która płakała ciągle, a sam, oparłszy się plecami o odłam skały, znajdującej się obok, chwycił za pistolety. W ten sposób mógł być tylko atakowany z przodu, ale mając tylko do rozporządzenia cztery strzały, a przytem do ocalenia córkę i czterech, a może i więcej nieprzyjaciół do zwalczenia, nie łudził się co do rezultatu walki; wiedział, że Sauvaire nie zdoła przybyć w porę.

Jednakże widok pistoletów, których lufy błyszczały w promieniach księżyca, onieśmielił trochę rozbójników. Tymczasem M'riem nie przestawała obrzucać ich obelgami. Nareszcie jeden z nich chwycił wpół młodą dziewczynę i odciągnął ją daleko na wązką ścieżkę, a potem z dużym nożem w ręce rzucił się na pułkownika, sądząc, że napadnie go znienacka i zwycięży. Ale pułkownik miał się na baczności i dał ognia. Napastnik pochylił się i upadł na ziemię. Inni rabusie cofnęli się in-

stynktownie, podczas gdy pan de Beaucourt wystrzelił jeszcze trzy razy. Strzały były trafne, wszyscy napastnicy byli ranni i upadli na ziemię. Wtedy pułkownik chwycił córkę i szybko zbiegł ze wzgórza; szczęśliwym trafem, udał się właśnie tą samą drogą, którą tu przybył. Po chwili znalazł konia, niecierpliwie ziemię nogą grzebiącego. Odwiązać go, wskoczyć na siodło i popędzić galopem było dziełem jednej chwili.

Zwierzę, pobudzone ostrogami, pędziło jak wicher.

Na szczęście, droga była równa; z jednej strony znajdowały się skały, z drugiej przepływała rzeczka. Wkrótce zabłysły światła z okien Algeru, i nadzieja zaczęła się budzić w sercu pułkownika. Wtem usłyszał za sobą tętent wielu koni, i kula świsnęła mu koło ucha. Przestraszony koń zaczął unosić. Pułkownik czuł, że dziecię, które podtrzymywał jedną ręką, nie dozwalało mu utrzymać równowagi, jeden więc fałszywy skok konia, a on i dziecię będą zgubieni... Przeczucie nie myliło go: koń potknął się o kamień i upadł na przednie nogi, a choć się zerwał natychmiast i zaczął biedz dalej, stracił jedną podkowę i zaczął kuleć, przez co ścigający zbliżali się coraz więcej. Nie strzelali przecież z obawy, aby nie obudzić czujności francuskich straży, znajdujących się niedaleko.

Pan de Beaucourt nie stracił zimnej krwi i już chciał przebyć wpław niezbyt szeroką rzekę, ale skaliste i dość wyniosłe jej wybrzeża czyniły ten zamiar niebezpiecznym. Nagle koń jego potknął się znowu, i jeździec spadł z konia, trzymając ciągle

w objęciach dziewczynkę, krzyczącą przeraźliwie. Odurzony upadkiem pułkownik słyszał niedokładnie głosy ścigających go ludzi i tętent koni. Widocznie nieprzyjaciele otaczali go dokoła, a w pomoc przybywali im wspólnicy z Algeru. Po chwili, gdy odzyskał przytomność i otrzeźwił się z tego półomdlenia, w powietrzu dał się słyszeć huk kilku wystrzałów, a gdy na dobre otworzył oczy, ujrzał przy sobie dwóch ludzi, ubranych po europejsku.

— A to szczęście, wielkie szczęście!—wołał jeden z nich.—Wszystko to jednak zawdzięczamy Matce Boskiej... Czy nie jesteś raniony, mój pułkowniku?... A maleństwo?

I kapitan Sauvaire, on to był bowiem, z pomocą jednego marynarza, pomógł pułkownikowi podnieść się z ziemi, potem wziął na ręce małą Anusię, którą usiłował uspokoić. W tej chwili nadjechali inni ludzie, i jeden z nich rzekł do dzielnego kapitana.

— Rabusie umknęli przed nami! Tam na zakręcie drogi przerzucili się na drugą stronę rzeki... Chcieliśmy ich ścigać, ale konie nasze nie umiały przeskoczyć rzeki, jak to uczyniły ich arabskie rumaki. Zawróciliśmy więc, aby się zapytać o dalsze rozkazy.

— Dobrzeście zrobili,—odrzekł kapitan.—Niech jeden z was przyprowadzi konia dla pułkownika. Wrócimy wszyscy do Algeru, gdyż obawiam się nowej zasadzki.

Kiedy mały orszak kierował się ku bramie Sahel, Sauvaire opowiedział swemu przyjacielowi, że po upływie dwóch godzin przeczytał list i wyjechał ze swymi ludźmi, ale nim dostał po-

zwolenie na wyjazd z miasta, upłynęło także sporo czasu. Wreszcie skoro się wydostali za mury Algeru, jechali z pół godziny, nim usłyszeli wystrzał i spostrzegli na drodze, oświetlonej blaskiem księżyca, jeźdźców okrytych burnusami i pędzących co sił wystarczy. Sami więc pognali konie i wkrótce potknęli się o rumaka, który im zagradzał drogę.

— Otóż i koń pułkownika!—zawołał Sauvaire i, zeskakując na ziemię, spostrzegł leżącego bez przytomności pułkownika, a obok niego małą Anusię.

— W tej chwili—ciągnął dalej kapitan,—rozbójnicy zatrzymali się i dali ognia, potem zawrócili się, ścigani przez moich trzech ludzi... Resztę wiesz dobrze.

Mały orszak bez przeszkody dostał się do Algeru; ale gdyby kto nazajutrz rano wszedł był do pokoju pana de Beaucourt, zobaczyłby dwóch mężczyzn, stojących w wielkim kłopocie przy łóżku, na którem płakała mała dziewczynka, nie chcąc się pozwolić ubrać w sukienki, które ojciec wyciągnął z szafy. Panienka krzyczała także nad filiżanką zimnego mleka, gdyż lubiła tylko mleko gorące, i do tego dobrze ocukrzone. Nie miała też ochoty, aby jej obmyto brudną buzię, ani też nie chciała zamoczyć nóżek w misce ciepłej wody.

— Mamo! mamo!—wołała.—R'iem! R'iem!

Pomimo wczesnej porannej godziny, zakłopotany ojciec chciał już prosić o pomoc której z pań, mieszkających w sąsiedztwie, gdy żołnierz, będący dnia tego na służbie, rzekł:

— Proszę pana pułkownika, gdybym śmiał, uczyniłbym panu pułkownikowi jedną propozycyę·

— Mów,—odpowiedział pan de Beaucourt, gdy tymczasem Sauvaire pozwalał Anusi psuć zegarek, którą to zajęcie wreszcie nieco rozweseliło.

— Jest tu dziewczyna z moich stron... nazywa się Gretchen.

— A cóż mnie to obchodzi, mój Boże!

— Proszę pana pułkownika, Gretchen ma zostać moją żoną, gdy ukończę służbę; przyjechała ona do Algeru z generałem, jako niańka jego dzieci, a że dziś generał powraca do Strasburga, więc i Gretchen musiałaby też wracać. Lecz przykro jej, że musi się ze mną rozłączyć, i wiem, że byłaby bardzo rada, gdyby pan pułkowuik chciał ją wziąć do służby.

Pułkownik po krótkim namyśle uznał projekt za bardzo dobry. Wyszedł więc, aby się porozumieć ze służącą, która zgodziła się chętnie i, zaopatrzona w doskonałe świadectwo, wieczorem objęła swoje obowiązki u pana de Beaucourt.

Gretchen okazała się jak najlepszą dozorczynią; nakłoniła pannę Annę nie tylko do tego, że się pozwalała odpowiednio ubierać, ale jeszcze odzwyczaiła ją od uporu i zaciskania pięści, gdy jej się co nie podobało.

Kiedy po kąpieli Gretchen ubierała dziewczynkę, ujrzała na jej nóżce dużą, zabliźnioną już ranę, którą pokazała ojcu. Nigdy się jednak nie dowiedziano, w jaki sposób była zraniona. Być może rabusie, zabiwszy nieszczęśliwego Azora, chcieli także zabić córkę pułkownika, którą jednak Maurytanka obroniła od śmierci.

Nazajutrz po opisanych wyżej wypadkach, gubernator Algeru dał panu de Beaucourt oddział żołnierzy dla zwiedzenia miejscowości, gdzie urządzono zasadzkę. Udano się tam, ale widok chaty opuszczonej, otoczonej dokoła krzakami, czynił wrażenie pustkowia, od dawna przez nikogo niezamieszkanego. Pułkownik mógł był mniemać, że całe zdarzenie było tylko wynikiem rozbujałej wyobraźni, gdyby nie ślady skrzepłej krwi w pobliżu kępy kaktusów, która stwierdzała rzeczywistość walki i ran zadanych napastnikom. Napróżno jednak przetrząsano okolicę i domy niedaleko bramy Sahel. Policya udała się nawet do Ruita, aby na nowo badać Hadżego Mustafę. Lecz Mustafa już nie żył, i sąsiedzi wracali właśnie z jego pogrzebu.

Zaledwie w kilka miesięcy później dowiedziano się z zeznań więźnia Kabyla, że Mustafa zginął niedaleko Algeru, zabity przez chrześcijanina, na którym chciał pomścić śmierć swego siostrzeńca. Po porównaniu dat nie ulegało wątpliwości, że to właśnie pułkownik de Beaucourt zranił śmiertelnie Mustafę; ale co się stało z M'riem i Fatmeh, oraz innymi Arabami, należącymi do napaści, o tem nie dowiedziano się nigdy. Co do uwięzionego Kabyla, ten dowiódł, że nie brał udziału w napaści.

A teraz powrócimy do kapitana Sauvaire'a, tego dzielnego człowieka, i do jego statku, kołyszącego się w porcie na falach morskich.

XVII.

Na wybrzeżu Gabes.

Pożegnawszy się z pułkownikiem, Sauvaire wrócił na pokład swego statku i zaraz wyruszył w drogę.

Okręt miał złożyć zapas zboża na przylądku nad zatoką Gabes i wracać następnie do Marsylii z ładunkiem daktyli, owoców, kości słoniowej i innych towarów, które przywoziły karawany ze wschodniej części Tunisu.

W tym czasie nowe powołanie do broni przez emira utrudniało niezmiernie stosunki z innemi prowincyami muzułmańskiemi, sąsiadującemi z Algerem, i handel zamienny prowadzono głównie pod osłoną bander włoskich. W Tunisie okręty kupieckie francuskie mogły być zrabowane, i władza krajowa nie mogłaby się za nimi ująć.

Gdy zbliżano się do brzegów, kapitan kazał wywiesić flagi królestwa Obojga Sycylii, poczem okręt wpłynął do zatoki Gabes i zarzucił kotwicę o dwie mile od miasta tego samego nazwiska.

Tego roku szarańcza zniszczyła zasiewy na całem tunetańskiem wybrzeżu, a więc zboże, które przywiózł kapitan, sprzedane było bardzo korzystnie na targu Dżarra, odbywającym się na jednej z dwóch dużych oaz w pobliżu Gabesu.

Statek, naładowany miejscowymi towarami, czekał już tylko na wiatr przyjazny, aby się puścić w podróż z powrotem. Kapitan klął od czterdzie-

stu ośmiu godzin, gdyż wiatr wiał ciągle przeciwny. Dopiero na trzeci dzień rano Sauvaire wydał okrzyk radości, gdy wyszedł na pokład okrętu. Wiatr zmienił w nocy kierunek, i można było mieć nadzieję, że przed południem okręt wyruszy w drogę.

Po poświadczeniu papierów u władzy miejscowej, kapitan otrzymał pozwolenie odjazdu. Oprócz

Marynarze, popychając przed sobą beczki, zaczęli wspinać się po skalistem wybrzeżu... (Str. 224).

tego musiał się dobrze opłacić konsulatowi włoskiemu za to, aby uznał statek i załogę za swoich krajowców.

W chwili, gdy Sauvaire wydawał rozkazy, pomocnik jego oznajmił, że zapas słodkiej wody, uczyniony przed trzema dniami, okazuje się niedostatecznym, i że należy jeszcze posłać na ląd po wodę.

— Bardzo dobrze, spuśćcie szalupę na wodę,— odpowiedział kapitan.—Ja popłynę także, i gdy marynarze pójdą po wodę, wyprostuję sobie trochę nogi na lądzie.

Łódź z ośmiu marynarzami i kapitanem skierowała się wkrótce w stronę lądu, gdzie straż nadbrzeżna, sprawdziwszy papiery, pozwoliła im dalej płynąć w górę rzeki. Gdy przepłynęli z pięć mil, kapitan kazał się zatrzymać, i marynarze, popychając przed sobą beczki, zaczęli wspinać się po skalistem wybrzeżu, aby dojść do studni, które dostarczały na całą okolicę wody zdatnej do picia.

Sauvaire postanowił przejść się trochę, ale przedtem zapytał ludzi, przeznaczonych do pilnowania łodzi:

— A macie pistolety?

— Mamy, kapitanie.

— Ja także mam swoje, — dodał kapitan. — Ostrożność nie zawadzi, nabijcie więc broń; w konsulacie mówiono coś o zwycięstwie Abd-el-Kadera. Zdaje mi się, że pogłoska ta jest fałszywą, ale w każdym razie oddziaływa ona na wyobraźnię krajowców. Strzelajcie jednak tylko wtedy, gdybyście się potrzebowali bronić.

Sauvaire wszedł stromą ścieżką na pagórek i zaczął się przypatrywać okolicy. W pewnej odległości widać było ruiny rzymskie, z jednej strony poza górami oazy, poniżej zaś płynął strumień, a nad nim wznosiła się jeszcze jedna oaza, wśród której połyskiwały białe ściany domków. Dalej na widnokręgu połyskiwały fale morskie.

Marynarze, napełniwszy beczki wodą, zaczęli je popychać przed sobą, ale szło im to trudno z powodu nierówności gruntu.

Sauvaire, siedząc przed palmowem drzewem, oczekiwał cierpliwie ich powrotu, gdy naraz okropny huk dał się słyszeć w powietrzu, a następnie podniosła się z ziemi chmura pyłu, jakby trąba powietrzna. Było to w miejscu, gdzie znajdowała się nawpół wykopana studnia. Tuman kurzawy zaćmił przez kilka minut blask promieni słonecznych, a drobne kamyki i odłamki skał, rozlatując się na wszystkie strony, poraniły zlekka marynarzy *).

Przypisując ten fenomen działaniu pioruna, Sauvaire pobiegł do swoich ludzi, którzy nieruchomie leżeli na ziemi; myślał, że już ostatnie wydają tchnienie, i w istocie, gdy się do nich zbliżył, zaczęli wołać, że już nie żyją. Kapitan roześmiał się z ich strachu i nazwał zmokłemi kurami; potem kazał im dalej pchać beczki.

— Chciałbym jednak wiedzieć,—dodał,—skąd pochodził ten wybuch?

— Zapewne piorun, czułem to doskonale,— odezwał się jeden z marynarzy.

— Ależ, niedołęgo, ty czułeś tylko trwogę! Skądżeby piorun, gdy niebo jest tak czyste... ale, co to?—zawołał nagle, przerywając rozpoczęte zdanie.

---

*) Strabon, geograf grecki, mówił o podziemnych rzekach, znajdujących się w tej stronie Afryki i wydobywających się nagle na powierzchnię ziemi, przez jakikolwiek otwór, z nadzwyczajnym hukiem i gwałtownością. Podobne zjawisko przytrafiło się o dwanaście kilometrów od Gabes, w roku 1886.

Marynarze odwrócili się od beczek i zdjęci niewytłomaczonym strachem, spodziewając się nowego wybuchu, spojrzeli w stronę, w którą zwrócił się kapitan. Na równinie, może o kilometr odległości, spostrzegli tuman kurzu, który się powiększał, potem rozszerzał, aż wyłoniła się z niego jakaś masa o kształtach niepewnych, powiększając się z każdą chwilą.

Najpierw ukazał się wielbląd, dźwigający na sobie coś czarnego i białego, potem za wielbłądem trzech mężczyzn, z których jeden był wysokiego wzrostu, a dwaj znacznie niżsi; przy nich biegł pies okazałego wzrostu. W niewielkiej za tym orszakiem odległości jechało kilku Arabów, gdyż zdala widać było ich białe powiewające burnusy. Arabowie podążali szybko, wydając przeraźliwe okrzyki.

Zaciekawiony Sauvaire zawołał na swoich:

— Broń miejcie w pogotowiu, gdyż jeśli ci ludzie na nas napadną, musimy się bronić!

Stosownie do rozkazu kapitana marynarze chwycili za broń. Nie wszyscy jednak mieli broń palną, niektórzy posiadali tylko noże albo sztylety. Kapitan nabił pistolety, postanawiając tylko się bronić, a nie napadać.

Wielbląd biegł prędzej, niż ci, którzy go ścigali. Siedzący na nim, ujrzawszy kapitana, zaczęli krzyczeć po francusku:

— Na pomoc! W imię Boga na pomoc!

Sauvaire poznał natychmiast dźwięk głosu, chociaż nie rozpoznał rysów twarzy i, poskoczywszy naprzód, chwycił wielbląda za lejce i począł go

ciągnąć do swych marynarzy. W tej chwili nadbiegli trzej mężczyźni, i rozległy się wykrzykniki:

— Ach! to kapitan Sauvaire!—wołano z jednej strony.

— Ach! pani de Beaucourt! pan Jan!... wszyscy nasi przyjaciele i w dodatku jakiś murzyn!—zawołał kapitan, nie okazując zbyt wielkiego zdziwienia.

Gdy potem w lat kilka opowiadał o tem zdarzeniu, dodawał zwykle:

— Nie byłem tak bardzo zdziwiony, gdyż miałem zawsze przeczucie, ze spotkam rodzinę pana de Beaucourt.

Tymczasem znużony, a może i poraniony wielbląd osunął się ciężko na ziemię, a kiedy usiłowano go podnieść, ukazał się wielki pies z ognistem okiem i najeżoną sierścią i chciał już rzucić się na Marcina, gdy Marta poskoczyła do niego. Poznała ona zwierzę, które pielęgnowała niedawno. i mniemała, że pies będzie jej posłuszny. W istocie zwierzę stało chwilę niepewne, wreszcie puściło zdobycz i mrucząc zwróciło się ku Marcie.

Scena ta odegrała się nadzwyczaj szybko.

Kiedy obecni, lękając się rozdraźnić zwierzę, zbliżali się do niego powoli, jakiś jeździec, przeskakując przez leżącego wielbląda, znalazł się tuż obok Marty, którą uchwycił wpół i chciał posadzić przed sobą na siodle. Ale nim towarzysze Marty zrozumieli grożące jej niebezpieczeństwo, pies, rzucając się ze wściekłością na jeźdzca, zmusił go do puszczenia schwytanej ofiary, raniąc w rękę swymi potężnymi kłami. Jeździec osunął się z konia na ziemię.

Marta, drżąca i przerażona, oparła się na ramieniu Leona, który ją prowadził pomiędzy przyjaciół.

Sauvaire z zimną krwią osądził odrazu położenie rzeczy i zbierając swoje siły, oparł się o małe wzgórze, stanowiące jakby wał obronny.

Tu postawił najpierw kobiety i Marcina, potem chłopców razem z murzynem, na froncie zaś stanął sam ze swoimi ludźmi. Uszykowawszy się w ten sposób, Francuzi czekali na zaczepkę tych, którzy nadbiegali ku nim w całym pędzie.

Pies, mrucząc ciągle groźnie, odsunął się od jęczącego na ziemi człowieka, a sam położył się niedaleko na wzgórzu. Nikt nie zwracał teraz na niego uwagi, jak również na konia, który stał nieruchomy, z opuszczoną głową, patrząc smutnie na swego cierpiącego pana.

W tej chwili Arabowie na koniach i murzyni biegnący pieszo, rzucili się na marynarzy. Sauvaire wystrzelił cztery razy i położył trupem czterech nieprzyjaciół, których spłoszone konie zaczęły pędem uciekać.

Wskutek tak dzielnej obrony, inni napastnicy zatrzymali się na oka mgnienie, z czego kapitan skorzystał i nanowo broń nabił. Gdy nieprzyjaciele znów zaczęli nacierać, Sauvaire dał cztery strzały, ale tym razem z mniejszem powodzeniem, gdyż nikt nie upadł. Zabłysły noże i sztylety, i marynarze zaczęli walczyć z napastnikami. Sauvaire, wyczerpawszy ładunki, stanął przed kobietami, przygotowany na śmierć, chociaż postanowił drogo sprzedać swe życie. Janek i Leon, chociaż bezbronni, usiło-

wali własnem ciałem zasłonić panią de Beaucourt i Martę. Murzyn walczył także dzielnie.

Nagle Marcin wydał okrzyk zgrozy i trwogi, gdyż z daleka na wzgórzu, ujrzał podążającego na pole walki Jusufa, który nagląc konia do biegu, po kilku skokach był już bardzo blizko swych dawnych niewolników.

W chwili, gdy dodawał koniowi bodźca ostrogami, w pobliżu rozlegały się przekleństwa i strzały. Byli to marynarze przeznaczeni do pilnowania łodzi, którzy, usłyszawszy odgłos walki, pośpieszyli swoim na pomoc. Napastnicy cofnęli się natychmiast, pozostawiając kilku zabitych na placu walki.

Zdziwiony Jusuf zanadto widać zaciął konia, i gdy rumak skoczył w szalonym pędzie, handlarz ten znalazł się nagle wpośród ogorzałych marynarzy. Ci, nie zważając na wołanie kapitana, przebili go kilku pchnięciami sztyletów. M'zour dopomógł im w tej strasznej chwili, i wkrótce renegat, handlarz niewolników, rozstał się z tym światem.

Pies pracował również gorliwie, raniąc boleśnie dwóch murzynów, chcących ratować się ucieczką. Kobiety krzyczały, patrząc na tę krwawą walkę, ale Sauvaire rzekł spokojnie:

— Cóż panie chcecie? Na wojnie tak zwykle bywa! Teraz uciekajmy co żywo, gdyż jakem Maryusz Sauvaire, nie dałbym trzech groszy, że ci zbóje napadną nas jeszcze raz!

Mówiąc to, kapitan spojrzał uważnie po swoich ludziach i przekonał się, że wszyscy mogą iść, a nawet biedz, pomimo mniejszych i większych ran, które otrzymali w ręce i głowy.

Tylko Marcin i Marta zaledwo trzymali się na nogach, to też Sauvaire kazał dwom silnym marynarzom nieść starca i młodą dziewczynę; on sam podtrzymywał panią de Beaucourt.

— Dalej w drogę! — zawołał,—śpieszmy się do łodzi, jeśli ją tylko zastaniemy przy brzegu.

Minęli pole walki, a kapitan wyliczył siedmiu poległych nieprzyjaciół, oprócz kilku rannych, którzy zdołali uciec. Kilka zabitych koni leżało między trupami.

— Dzisiejszy dzień możemy nazwać szczęśliwym, skoro zwyciężyliśmy o tyle liczniejszego nieprzyjaciela. Nie wiem tylko, czy władze tunetańskie będą tego samego zdania.

W tej chwili spostrzeżono łódkę w tem samem miejscu, gdzie ją pozostawiono. Spuszczenie jej na wodę i ulokowanie się w niej niewiele zajęło czasu.

Kapitan chwycił za ster, mówiąc:

— Wiosłujcie co żywo, moi drodzy, a głównie śpieszcie się, mijając fortecę. Musimy jak najprędzej dostać się do okrętu.

A po chwili dodał znowu:

— Gdy zbliżymy się do fortecy, niechaj wszyscy, a osobliwie panie, położą się na dnie łodzi, aby nas jak najmniej było widać. Mogłoby nas spotkać nieszczęście, gdyby straże spostrzegły, że jadąc rano w ośm osób, powracamy w liczniejszem towarzystwie, jest nas bowiem trzynaście osób białych i jeden murzyn... Trzynaście... zła to liczba!... Kiedy więc powiem raz, dwa, trzy, ukryjecie się w łodzi; a gdy powiem; cztery, pięć, sześć, to znaczyć bę-

dzie, że wszelkie niebezpieczeństwo już minęło... na tę chwilę ma się rozumieć.

— Gdzie my jesteśmy, kapitanie?—spytała pani de Beaucourt.—Jakim sposobem znalazłeś się tutaj? Zdaje mi się, że miałam jakiś sen straszliwy! Co się stało z moim mężem i...

Tu głos jej zadrżał i nie mogła dokończyć.

Na te słowa wszyscy położyli się na dnie szalupy. (Str. 232).

— Przez tę walkę straciłem zupełnie przytomność!—odrzekł kapitan.—Pani hrabino, panie Janie, przygotujcie się do usłyszenia dobrej wiadomości.

— Moja córka?—zawołała matka, a inni szepnęli:

— Nasza mała Anusia!

— Tak, tak, właśnie chcę mówić o małej Anusi. Otóż zostawiłem dziesięć dni temu małą panien-

kę zdrową i świeżą jak różyczkę, chociaż rozkapryszoną aż strach! Ale jest pod opieką ojca, który również cieszy się dobrem zdrowiem. Smutny tylko bardzo i szuka was i o was wciąż myśli!... Gdy się znajdziemy na pokładzie mojego statku, opowiem wam wszystko szczegółowiej.

Pani de Beaucourt, ochłonąwszy trochę z radosnego wzruszenia, chciała inne jeszcze zadawać pytania, gdy Sauvaire zawołał:

— Raz, dwa, trzy!

Na słowa te wszyscy położyli się na dnie szalupy; młodsi weszli pod ławki, inni ukryli się pod żaglowe płótna.

XVIII.

Na pokładzie statku kapitana Sauvaire'a.

Zbliżano się do fortecy Bordżi-Dżedid, i marynarze wiosłowali z podwójną gorliwością. Łódź płynęła szybko, trzymając się w pobliżu murów fortecznych, gdyż Sauvaire miał nadzieję, że żołnierz stojący na straży nie dojrzy ich z tak blizka.

Ale strażnik, wyglądający przez zagłębienie murów, spostrzegł łódź i dał znak marynarzom, aby się zatrzymali. Ci jednak nie usłuchali tego, ale przeciwnie, żywiej jeszcze zaczęli wiosłować. Wtedy żołnierz wziął na cel i strzelił.

Sauvaire, wzywając na pomoc Wszystkich Świętych, przynaglał marynarzy do szybkiej jazdy i skierował łódź w bok. Wtem kula jedna i druga upadła w wodę, tuż niedaleko od łodzi.

— Ach! to te ptaszki mają strzelby dawnego jeszcze kalibru! — szepnął z zimną krwią kapitan.— Nim żołnierz taką strzelbę powtórnie nabije, lub da znać do garnizonu, my już będziemy daleko.

I w istocie, łódź była już blizko statku, gdy dało się słyszeć powtórne strzelanie. Żadna przecież kula nie dosięgła uciekających.

— Musielibyście do nas wstąpić do szkoły strzelania,—żartował kapitan, pomagając pani de Beaucourt i jej towarzyszom dostać się po drabinie na pokład okrętu.

— Przebacz mi pani moją szorstkość, — rzekł potem do pani de Beaucourt,—ale wiesz pani teraz, jaki był tego powód. I tak będzie to wielkiem szczęściem, jeżeli ci niegodziwcy nie będą nas ścigali.

Marynarze, przypatrując się rannym, litowali się i klęli naprzemian.

— Bądźcie łaskawi zamknąć buzie,—rzekł do nich kapitan.— Potem wam powiemy o wszystkich szczegółach naszej wyprawy.

Marynarze zaprowadzili rannych do kajut. M'zour osłabiony utratą krwi i zdziwiony wszystkiem, co go otaczało, spoglądał naokoło siebie wielkiemi oczyma.

Kapitan, poleciwszy wszystkich staraniom marynarza, który się miał za chirurga, wrócił na pokład. Zapytany o szczegóły i powody ścigania, odpowiedział:

— Mało mnie obchodzą ci, którzy nas zobaczyli, ale niepokoi mnie bardzo ten statek, który w porcie stoi na kotwicy. Zdaje mi się, że gotów w każdej chwili odpłynąć.

I kapitan wskazał ręką długi, a wązki statek z nawpół rozpuszczonymi żaglami, ciemno brunatnej barwy.

Słysząc te słowa, pani de Beaucourt zbladła, a wszyscy gradem pytań zaczęli zasypywać kapitana. Lecz Sauvaire nic nie odpowiedział, tylko wydawał rozkazy do szybkiego odjazdu. Potem odprowadził pasażerów do kajuty i rzekł:

— Mam nadzieję, że choćby nas ścigano, uciekniemy. Może będziemy mieli szczęście spotkać jaki chrześcijański statek, a wtedy galera turecka, czy arabska umknie z pewnością. W najgorszym razie będziemy się bronili, a wiem, że żona tak odważnego żołnierza, jakim jest pułkownik, nie zadrży w chwili niebezpieczeństwa, jak również syn i jego słudzy. Nie prawdaż, że mam słuszność?

— Tak jest, — potwierdzili wszyscy, a Janek dodał:

— Jeżeli przyjdzie do walki, proszę cię, panie kapitanie, abyś mnie i Leonowi dał broń.

— I na to zgoda!—odrzekł Sauvaire i wyszedł na pokład.

Tymczasem w kajucie jeden z marynarzy nakrył do stołu. Gdy podróżni zaczęli z apetytem zajadać obiad, kapitan ukazał się znowu, w towarzystwie jeszcze jednego biesiadnika, na którego widok wszyscy wydali okrzyk zdziwienia. Tym nieoczekiwanym gościem, który jednak miał prawo

do wdzięczności ze strony podróżnych, był wielki pies z obozu Arabów.

Pies położył się spokojnie przy stole, pozwalając Marcie głaskać się i przyjmując z jej ręki posiłek. Wkrótce zaczął machać ogonem i ośmielił się tak dalece, że począł lizać dłoń, która mu jeść dawała, nakoniec oparł się o stół, i znać było, że czuł się bardzo zadowolonym. Niekiedy wprawdzie w spojrzeniu jego malowała się jeszcze nieufność, i spoglądał po obecnych z przytłumionem warczeniem, jakby chciał mówić:

— Dzieją się tu nadzwyczajne rzeczy.

Jakim jednak sposobem odważne zwierzę znalazło się na statku?

Widać, że po walce, chociaż wszyscy o nim zapomnieli, pies wsunął się niepostrzeżony na dno łodzi i leżąc cicho i spokojnie, niczem nie zdradził swojej obecności. Dopiero, gdy podróżni wsiedli na okręt, pies zaczął wyć, pozostawszy w łodzi. Tak przypuszczano, nikt bowiem od psa nie mógł otrzymać żadnego wyjaśnienia.

— W każdym razie, — rzekł kapitan, — panna Marta może być szczerze wdzięczną psu, gdyż jego tylko obrona uchroniła ją od napaści tego rozbójnika Araba. Ale jakżebym rad,—dodał, zwracając się do pani de Beaucourt, usłyszeć szczegóły ucieczki pani i jej towarzyszów. Spodziewam się, że wystarczy nam czasu do opowiadania, nim się znów co nowego przytrafi.

Pani de Beaucourt, opowiedziawszy to, o czem już wiemy, zakończyła temi słowy:

— Dziesięć dni upłynęło od naszego wyjazdu z Laghuatu, a nie mieliśmy żadnego pojęcia o tem, jakie kraje przebywamy, ani dokąd nas pędzą. Jednego wieczoru rozłożyliśmy się obozem w pobliżu nawpół wykopanej studni. Nazajutrz o świcie zaczęłam błądzić po okolicy. Nagle, gdy weszłam na wzgórze, ujrzałam zupełnie niespodziewany widok. Najpierw w pośrodku oazy spostrzegłam dosyć duże miasto, które przerzynał szeroki strumień, a dalej morze i port, ze stojącymi na kotwicy okrętami. Okręty wydawały mi się zupełnie różne od naszych, lecz z boku ujrzałam statek, którego kształty nie były mi obce.

— Ach, to mój statek!—zawołał Sauvaire.

— Nie śmiałam myśleć o tem, a jednak byłam głęboko wzruszona; nie wiem, czy Jusuf, który szedł za mną, odgadł moje wzruszenie, gdyż rzekł nagle:

— Nie należy patrzeć w tę stronę, tylko w tamtą. Jutro ty i ta młoda dziewczyna będziecie sprzedane i odpłyniecie na tym wielkim okręcie, który widzisz tam oto, w porcie.

I ruchem ręki wskazywał mi oddalony punkt na widnokręgu.

— A co zrobisz z innymi niewolnikami?—spytałam, drżąc cała.

Jusuf zwrócił na mnie swoje szare oczy i rzekł z okrucieństwem:

— Chłopców jeszcze przez czas jakiś zatrzymam przy sobie; co zaś do starca, ten już wkrótce zakończy swój niepotrzebny żywot.

Zrozpaczona, chciałam zwyciężyć postanowienie renegata, cisnęłam mu w oczy wszystkie obelgi, jakie tylko umiałam po arabsku i po włosku. Ale Jusuf słuchał mnie obojętnie, a potem rzekł, wstrząsając mnie silnie za ramię:

— Krzycz i płacz, cóż mnie to obchodzi? Ale jeśli się będziecie opierali mej woli, tak ty jak i dzieci niechybnie zginiecie.

Oszalała z rozpaczy, podniosłam ramię i nie wiem, cobym była uczyniła, gdyby straszliwy huk nie wstrząsnął wzgórzem. W tejże chwili ziemia, zdawało się, że się otwiera pod naszemi nogami. Odrzucona daleko siłą wybuchu, straciłam przytomność... Kiedy odzyskałam zmysły, syn podtrzymywał mi głowę, a Leon zrzucał ze mnie drobne kamyki, które mnie całą przysypały... Janku, opowiedz resztę, gdyż ja czuję się trochę zmęczoną...

Janek tak ciągnął dalej:

— Wszyscy przestraszyliśmy się bardzo i jeszcze zastanawialiśmy się nad przyczyną, która spowodowała to nadzwyczajne zjawisko, gdy M'zour nadbiegł, prowadząc wielbląda za uzdę. „Uciekajmy!— wołał.—Maurowie, Arabowie i Jusuf, wszyscy poszli do Eblisa!" Zdaje mi się, że Eblis znaczy u nich dyabeł. Nie czekając żadnych wyjaśnień, posłuchaliśmy murzyna i wsadziliśmy na wielbląda Marcina, mamę i Martę. Wtedy mama rzekła nam, wskazując widnokrąg: „Tam jest morze, a na niem statek europejski; widziałam to bardzo blizko." M'zour zaczął prowadzić wielbląda, a my z Leonem biegliśmy za nim co sił. Ale znużone zwierzę nie mogło dążyć tak szybko, jakbyśmy byli chcieli.

Wtem nagle z tyłu rozległo się wycie, a gdyśmy się obejrzeli, spostrzegliśmy ścigających nas ludzi na koniach, przed nimi zaś biegł pies wielki. W tej chwili mama i Marta zawołały: „Żołnierzy widzimy!" Był to właśnie pan, kapitanie, i pańscy ludzie, których Opatrzność zesłała nam na pomoc.

W tej chwili jeden z marynarzy zbliżył się do kapitana i szepnął mu kilka słów do ucha. Wysłuchawszy go, Sauvaire zwrócił się do swoich gości i rzekł:

— Dokończcie obiadu beze mnie, gdyż obecność moja na pokładzie koniecznie jest potrzebna... Cokolwiekbądź się stanie, nie ruszajcie się stąd, nim was nie zawołam.

Wszedłszy na pokład, kapitan zaczął się rozglądać po horyzoncie. Słońce już zaszło i wietrzyk powiewał świeży; ostatnie blaski zachodu białawem światłem oblewały fale morskie, lecz nigdzie, jak okiem zasięgnąć, nie widać było ani statku, ani żagli.

— Będziemy tańczyli dzisiejszej nocy, kapitanie,—rzekł oficer adjutant.

— Tak mi się zdaje,—odpowiedział kapitan.

— Ale czy nie zanadto rozwinęliśmy żagle, jeśli wiatr się wzmocni?...

— Mnie się zdaje, że się wzmocni.

— Czy w istocie grozi nam jakie niebezpieczeństwo?

— Tak jest, — potwierdził Sauvaire.—Lecz innym niema co mówić o tem, dopóki nasze obawy nie będą uzasadnione. Jeżeli spostrzeżemy, że ściga

nas statek nieprzyjacielski, wtedy oznajmimy to załodze. O której godzinie wschodzi księżyc?

— Około północy. Teraz jest właśnie ostatnia kwadra.

Po tej rozmowie nie wspominano już o niczem, tylko o rzeczach, dotyczących służby. Straż nocna zastąpiła na pokładzie dzienną, gdyż na statkach kupieckich marynarze odbywają często służbę po dwanaście godzin z rzędu.

Dopóki tylko zmierzch nie zapadł, Sauvaire przypatrywał się przez lunetę morzu od strony lądu; lecz niczego nie dostrzegł. Wreszcie noc nadeszła, i wietrzyk zamienił się w wiatr silny. Słuchając miarowego ruchu zegara w kajucie, kapitan gniewny, klął księżyc, że tak długo nie wschodzi i że znajduje się teraz w ostatniej kwadrze.

— Ach! żeby to dziś była pełnia! — powtarzał kilkakrotnie.

Wreszcie srebrzysta tarcza księżyca ukazała się z poza małej chmurki i bladawem światłem oświeciła morze. Wtedy na falach morskich Sauvaire ujrzał wyraźnie długi i wązki statek.

Teraz już kapitan nie klął, ani nie okazał najmniejszego wzruszenia, lecz biorąc tubę, zawołał:

— Wszyscy na pokład, z wyjątkiem podróżnych i rannych. Rozbudźcie śpiących!

Naturalnie, że rozkaz kapitana wykonano bardzo szybko. Trzydziestu ludzi, stanowiących załogę statku, stanęło jak jeden mąż na pokładzie. Sauvaire rzekł do nich:

— Moje dzieci, jesteśmy teraz wolni i szczęśliwi, nie prawdaż? A jednak jutro możemy się zna-

leźć na innym świecie, lub w niewoli u mahometan. Statek tych niewiernych ściga nas, wszak sami widzicie go doskonale...

Szmer oburzenia dał się słyszeć dokoła, gdyż w owym czasie każdy żywo miał w pamięci występki okrutnych korsarzy, a chociaż żegluga stawała się z każdym rokiem pewniejszą, wiedziano jednak dobrze, gdy kiedy niekiedy ginął jaki okręt kupiecki, że była to sprawka muzułmańskich korsarzy, którzy, czatując zawsze na zdobycz na brzegach Afryki, chwytali i więzili chrześcijańskich żeglarzy.

Sauvaire spojrzał na swoich marynarzy i tak mówił dalej:

— Jeżeli ci rozbójnicy nas napadną, a będzie ich przeważająca liczba, co uczynimy wtedy?

— Będziemy się bronili, kapitanie.

— Aż do śmierci?

— Aż do śmierci.

— Bardzo dobrze, widzę, że jesteście odważnymi ludźmi. Obejrzyjcie zatem broń, a jeśli wyjdziemy zwycięsko z tej sprawy, uczynimy ślub.

— Jak najchętniej, kapitanie.

— Otóż pójdziemy boso do świątyni Notre-Dame de la Garde.

— Dobrze,—powtórzyli marynarze.

— Teraz nie mówmy już nic, tylko czuwajmy do rana. Jutro znajdziemy się na drodze, którą przepływa mnóstwo okrętów. Ci niegodziwcy nie ośmielą się nas ścigać, skoro zobaczą, że ktoś może nam przybyć na pomoc.

Sauvaire wyglądał rana z tą samą gorączkową niecierpliwością, z jaką w nocy oczekiwał ukazania się księżyca. Liny i maszty trzeszczały, mgła przenikała jego ubiór wilgocią, ale on nie ruszał się z miejsca, i stojąc przy sterze, nie spuszczał wzroku ze ścigającego ich statku. Odległość między okrętami zmniejszała się coraz widoczniej, i gdy świt rozjaśnił niebiosa, kapitan zrozumiał, że najdalej za dwie godziny korsarze ich doścignq, i kule z ich broni zaczną padać na pokład okrętowy.

Sauvaire miał nadzieję, że marynarze jego będą się bronili odważnie, chociaż w głębi duszy wątpił o odwadze niektórych z nich. Przytem myśl o oswobodzonych z ciężkiej niewoli, którzy spali w kajucie, rozdzierała mu serce. Na domiar nieszczęścia, na morzu nie widać było żadnego okrętu, i wiatr się uspokajał.

W kajutach nikt nie spał, wszyscy bowiem domyślali się, że statkowi grozi jakieś niebezpieczeństwo.

Po wieczerzy pani de Beaucourt wzięła latarkę i udała się do rannych. Szczególnie dwaj marynarze cierpieli bardzo i silną mieli gorączkę. Pani de Beaucourt z pomocą Marty wyszukała bielizny w szafach kapitana i przygotowała szarpie. Janek i Leon chcieli się także na coś przydać; z pomiędzy rannych tylko jeden M'zour nie skarżył się wcale i powtarzał po arabsku:

— Murzyni mają twarde głowy; ja wyzdrowieję bez żadnej pomocy.

XIX.

Korsarz.

Spełniwszy, o ile to było wich możności, posłannictwo Sióstr Miłosierdzia, pani de Beaucourt wróciła z Martą do kajuty. Nie upłynęło jednak nawet pół godziny, gdy wpadł za niemi zadyszany majtek.

— Ściga nas ogromny statek wojenny o fladze tureckiej,—zawołał,—będziemy więc uwięzieni, męczeni i sprzedani. Lepiej byłoby zdać się na łaskę i niełaskę, a nawet mówiłem już o tem kapitanowi, ale nie chciał mnie słuchać. Pragnie raczej, abyśmy się wszyscy dostali do niewoli... Ale nic z tego! Powiem o tem właścicielom okrętu, którzy odbiorą mu dowództwo statku... I dobrze zrobią!

— Przepraszam, — przerwał mu chłodno Janek, — jeżeli wszystkich nas wezmą do niewoli, nie powiesz nic nikomu, a jeżeli uda nam się ocalić, dzięki odwadze i stanowczości waszego wodza, ja powiem prawdę właścicielom okrętu.

Rozgniewany majtek chciał coś odpowiedzieć, lecz w tej chwili jeden z jego towarzyszów nadbiegł i zabrał go z sobą na pokład.

Noc tymczasem zbliżała się ku końcowi. Pani de Beaucourt i Marta, znużone i smutne, zasnęły wreszcie. Marcin nie spał, zajęty jedną myślą, która pochłaniała całą jego uwagę; siedział z oczyma utkwionemi w przestrzeń, szepcząc jakieś niezrozumiałe wyrazy.

Wtedy Janek dał znak Leonowi, i obydwaj, pocichu, wysunąwszy się z kajuty, weszli na pokład. Promienie wschodzącego słońca olśniły ich na chwilę, tak, że nie mogli odrazu zdać sobie sprawy z grożącego niebezpieczeństwa. Nikt nie zwrócił uwagi na ich przybycie.

Cała załoga, uzbrojona w pistolety i sztylety, była zgromadzona obok wielkiego masztu. Kapitan i jego porucznik stali na przodzie i uważnie patrzali przed siebie,

— Nie strzelajcie, dopóki nie wydam rozkazu,— rzekł kapitan,—a jeśli kto wspomni o poddaniu się, natychmiast strzelę mu w łeb, jak psu!

Na te słowa marynarze, którzy zaczęli już szemrać, zamilkli.

Przy blaskach wschodzącego słońca widać już było doskonale statek turecki, który płynął szybko, jak gdyby muskał tylko powierzchnię bałwanów. Wobec jego prędkiego biegu, statek kapitana Sauvaire'a zdawał się nie ruszać z miejsca. Można było łatwo odgadnąć taktykę korsarskiego statku, który chciał przeciąć drogę kapitanowi Sauvaire'owi.

Nagle błysnęły dwa światełka, i dwa strzały z małych dział tureckiego statku obaliły dwa maszty, nie czyniąc większej szkody.

Strzały te miały znaczyć: „Zdajcie się na łaskę i niełaskę."

— Spróbujcie, jak to smakuje!—zawołał kapitan.—Co za szkoda, że nie mamy małych armatek,— dodał,—ale kupcy wyśmiewali się ze mnie, gdy im o tem wspomniałem.

— Idź, załóż drąg do głównego masztu,—rzekł po chwili, zwracając się do jednego z marynarzy.

— I na co się to zdało, kapitanie?—odpowiedział majtek, nie ruszając się z miejsca, ale widok nabitej broni, którą zobaczył zwróconą ku sobie, nakłonił go do posłuszeństwa.

Sauvaire zdziwił się, że nieprzyjaciele nie strzelali więcej z armat, pomimo, że statek ich zbliżał się ciągle, w celu zarzucenia haków, któreby związały ich ze statkiem nieprzyjacielskim. Załoga ich przygotowana była do walki.

— Kiedy powiem trzy, strzelajcie! — rozkazał kapitan.—Uwaga! raz, dwa, trzy!

Marynarze wystrzelili, a barbarzyńcy odpowiedzieli im również strzałami.

Skoro tylko dym rozrzedził się nieco, tak, że można było rozróżnić przedmioty, Sauvaire i wielu marynarzy wydało okrzyk zdziwienia, sądzili bowiem, że korsarze zarzucili już haki na boki okrętu, gdy tymczasem oni cofali się szybko i wnet oddalili się znacznie.

— Chcą nas zaczepić z tyłu, odezwał się porucznik.

— Ależ nie!—odparł Sauvaire, którego twarz zajaśniała radością.—Lecz kto tam tak narzeka?

I, nie kończąc zaczętego zdania, kapitan pobiegł do gromadki osób, skąd w istocie dawał się słyszeć jęk jakiś.

Tymczasem porucznik skierował lunetę w kierunku wskazanym przez kapitana i zrozumiał powód jego radości. Z pośród tumanów mgły, spadającej na dół, ukazały się najpierw wysokie maszty, a po-

tem kształty dużego okrętu, który płynął zwolna i poważnie z rozwiniętymi żaglami.

— Hura! hura!—krzyknął w tej chwili porucznik, spostrzegłszy barwę powiewającej ku nim bandery.

— Niech żyje król!—krzyknęła załoga.

Była to flaga francuska, którą witano tak radośnie.

Statek „Bohaterka" wypłynął z przystani tulońskiej przed kilku dniami i podług wskazówek, otrzymanych od admirała, dowodzącego oddziałem żeglugi wschodniej, minął wczoraj wyspę Maltę i miał odpocząć w Pireusie.

Była może godzina piąta, i słońce zaczęło właśnie wschodzić, gdy majtek siedzący na bocianiem gnieździe „Bohaterki," oznajmił, iż w południowo-wschodniej stronie widać dwa statki, z których jeden, szczególnej budowy, ściga drugi, na którym flaga jest zwinięta, co w porozumiewaniu się marynarzy znaczy prośbę o pomoc. Gdy zwinięty żagiel przymocowany jest do kotwicy, oznacza to żałobę.

Przekonawszy się naocznie, że marynarz się nie mylił, oficer służbowy oznajmił o tem admirałowi i dowódcy; ale nim ci ostatni weszli na pokład, mgła gęsta, powstająca nagle, nie dozwoliła nic widzieć w dali.

Pomimo to okręt kierował się w stronę, gdzie dostrzeżono owe dwa statki, to jest na południowschód.

Admirał, dowódcy i oficerowie napróżno usiłowali przebić wzrokiem tumany mgły, gdy nagle

jak gdyby niewidzialna ręka rozsunęła firanki, promienie wschodzącego słońca przedarły się przez mgłę i oświeciły morze. W tej chwili usłyszano podwójne wystrzały, i statek, którego kształty zdziwiły marynarzy, zmieniwszy kierunek drogi, zaczął się oddalać szybko. Przytem wywiesił flagę na wierzchołku najwyższego masztu.

— Patrzcie, na tym statku powiewają flagi greckie.—zawołał admirał,—zatem musi to być statek korsarzy, którzy od jakiegoś czasu tych barw używają. Trzeba go będzie zrewidować, ale tymczasem powitajmy go kilku strzałami armatnimi i przysuwajmy się o ile można.

Skierowano strzały w stronę tureckiego statku, który pomimo to płynął dalej.

— Strzelajcie w maszty,—rozkazał dowódca;— nie zatopimy ich, chyba w ostateczności!

Kanonierzy celowali dobrze i zasłużyli na pochwałę swego wodza, gdyż przedni maszt upadł strzaskany, zrywając żagle i liny.

W tej chwili zwinięto na tureckim staktu resztę pozostałych żagli i banderę grecką, co oznaczało poddanie się Francuzom. I nic dziwnego: ośm armat stało w pogotowiu, a korsarzom wydano rozkaz, za pomocą znaków, aby natychmiast przechodzili na pokład francuskiego okrętu.

Znaki porozumiewania się na morzu są jednakowe dla wszystkich narodowości, korsarze zatem zrozumieli je z łatwością.

Trzy łodzie odbiły natychmiast od tureckiego statku i zbliżyły się do „Bohaterki." Uzbrojeni marynarze pod dowództwem chorążego przyjęli przy-

bywających, zrewidowali ich i odebrali im broń, nim weszli na pokład.

Żaden z nich nie opierał się. Gdy umieszczono rozbójników w rogu okrętu, dowódcy zaczęli ich badać, ale oni zdawali się nic nie rozumieć; jeden tylko, pozujący na kapitana, odpowiedział złym akcentem włoskim, że na statku niema już nikogo.

Rysy twarzy i postacie tych ludzi nie wyrażały nic nadzwyczajnego. Było ich dwudziestu pięciu, ogorzałych, o śniadej cerze brunetów; wszyscy ubrani byli dość nieporządnie w szaty tureckiego kroju. Zaprowadzono ich na dno okrętu i skrępowano im nogi żelaznymi łańcuchami.

W tej chwili oficer zapytał o rozkazy admirała, czy mają czekać na statek francuski, który usiłuje się do nich zbliżyć, czy płynąć dalej.

— Naturalnie, że będziemy na nich czekali,— odpowiedział admirał.—Biedni ludzie ponieśli może jakie uszkodzenia. Możemy tymczasem zabawiać się strzelaniem do tureckiego statku... Chociaż,— dodał po chwili namysłu, mam wielką ochotę przekonać się pierwej, co się tam znajduje na tej wielkiej łodzi. Te łotry mają język na to, aby kłamać, i nie bardzo można im wierzyć, że tam już niema nikogo. Niech więc służbowy oficer popłynie na łodzi z dwudziestu dobrze uzbrojonymi ludźmi i zrewiduje ten złodziejski statek.

Tymczasem statek ów, pozbawiony steru i żagli, chwiał się na falach, stając się ich igraszką. Z trudnością więc można się było do niego przysunąć. Ośmnastu z marynarzy razem z oficerem weszło na pokład, a łódź pod opieką dwóch pozo-

stałych oddaliła się nieco, aby uniknąć uderzenia ze statkiem korsarskim.

— Cóż oni tam robią tak długo?—zapytał ktoś zniecierpliwiony.

— Zapewne oficer Marigny postawił kogoś przy sterze, aby jako tako założył żagiel i uspokoił kołyszący się okręt,—odpowiedział dowódca.

Wszystkie lornetki skierowały się ku tureckiemu statkowi, skąd wkrótce na głównym maszcie ukazały się dwa sygnały. Jeden kawałek tkaniny miał znaczyć: „Przyślijcie łódkę," a drugi: „Tylko z niewielką załogą."

Naturalnie, że łódź z czterema marynarzami i chorążym odpłynęła natychmiast.

Tymczasem na okręcie francuskim ciekawość wzrastała z każdą chwilą; obiedwie jednak łodzie zasłaniał statek korsarski. Przez pół godziny nic nie było widać, oprócz czterech marynarzy, którzy spokojnie stali na pokładzie. Potem nagle ci ludzie znikli, a turecki statek zaczął się znów chwiać na falach. Wkrótce ukazały się dwie łodzie i płynęły zwolna ku okrętowi. Wtedy okrzyk zdziwienia rozległ się na pokładzie francuskiego statku.

— Patrzcie, oni wiozą nowych więźniów!—wołali oficerowie i marynarze.

Za chwilę przeładowane łodzie dopłynęły do okrętu, i nim porucznik statku zdał sprawę ze swego posłannictwa, wszyscy już domyślili się prawdy. Oficer opowiadał co następnje:

— Skoro dostałem się na pokład tureckiego okrętu, postawiłem zaraz jednego z ludzi przy sterze, a dwom drugim kazałem przytwierdzić trójkąt-

ny żagiel, aby troszkę uspokoić kołysanie statku. Potem poszedłem zwiedzić jego wnętrze i przekonałem się, że jest tam drugi pokład, poprzedzielany na mnóstwo małych skrytek z kajutą kapitana o wiele mniejszą, niż sądziłem. Wszystko to dawało mi do myślenia. Na dany przeze mnie rozkaz, marynarze zaczęli rąbać podłogę siekierami, które znaleźliśmy zawieszone na kołkach. Podejrzenia moje okazały się uzasadnione, gdyż odkryliśmy nie towary przewożone kontrabandą, jak to przypuszczałem z początku, lecz ludzi, ukrytych pomiędzy ścianami zewnętrznemi a przejściem w kierunku długości okrętu. Przedziały pod pomostem zrobione były dla oszukania wzroku i tem pewniejszego zasłonienia kryjówek, wewnątrz wysłanych kłakami, dokąd powietrze dostawało się tylko przez małe otworki, porobione w pomoście. W tych kryjówkach, mających zaledwie jeden metr szerokości, ośmdziesiąt istot ludzkich straszliwe znosiło męczarnie. Byli tam mężczyźni, kobiety i dzieci, obok ośmiu zimnych już trupów. Można sobie wyobrazić, jak okropnem oddychało się tam powietrzem i jaki tam panował zamęt. Wielu niewolników miało na ciele dolegliwe rany; wszyscy okryci byli jedynie łachmanami. Z trudnością wyciągnęliśmy tych ludzi i siłą przymusiliśmy ich, ażeby wsiedli na nasze łodzie. Myśleli zapewne, że chcemy ich utopić, bo, wsiadłszy na łodzie, zaczęli krzyczeć co siły i błagalnie składać ręce. Zwołałem moich ludzi i sam ostatni wsiadłem do łodzi, jeszcze raz przedtem dokładnie przejrzawszy statek korsarski, na którym nie znalazłem żadnych papierów, ani pie-

niędzy, zgoła nic, coby mogło wskazać skąd pochodzi.

Gdy oficer skończył opowiadanie, dowódca okrętu spisał natychmiast raport i dodał do niego następującą uwagę:

„ Nieszczęśliwi, których pan Marigny znalazł i przywiózł na pokład mego statku, byli to murzyni, w swoim rodzaju bardzo dorodni ludzie. Naturalnie, że nikt nie rozumiał ich mowy, i tylko domyślaliśmy się z niektórych ich wyrazów i znaków, że zapewne całe ich pokolenie sprzedane było kupcom, przybywającym z północy. Ponieważ się opierali i nie chcieli iść do niewoli, kupcy poczęli do nich strzelać. Ci, którzy pozostali przy życiu, musieli dźwigać ciężary i iść piechotą bardzo długo, wskutek czego połowa ich umarła w drodze, przeważnie kobiet i dzieci. Wreszcie zatrzymali się nad jakąś wielką przestrzenią wód, i tu wepchnięto ich, okutych w łańcuchy, do pływającego domu, a następnie do małych celek więziennych, gdzie nie mogli się nawet poruszać i popychali się wzajemnie, dusząc się z braku powietrza, pozbawieni posiłku i wody. Nic dziwnego, że chorowali."

Dowódca skończył swe uwagi i papier złożył.

Gdy wyciągnięto łódki i drabiny, urządzono rodzaj dachu z płótna w jednym kącie pokładu, aby osłonić murzynów.

Potem, nim okręt ruszył w drogę, admirał kazał dać ognia z armat do opuszczonego statku, który chwiał się na falach.

— Pal!—zakomenderował oficer kanonierów.

Błysnęło razem ośmnaście światełek i kule utknęły w statku.

Gdy dym rozrzedził się nieco, ujrzano nawpół zatopiony statek, który znikł po chwili zupełnie wpośród fal, i tylko biaława piana wskazywała miejsce, gdzie się znajdował przed chwilą.

— Doskonale udało wam się, kanonierzy!—zawołał komendant.—A teraz kierujmy się ku wschodowi, aby połączyć się ze statkiem francuskim, który tam widać w oddali.

I „Bohaterka" podążyła na spotkanie okrętu kapitana Sauvaire'a, który przez czas walki z korsarzami oddalił się już o jakie dwie mile.

XX.

Podwójny epilog.

Jesteśmy znowu z powrotem w Marsylii.

Od ostatnich wypadków upłynęły trzy tygodnie. W komnacie hotelu de Noailles spoczywa na sofce pani de Beaucourt, ubrana w czarne szaty. Twarz jej jest blada i mizerna, wychudłą rękę wyciąga do kapitana Sauvaire'a, który tylko co przyjechał, Kapitan, złożywszy pocałunek na jej ręce, przywitał się potem z Martą, Jankiem i Leonem. Wielki pies skoczył też radośnie i witał kapitana, liżąc go i skomląc, jak gdyby zawsze był przyzwyczajony do tych pieszczotliwych oznak. Wreszcie Marta mu-

siała uwolnić kapitana od natrętnego psa, który natychmiast położył się u jej nóg, jakby błagając ją o przebaczenie.

— Droga pani, — zawołał kapitan, — zaledwie przypłynąłem do Marsylii, już jestem u was. Jakże jesteś dobra, że uprzedziłaś mnie o miejscu twego pobytu! Od chwili, gdy zostawiłem państwa na pełnem morzu, z niecierpliwością oczekiwałem powitania z wami. Byłem jak na rozpalonych węglach... Uśmiechasz się pani, ale niezbyt wesołym uśmiechem... Mój Boże! dlaczegoż ta czarna suknia?

I poczciwy kapitan nie śmiał dokończyć zaczętego zdania.

— Niestety, mój przyjacielu, nie mam żadnej wiadomości z Afryki,—odpowiedziała pani de Beaucourt.—Już dwa okręty przypłynęły z Algeru bez żadnej wieści. Odwaga i nadzieja opuściła mnie już zupełnie...

— Ależ mateczko, — przerwał jej Janek,—nie chcesz zwrócić uwagi na zwłokę, jakiej mogły uledz nasze listy, wysłane z Palerma i Neapolu. Przecież niepodobna, iżby wszyscy nasi przyjaciele zmówili się na to, aby nam nie odpowiadać.

Lecz uwagi te, powtarzane zbyt często, nie uspokajały tej biednej kobiety, tak silnej i odważnej wobec tylu nieszczęść. Od chwili przyjazdu do Marsylii wytrwałość opuściła ją; utraciła sen i apetyt, myśląc jedynie o okrętach przybywających z Afryki, które jednak nie przywoziły jej tego, czego pragnęła. Dlatego też przekonaną była, że ukrywają przed nią nieszczęście. Nie odpowiedziała przeto nic synowi, tylko zwróciła się do kapitana:

— Po rozbiciu korsarskiego statku, wszyscy ucieszyliśmy się niezmiernie.

— Tak, ale ta, zbyt gwałtownie objawiająca się radość dała mi poznać, do jakiego stopnia strwożona była moja załoga, co mnie bynajmniej nie ucieszyło. Lecz niech pani opowiada dalej, a najpierw o poczciwym Marcinie, ktorego zostawiłem chorego i rannego...

— Niestety! mój przyjacielu, Marcin umarł wskutek otrzymanej rany w chwili, gdy własnem ciałem zasłonił mego syna od kuli nieprzyjacielskiej.

— Wiem o tem, ale ta rana nie wydawała mi się zbyt ciężką, a lekarz twierdził, że ramię było tylko draśnięte...

— Tak, ale rana, choć lekka, bywa często śmiertelną dla starca. Gdy dopływaliśmy do Palermu, nasz wierny sługa zgasł na ręku okrętowego kapelana. Nie odstępowaliśmy go do ostatniej chwili i zamknęliśmy mu oczy. Na godzinę przed śmiercią rzekł do nas z uśmiechem: „Do widzenia!" A potem, gdy ja go pocałowałam, dodał: „Powiedzcie pułkownikowi, jak go stary sługa kochał, z jaką radością poniósł śmierć w obronie jego syna. Ja powiem o tem za chwilę pani kanoniczce." Po chwili już nas nie poznawał. Mówił coś bez związku o wielkiej wojnie, o błękitnych, o topielcach w Nantes i przywoływał bez ustanku siostrę mego męża, jak gdyby ją widział obok siebie. W Palermie wszyscy byliśmy obecni na pogrzebie i odprowadziliśmy zwłoki jego na cmentarz miejscowy.

Ksiądz i kilku oficerów towarzyszyło nam także.

Kończąc te słowa, pani de Beaucourt nie mogła się od łez powstrzymać; Sauvaire także otarł oczy. Tymczasem Janek i Leon wyszli pocichu z pokoju.

— Dziwna rzecz, kapitanie,—zaczęła Marta,— że pani kanoniczka i Marcin oddali jednocześnie ostatnie tchnienie, kanoniczka w Paryżu, a Marcin w Palermie.

— Wistocie to dziwna rzecz, panno Marto! A kiedy dowiedziała się pani o śmierci kanoniczki?— zapytał kapitan, zwracając się do pani de Beaucourt.

— Doniosła mi o tem pani de Lespine, wierna moja przyjaciółka, odpowiadając na list, w którym opisywałam jej nasz powrót i wypadki, które go poprzedziły.

— Przebacz mi pani, że ośmielam się zapytać, czy nieboszczka wam przebaczyła?

— Nic o tem nie wiemy, gdyż stosownie do wyraźnej woli Antoniny, testament jej ma być otwarty dopiero w obecności mego męża.

— Niech Bóg świeci nad jej duszą! — odparł kapitan.—Mam nadzieję, że przed śmiercią żałowała swej surowości, ale powiedzcie mi państwo, jakim sposobem dostaliście się do Palerma? Zdawało mi się, że „Bohaterka" dążyła do Pireusu?

— Tak, ale gdy znaleźliśmy się wprost Malty, a niedaleko wyspy Lampédoure, admirał zapytał mnie, czy nie chciałabym zostać w Palermie. Zgodziłam się na to chętnie, i z Palermo popłynęliśmy do Neapolu, a stamtąd przyjechaliśmy wprost do Marsylii. Co do murzyna M'zoura...

— A! prawda, zapomniałem o murzynie. Jakże jego rany?

— Zagoiły się bardzo prędko, co nawet dziwiło niezmiernie okrętowego chirurga. Widać, że M'zour mówił prawdę, twierdząc, że czarni i biali niejednakowo mają zbudowane czaszki. Nie mieliśmy z nim żadnego kłopotu, ale biedak myślał ciągle o żonie i dzieciach. W Palermie błagał, abyśmy mu pozwolili wrócić do Algeru na statku tam się udającym; zapłaciłam więc za jego przejazd i wyprawiłam go. Czy kiedy dostanie się do Maskary i czy połączy się ze swymi? On wie, że skoro tam wróci, zostanie znowu niewolnikiem, ale na wszystkie moje uwagi, odpowiadał: „Ja chcę zobaczyć moją żonę i dzieci." Może gdy się skończy wojna, będzie można starać się o wykup tych biednych istot. Ale wracając do nas, powiem panu, że skoro przybyliśmy do Marsylii... Marto, gdzie są dzieci?—przerwała nagle pani de Beaucourt.

— Nie wiem, — odparła z pomieszaniem Marta, rumieniąc się i blednąc naprzemian.

— Mój Boże? co to jest?—zawołała jej matka chrzestna,—ty coś przede mną ukrywasz, ale proszę cię mów, żądam tego...

Zagadnięta w ten sposób, Marta chciała już powiedzieć, że dano znać do hotelu o niespodziewanem przybyciu jakiegoś statku z Afryki, ale nie miała czasu dokończyć zaczętego zdania, gdyż nagle w korytarzu rozległy się wykrzykniki i odgłos szybko zbliżających się osób... Wreszcie drzwi się otworzyły, i kilka postaci ukazało się w pokoju, w towarzystwie Janka i Leona. Ci ostatni przybyli

do portu w chwili, gdy podróżni ze statku wysiadali na ląd, i niespodzianie spotkali pułkownika, jego służących i małą Anusię na ręku nieznanej kobiety.

Pani de Beaucourt rzuciła się w objęcia męża, gdy nagle usłyszała dziecinny głosik, łagodny i dźwięczny zarazem, który mówił z akcentem, przypominającym prowincyę Alzacyi:

— Mamo, nie całuj ojca, tylko małą Anusię!

Możecie sobie wyobrazić, z jaką radością matka witała swe dziecię.

Pułkownik, uściskawszy syna, przygarnął w objęcia Leona; następnie uściskał Martę i kapitana.

— Mój drogi, serdeczny przyjacielu, — rzekł głosem drżącym od głębokiego wzruszenia, gdyby nie pomoc Boska, a potem twoja...

— To Matka Boża pokierowała całą tą sprawą,—odpowiedział Sauvaire, ściskając dłoń pułkownika. — To też dziś wieczorem ja i moi ludzie pójdziemy pieszo do kościoła Notre-Dame de la Garde, Pani hrabina wie, jaki uczyniliśmy ślub... Niektórzy ludzie mówią, że to śmieszne, ale ja sobie żartuję z ich zdania.

Pies, ukryty dotychczas pod kanapą, wyszedł i zakręcił się najpierw około pułkownika, a potem około Anusi, która, ujrzawszy go, zawołała:

— Azor! Azor!

I małemi rączkami chwyciła psa za szyję, powtarzając:

— Azor! Azor!

Zdawało jej się, że wszystkie psy nazywają się Azorami. Janek poskoczył ku zwierzęciu

w obawie, aby nie okazało się względem niej złośliwem; ale uspokoił się wkrótce, widząc, że pies liże twarzyczkę dziecięcia.

W tej chwili wszedł do pokoju żołnierz, dźwigając pakunki. Był to Józef, który przed tygodniem skończył swą służbę wojskową. Ukłoniwszy się niezgrabnie, zbliżył się do kapitana, mówiąc:

— Cieszę się widokiem pana kapitana, gdyż mogę mu powiedzieć, że już wkrótce odbędzie się mój ślub z Gretchen. Pułkownik mówił mi, że będziemy mogli pozostać u niego w służbie, choć się pobierzemy. Ja będę niańką, a Gretchen lokajem... ależ nie! przeciwnie... pomyliłem się, powiem jednak państwu co innego...

Opowiadanie to rozśmieszyło wszystkich, ale Józef nie mógł dokończyć, gdyż panna Anna oznajmiła, że jej się jeść chce. I było to bardzo słuszne wymaganie, właśnie bowiem biła już godzina pierwsza po południu.

Gdy skończono śniadanie i oswojono się nieco ze szczęściem, myśl pana de Beaucourt zwróciła się ku siostrze, której już nigdy nie miał ujrzeć. Dowiedział się o jej śmierci w chwili wyjazdu z Algeru.

— Jakże serdecznie Antonina kochała mnie dawniej, — szepnął pułkownik, i każdy uszanował jego smutek.

— A cóż się stało z murzynem M'zourem? — zapytał Sauvaire.

— M'zour znikł w wigilię mojego odjazdu, — rzekł pułkownik.—Sądziłem, że znajdę sposób wykupienia i wyswobodzenia jego rodziny; ale on od chwili przyjazdu powtarzał, że chce się udać do

Maskary. Bóg wie, czy się tam nawet przedostał przez uzbrojone plemiona!... Biedak! skoro mówił o tobie, Maryo, rozczulał się i stawał się wymownym.

Wszyscy powtórzyli:

— Biedny M'zour!

Podczas tej rozmowy Anusia usiłowała przymusić psa do zjadania ciastek, które mu widocznie nie smakowały; otwierała mu nawet siłą pysk, a zwierzę poddawało się jej woli z łagodnością, jaką zwykle psy okazują małym dzieciom, choćby te nawet je udręczały.

— Jedz, jedz, Azorku! — powtarzała mała tyranka.

Dopiero Janek wdał się w tę sprawę i oswobodził psa, biorąc Anusię na kolana.

— Zdaje mi się, że Azor nie jest właściwą nazwą dla tego wielkiego psa; nie prawdaż, ojcze?

— W istocie, nazywajmy go lepiej Sareb; u jednego z moich przyjaciół podobny pies tak samo się nazywał.

Wszyscy zgodzili się na tę nazwę, a mała Anusia, klaszcząc w ręce, zawołała:

— Już niema Azora, tylko Sareb!

. . . . . .

Upłynęło sześć lat od wyżej opisanych wypadków. W pięknych płowych włosach pani de Beaucourt zaczęły zjawiać się srebrne nitki, a siwizna szronem okryła głowę i wąsy jej męża, obecnie generała brygady. Janek, który wyrósł na pięknego i silnego młodzieńca, skończył właśnie Szkołę w Saint-

Cyr, a panna Anna, ośmioletnia już teraz dziewczynka, śliczna jak cherubinek, chociaż trochę rozpieszczona, okazuje dużo zdolności do nauki. Pozbyła się nawet alzackiego akcentu, który przejęła od Gretchen.

Folwark w Karmusie odbudowano, ale rodzina pana de Beaucourt nigdy tam już nie mieszkała. Pan de Beaucourt pozostał w Afryce tylko do poddania się Abd-el-Kadera.

Co do murzyna M'zoura, nie miał on nigdy już ujrzeć swojej rodziny. Dostał się wprawdzie do Maskary, ale popadł znowu w niewolę Mohameda i dopiero wtedy dowiedział się, że jego żona umarła, a dzieci zostały sprzedane i uprowadzone przez jakąś wielką karawanę, o której się nigdy nie dowiedział, dokąd się udała i co się z nią stało. Wreszcie zdołał uciec z niewoli, ale przyszedł do Algeru tak wycieńczony podróżą i głodem, że wkrótce umarł.

Teraz już nie w Algerze, lecz w Paryżu spotykamy się z rodziną de Beaucourt. Wszyscy zebrali się na weselne śniadanie w starym pałacu przy ulicy Saint-Romain, który teraz jest własnością generała. Generał, wróciwszy do Paryża po śmierci siostry, dowiedział się, że kanoniczka złożyła na długi czas jeszcze przed swoją śmiercią testament u notaryusza,

Testament ustanawiał ogólnym spadkobiercą brata nieboszczki, a list, znaleziony w biurku hrabianki Antoniny, brzmiał jak następuje:

„Pomimo, że hrabia de Beaucourt dał mi wiele powodów do niezadowolenia, byłoby to niegod-

nem mego nazwiska, abym miała pozbawiać majątku ostatnich jego potomków. Nie myślę i nigdy o tem nie myślałam."

Ale spadkobierca szukał napróżno wśród papierów i tytułów, stwierdzających jego prawa do olbrzymiego majątku, jakiegoś słówka, zdradzającego tkliwe przywiązanie. Nieugięte serce kanoniczki zastygło na wieki, nie rozczuliwszy się nigdy. Chcąc pocieszyć pana de Beaucourt, który ubolewał szczerze nad surowością nieboszczki, pani de Lespine powtarzała często tak jemu, jak jego żonie:

— Antonina była za dumną, aby miała okazać żal i przywołać was do siebie. Ale ja czuwałam nad nią w jej ostatniej chorobie i jestem przekonana, że przyjaciółka moich lat młodych dlatego głównie pragnęła mnie widzieć przy sobie, że ja ciągle prawie rozmawiałam z nią o tobie, o Janku i o Maryi. Czarne oczy Antoniny jaśniały łagodnym blaskiem, gdy wymawiałam wasze imiona.

Tak samo jak w dniu, w którym rozpoczęło się nasze opowiadanie, spojrzyjmy na biesiadników, siedzących naokoło stołu, w dużej jadalnej komnacie starożytnego pałacu.

Najpierw widzimy państwa de Beaucourt, dalej ich syna, dorodnego młodzieńca, i panią de Lespine, zawsze miłą staruszkę, z siwymi włosami, a obok wnuczkę jej Karolinę, ładną i pełną wdzięku panienkę. Karolcia z Jankiem mają sobie mnóstwo rzeczy do opowiadania.

Karolcia uśmiała się aż do łez, gdy jej towarzysz przypomniał ów sławny obiad, podczas któ-

rego, ku wielkiemu oburzeniu Janka, skłamała, lękając się gniewu hrabianki Antoniny.

Pomiędzy Martą a Leonem, który wykształcił się na inżyniera, położył głowę Sareb.

Ten przyjaciel Marty cieszył się doskonałem zdrowiem i posiadał mnóstwo przymiotów. Jedną tylko miał wadę, która doprowadzała do rozpaczy gajowych w majątku generała i zmuszała tego ostatniego do płacenia częstych kar za zwierzynę, wbrew prawu upolowaną przez psa, na gruntach sąsiadów.

Sareb bowiem zachował brzydki zwyczaj polowania na swój własny rachunek. To też w Burgundyi, w posiadłości generała, gdzie państwo de Beaucourt przepędzali zwykle lato, pies dusił zające i sarny ze zręcznością i zapałem, którego nie przytłumiały nawet lata; przeciwnie, im Sareb był starszy, z tem większem upodobaniem polował.

— Nie można być doskonałością,—powtarzała filozoficznie panna Anna, gdy donoszono o nowym występku Sareba,

A gdy gajowy nalegał, aby psa ukarano, dodawała, marszcząc brwi:

— Daj spokój, Laroche; wiesz doskonale, że Sareb nie będzie nigdy ukarany, ani wzięty na łańcuch, gdyż on razem z mamą i z bratem był w niewoli u niewiernych.

KONIEC.

Biblioteka Uniwersytecka w Kielcach U J K

SPIS RZECZY

		Str.
I.	Ciotka i siostrzeniec	5
II.	Opowiadanie margrabiny	20
III.	Wakacye Janka	32
IV.	Michał Lambert	48
V.	Rozstanie. Śmiały zamiar	63
VI.	Dwaj podróżni, dążący do Marsylii	80
VII.	Kapitan Sauvaire	98
VIII.	Coraz większe zdziwienie. Koloniści w Karmusie	113
IX.	Burzliwa noc	131
X.	Karawana	146
XI.	Dalsza droga ku pustyni	158
XII.	Sprzedani	169
XIII.	Laghuat	182
XIV.	Wśród cierpień	194
XV.	Pułkownik i kapitan Sauvaire zjawiają się znowu	204
XVI.	Zasadzka	212
XVII.	Na wybrzeżu Gabes	222
XVIII.	Na pokładzie statku kapitana Sauvaire'a	232
XIX.	Korsarz	242
XX.	Podwójny epilog	251

Biblioteka UJK Kielce
UJK
0512893